

WIELKI PAPIEŻ POLAK WCIĄŻ DO NAS MÓWI!
40 LAT OD WYBORU NA STOLICĘ PIOTROWĄ

KTO TRZYMA TAŚMY?
DOCIEKAJĄ PYZA, WIKŁO I ROKITA



SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 42 (307) 2018
15–21 października
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

PATRYK JAKI O KULISACH KAMPANII

TERAZ ALBO NIGDY

MOŻEMY WYRWAĆ WARSZAWĘ Z PATOLOGICZNYCH UKŁADÓW

„MAMY DO CZYNIENIA Z PRZEMYSŁEM KŁAMSTWA, Z OGROMNYMI NIEREJESTROWANYMI PIENIĘDZMI RZUCONYMI W INTERNECIE NA BRUDNĄ KAMPANIĘ PRZECIW MNIE”

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
42
9 772544 269809

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

W numerze:

- **ORLĘTA NIEPODLEGŁEJ**
  1918: Jak Polacy wywalczyli wolną ojczyznę?
- **POLSCY BONDOWIE**
  Rodzina Kowalewskich – geniusze wywiadu
- **OSIEM WSPANIAŁYCH**
  Historia pierwszych posłanek Niepodległej



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

Kto tu jest hipokrytą?

Prezydent Łodzi Hanna Zdanowska została (nie przesądzam, czy słusznie) prawomocnie skazana za przestępstwo umyślne. Prawo zakazuje takim osobom sprawowania funkcji w samorządach, nie zakazuje im natomiast kandydowania w wyborach na takie funkcje. Rządzący zapowiedzieli więc, że jeśli Zdanowska wygra wybory, jej mandat zostanie uchylony, a władzę w Łodzi obejmie rządowy komisarz. Politycy opozycji odpowiadają: gdyby PiS było pewne tej prawnej interpretacji, to podjęłoby działania zmierzające do pozbawienia pani prezydent urzędu zaraz po uprawomocnieniu się wyroku. A to, że tego nie uczyniło, dowodzi, iż samo nie jest pewne swojej interpretacji prawa, więc obecne zapowiedzi wygaszenia mandatu są przejawem jego oburzającej hipokryzji.

Hipokryzja istotnie przepaja polską politykę, ale z powyższym argumentem opozycji nie mogę się zgodzić.

Bo uprawomocnienie wyroku na Zdanowską nastąpiło... 26 września. Cztery tygodnie przed wyborami. Wyobraźmy sobie na chwilę, że właśnie w tym momencie rządzący ogłaszają usunięcie Zdanowskiej z urzędu. A skoro już żeśmy sobie to wyobrazili, wyobraźmy sobie, co wtedy robi opozycja.

Otóż łatwo przewidzieć, że rozpoczyna ona wówczas wściekłą kampanię pod hasłem: potworne PiS tuż przed wyborami wyrzuca ze stanowiska kandydatkę opozycji. Gwałci w ten sposób ducha demokracji. Pokazuje, jak będzie wyglądała Polska po ewentualnym całkowitym zwycięstwie PiS. Itd., itp.

Naprawdę opozycja uważa, że PiS mogłoby ściągnąć to na siebie? Chyba nie. A więc kto tu jest hipokrytą?

Piotr Skwieciński

Siła polskiej historii

Podczas jubileuszowej X edycji Festiwalu „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci" w Gdyni okazało się, że jesteśmy w stanie stworzyć dobre miejsce do opowiadania o najważniejszych wydarzeniach z najnowszej przeszłości.

NNW to festiwal, który od samego początku miał się wymykać z ram takiej imprezy i tak się dzieje. Przez cztery dni poza pokazami filmowymi mieliśmy dyskusje, koncerty, wernisaże i konkursy dla młodzieży. Coś, czego nie ma gdzie indziej, to spotkania świadków historii z gimnazjalistami i licealistami. Trudno było się nie wzruszyć, widząc, jak te dwa pokolenia łapią z sobą kontakt, jak chcą się nawzajem słuchać.

Zasiane kilka lat temu ziarno zaczyna kiełkować. Procentują retrospektywy festiwalu, które w ciągu roku odbywają się w mniejszych i większych miejscowościach, nie tylko w Polsce. Niewątpliwym sukcesem dyrektora i pomysłodawcy Festiwalu „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci" Arkadiusza Gołębiewskiego jest przeniesienie imprezy na poziom międzynarodowy. Tym razem w Gdyni gościła spora grupa z Węgier, ale także z państw bałtyckich, a nawet młodzi Amerykanie z National History Day, największej w USA organizacji pozarządowej zajmującej się edukacją historyczną. Przyjaciele zza oceanu przyjechali po raz kolejny, tym razem, by z dumą pokazać spektakl o Irenie Sendlerowej.

Festiwal NNW to doskonały przykład tzw. soft power, miękkiej siły, dzięki której mamy zjednywać sobie sojuszników na świecie. Wszyscy wiemy, że należy jej używać, ale mało kto wie, jak to robić.

Marcin Wikło



Autopromocja

eprasa.pl 5f698ec8ce

SIECI spis treści



30 Roman, prowadź nas do boju
Konrad Kołodziejski



36 Coraz niższe standardy
Jan Rokita



50 Święci rodzice świętego papieża
Milena Kindziuk

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

9 **GABINET CIENI I ASÓW (2)**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński

14 **KRYZYS ZAUFANIA DO POLSKI?**
Jan Pietrzak

15 **RUMUNIA, CZYLI BLISKO**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **NIEBEZPIECZNY SMUTEK**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **Z PATRYKIEM JAKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

30 **ROMAN, PROWADŹ NAS DO BOJU!**
Konrad Kołodziejski

34 **STRZAŁ Z KAPISZONA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

36 **CORAZ NIŻSZE STANDARDY**
Jan Rokita

40 **REWIZOR Z BRUKSELI**
Stanisław Janecki

44 **Z DARIUSZEM STEFANIUKIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

48 **MŁODZI, KTÓRZY NIE CHCĄ, BY „BYŁO, JAK BYŁO”**
Kajetan Kutnowski

50 **ŚWIĘCI RODZICE ŚWIĘTEGO PAPIEŻA**
Milena Kindziuk

54 **DZIEDZICTWO JANA PAWŁA II**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

57 **ODPŁYNĄ BIAŁYM OKRĘTEM**
Jolanta Gajda-Zadworna

60 **ZAMILKŁA MONTSERRAT CABALLÉ**
Adam Ciesielski

62 **STAN POSIADANIA**
Przemysław Skrzydelski

63 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

64 **POWIEDZ, GDZIE JEST NIEBO**
Krzysztof Logan Tomaszewski

66 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

68 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

72 **Z JÓZEFEM ORŁEM**
rozmawia Jacek Karnowski

76 **GEOPOLITYKA BEZ FASADY**
Piotr Wierzbicki

78 **SKĄD TA POGARDA?**
Maciej Pawlicki

80 **Z ZUZANNĄ FALZMANN**
rozmawia Tomasz Plaskota

HISTORIA

84 **DŁUGI CIEŃ MONACHIUM**
Andrzej Babuchowski

ŚWIAT

88 **„TRUMPINHO” SIĘGA PO WŁADZĘ**
Aleksandra Rybińska

92 **COŚ W ROSJI PĘKA, COŚ SIĘ KOŃCZY**
Piotr Skwieciński

GOSPODARKA

98 **ZNALAZŁY SIĘ ZAKOPANE PIENIĄDZE**
Janusz Szewczak

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: KUCHNIA IWASZKIEWICZÓW**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **PRZECIW „PARTII DAVOS”**
Piotr Skwieciński

106 **KOŚCIÓŁ – FILAR PAŃSTWA**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **ZABRALI NAM STUHRA**
Aleksander Nalaskowski

109 **Z DEMOKRACJĄ NAD POLSKĄ**
Wiktor Świetlik

110 **POLSKI STYL KAPŁAŃSTWA**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **OFIARA POLSKICH KABARETÓW**
Ryszard Makowski

113 **Z NIEWIEDZY I ZAPOMNIENIA**
Leszek Długosz

114 **TERAZ WINNE PiS**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

1/1018/F

eprasa.pl 5f698ec8ce



Daj się pokazać z jak najlepszej strony.

www.dobrzeciewidziec.org

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



Sygnalista nadaje

Prezydent Legionowa Roman Smogorzewski pewnie spokojnie wygrałby kolejne wybory, gdyby nie zamarzyła mu się konwencja w wielkim stylu. Ale cóż, nie mógł się oprzeć i świat zobaczył prawdziwą twarz „Romka", którego – według rzecznika Platformy Jana Grabca – „wszyscy miastu zazdroszczą". A jest to twarz zwykłego chama, zepsutego do cna wieloletnią bezkarnością. Bo kim trzeba być, by o kobiecie powiedzieć publicznie „napalona" albo „pani od seksu"?

Zdaniem jednej z mieszkanek Legionowa Smogorzewski w czasie konwencji nie był sobą: „Oni musieli jemu coś do wody wsypać. On nie był sobą. Na sto procent jestem pewna, że to PiS" – przekonywała dziennikarkę TVP. Rzeczywiście Smogorzewski mógł coś zażyć, ale raczej z własnej woli. Generalnie uważamy, że polityków zamiast badaniom psychiatrycznym powinno się poddawać tym pod kątem narkotyków. Zwłaszcza tych z jądra III RP.

Smogorzewski jest jednym z najbogatszych samorządowców w Polsce. Same domy i działki, które posiada razem z żoną, warte są prawie 5 mln zł. W dorobku ma m.in. kupowanie nieruchomości na licytacjach komorniczych i sprzedawanie ich z zyskiem. Można powiedzieć, że wrócił system feudalny, w którym władca jest też właścicielem terenu, którym zarządza.

To również system, w którym wszyscy są klientami władcy, zastraszonymi do tego stopnia, że boją się wstać i zabrać głos w obronie obrażanych kobiet. A to ci sami ludzie, którzy na co dzień noszą koszulki z napisem „Konstytucja" i maszerują w obronie wolności. Legionowo jest przecież miastem, które stoi w pierwszym szeregu walki z rządem. Co innego jednak wrzeszczeć w grupie na rozkaz PO i „Wyborczej", a co innego dostrzec tyrana we własnym mieście.

A w Warszawie mamy przedsmak tego, co czeka całe PiS równo za rok, w kampanii parlamentarnej. Prawdziwe fabryki fake newsów wymierzonych w ***Patryka Jakiego*** pracują 24 godziny na dobę. Urobek trafia natychmiast do internetu, przede wszystkim na Facebooka, gdzie za grube pieniądze jest intensywnie eksponowany i promowany. To operacja o dużej skali, przygotowana przez zawodowców. I niewiele można zrobić, bo Facebook umywa ręce, a sztab Trzaskowskiego formalnie nie ma z tym nic wspólnego.

Ale i media tradycyjne bardzo się starają, także na poziomie ogólnopolskim. Sztab PiS coraz częściej się skarży, że jego komunikaty i konferencje są zwyczajnie przemilczane przez największe media. I nawet bycie miłym nic nie pomaga. Ale spokojnie, to wciąż tylko ćwiczenia przed najważniejszym bojem o parlament i prezydenturę. Jest tak, jak przestrzegaliśmy: tej hydry nie da się ani przekupić, ani ugłaskać, ani zastraszyć. Czas na wnioski, póki nie jest za późno.

Media nie tylko przemilczają, lecz i atakują. Najbardziej kandydata Jakiego i ***premiera Morawieckiego***. Tego ostatniego ostrzeliwują zwłaszcza założone przez Niemców „Fakt" i Onet,

Telewizja Nowa rezygnuje z nadawania własnego programu informacyjnego. Pracę stracić może 100 osób, w tym dawne gwiazdy TVP: Beata Tadla, Jarosław Kulczycki, Marek Czyż. Wcześniej inna nowa stacja – TV WP – rozstała się z Maciejem Orłosiem. Wiadomości o tyle ciekawe, że pokazują systemową i prestiżową siłę TVP: nawet duże nazwiska mają problemy, jeśli wypadną za burtę. Oczywiście jeśli jest się gwiazdą, to wierzy się w swój własny blask, ale na to nie ma już lekarstwa.

eprasa.pl 5f698ec8ce

co Michał Dworczyk ocenił tak: „To nie jest merytoryczna krytyka, tylko brudna polityczna gra. Zaczynam rozumieć, po co Schetyna spotykał się z Angelą Merkel”. Tu nie ma dobrych wieści: na prywatnych spotkaniach ludzie Axla otwarcie mówią, że teraz to już nic im zrobić nie można, bo mają w ręku wszystkie karty. Jedyna nadzieja w tym, że Polacy znów im wytną numer przy urnach.

Niemcy stają się coraz bardziej bezczelni. Tamtejsza Fundacja Mediów Sparkasse Leipzig uhonorowała Tomasza Piątka za jego książkę o Antonim Macierewiczu. Za swoje „dzieło” dostanie od Niemców 30 tys. euro nagrody. W uzasadnieniu stwierdzono – jak poinformował prof. Stanisław Żerko – że nagroda została przyznana za „śledztwo w sprawie handlu bronią między Macierewiczem a Rosją”. Znaczy to jedno: żaden z jurorów książki Piątka nie przeczytał.

Wizerunek Polski w Niemczech kształtują m.in. teksty Bartosza Wielińskiego z „Wyborczej” publikowane na łamach „Die Zeit”. A tam czytamy, że symbolem dzisiejszej Polski są bariery: „Wysokie na ponad metr, ze stali. Rząd każe je regularnie ustawiać wokół budynku sejmu. Nie ze strachu przed zamachami terrorystycznymi, lecz aby chronić parlament przed obywatelami, którzy demonstrują przeciwko polityce PiS”. O tym, że owi obywatele marzą o okupacji Sejmu, czytelnik się nie dowie. Dowie się za to, że po wejściu do Unii Europejskiej w 2004 r. „nie byliśmy już biednymi krewnymi Niemców i Francuzów”, ale „zostaliśmy partnerami”. Mocne.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Warszawy. Z sondaży wynika, że Trzaskowski prowadzi, ale wciąż jest w zasięgu Jakiego. A wiele może się jeszcze wydarzyć. Co prawda rewelacje Michała Dzięby o ostrych imprezach z Trzaskowskim, zakrapianych nie tylko alkoholem, nie zostały potraktowane poważnie, ale tu i tam słychać, że są jakieś bardzo wesołe nagrania z kandydatem Platformy, i to nie tylko dźwiękowe. Niewykluczone, że wypłyną przed finałową rozgrywką.

Sondaże pokazują, że notowania PiS stanęły na poziomie mniej więcej z wyborów, a więc 37–38 proc. Bywało lepiej. Z drugiej strony frekwencja na spotkaniach z Morawieckim czy Jakim jest naprawdę imponująca, a na takiego Schetynę na rynku w Trzebini (20 tys. mieszkańców) przyszło dosłownie kilka osób, do tego z połowa sprawiała wrażenie przypadkowych przechodniów. Trzaskowski też wybiera małe sale, by pozorować frekwencję. Łomot wciąż niewykluczony.









Premier pochwalił się tymczasem, że górale uważają go za Janosika, bo zabiera mafiom vatowskim, a daje dzieciom. „Nie wypieram się tego” – orzekł szef rządu. Metafora na czasie, bo Janosik też lubił poucztować z przyjaciółmi, co prawda nie w dobrej restauracji, lecz w jaskini, ale takie były czasy. I można iść o zakład, że nagrany Janosik nie wyszedłby z jaskini z niezszarganą jakoś straszliwie opinią, a Morawieckiemu chyba się udało.

Niestety kolejki na Kasprowy nie dało się odzyskać drogą rabunku, lecz trzeba było odkupić. I to za pół miliarda złotych, czyli za dwa razy więcej, niż sprzedano. W tym wypadku Janosik dołożył bogatym. Ale w sumie warto byłoby zapłacić nawet więcej. Bo kolejkę postawili górale z myślą, że budują dla Polski, a nie dla jakiegoś funduszu. Symbole nie są na sprzedaż, zwłaszcza w kraju tak mocno przeoranym przez wojny, rzezie i rabunki. No i skoro Balcerowicz jest przeciw, to znaczy, że idea jest słuszna i korzystna.

Janosikiem zapragnął zostać także Jan Vincent Rostowski, minister finansów w rządzie Tuska. Dość bezczelnie ogłosił, że uszczelnienie VAT wynika tak naprawdę z działań... Platformy Obywatelskiej. „To myśmy wszystko zrobili tak naprawdę. Od 2011 r. co najmniej pracowaliśmy w sposób systematyczny. PiS tutaj prawie nic nie zrobił” – przekonywał. Skoro tak, to dlaczego tuż przed wyborami stanowczo twierdził, że pieniędzy na 500+ „nie ma i nie będzie”?

Podczas objazdu kraju premier rzucił także: „My się nie lenimy, nie haratamy w gałę, ciężko pracujemy”. ***Tusk*** odpowiedział na Twitterze: „Haratanie w gałę to zajęcie dla dżentelmenów”. Historycznie i społecznie były premier nie ma racji, ale nie to jest ważne. Bo jeśli chcesz haratać, to harataj, ale jeśli chcesz rządzić krajem położonym między Rosją a Niemcami, to zasuwaj dla kraju. Tu za lenistwo i bylejakość płaci się podwójnie.

Tusk spotkał się tymczasem w Brukseli z ***Bono***. Obaj zrobili sobie fotkę z plakatem z napisem „Konstytucja”. Event jak event, ale najlepsze było to, co muzyk mówił. Otóż przedstawił on dość oryginalny plan uratowania Europy: „Mamy 2 mld ludzi w Afryce. Podczas gdy my stajemy się starsi i siwi, oni są młodsi i bardziej energiczni”. Powinniśmy zatem, proponuje Bono, „siąść do stołu z naszymi afrykańskimi partnerami i podbić świat”. Wychodzi na to, że muzycy są jeszcze głupsi niż aktorzy.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Frederic Legrand - COMEO/Shutterstock.com, Julita Szewczyk

eprasa.pl 5f698ec8ce

SPRAWDŹ, DLACZEGO KATOWICE ZOSTAŁY GOSPODARZEM
SZCZYTU KLIMATYCZNEGO ONZ (COP24)

COP24·KATOWICE 2018
KONFERENCJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH
W SPRAWIE ZMIAN KLIMATU



KATOWICE ŚLĄSKIM LIDEREM WALKI O CZYSTE POWIETRZE!

Wiele miast w Polsce w okresie zimowym zmaga się z problemem smogu. Specjaliści podkreślają, że aby realnie poprawić jakość powietrza należy podejmować przez cały rok działania systemowe w wielu obszarach. W województwie śląskim trendy w tym zakresie wyznaczają Katowice – zarówno pod względem skali działań, jak i zainwestowanych środków.

Miasto jako pierwsze w Polsce uruchomiło także Miejskie Centrum Energii, czyli punkt informacyjny dla mieszkańców, w którym dowiedzą się wszystkiego na temat oszczędzania energii, wymiany systemów ogrzewania i związanych z tym programów wsparcia.

Władze miasta szczególny nacisk położyły na wymianę starych kotłów węglowych, które są głównym źródłem smogu. Tzw. „kopciuchy" zastępowane są ogrzewaniem gazowym, elektrycznym lub nowoczesnymi kotłami węglowymi.

– W ostatnich latach realizacja tego programu dynamicznie przyspieszyła. Przez trzy lata – tj. od 2015 do 2017 roku - dofinansowaliśmy wymianę 1495 źródeł ciepła za ponad 11,5 mln zł, a tylko w tym roku wpłynęło prawie tyle samo wniosków. W 2016 roku podjąłem także decyzję, by podnieść maksymalną kwotę dotacji na wymianę pieców do 10 tys. zł. Dzięki temu poziom dofinansowania jest jednym z najwyższych w kraju – mówi Marcin Krupa, prezydent Katowic i dodaje, że dodatkowo w latach 2015-2017 miasto dofinansowało kwotą prawie 1,5 mln zł montaż 263 instalacji źródeł odnawialnej energii. Ważną zmianą wprowadzoną rok temu przez prezydenta było podniesienie kwoty dopłaty do zakupy opału z 450 zł do 900 zł dla najmniej zamożnych mieszkańców. W ten sposób Katowice walczą ze zjawiskiem tzw. „ubóstwa energetycznego".

Aby działania były skuteczne muszą być realizowane w wielu sferach. W ostatnich latach Katowice zainwestowały kilkadziesiąt milionów złotych w termomodernizację budynków użyteczności publicznej, a w realizacji jest projekt o wartości 100 mln zł polegający na docieplenu 45 obiektów. W Katowicach jednym z priorytetowych zadań jest także rozwój komunikacji publicznej. Trwa budowa czterech centrów przesiadkowych typu Park and Ride. W ostatnim czasie miasto zakupiło 90 nowych autobusów za 100 mln zł, a wkrótce rozpocznie się budowa nowej linii tramwajowej na południe miasta. Dodatkowo w Katowicach funkcjonuje największa w woj. śląskim sieć rowerów miejskich.

Do walki z niską emisją przyczyniają się też wzmożone kontrole Straży Miejskiej realizowane m.in. z użyciem drona. O ile w 2016 roku co szósta kontrola potwierdzała spalanie śmieci – to w 2017 roku już tylko co szesnasta. Ten spadek pokazuje efekty działań edukacyjnych i prewencyjnych.

Walka o czyste powietrze w Katowicach przynosi efekty. Średnioroczne stężenie pyłów PM 10 jest niższe niż kilka lat temu, a działania władz Katowic zostały zauważone w skali ogólnopolskiej – niedawno w rankingu magazynu „Forbes" Katowice zostały uznane za najbardziej ekologiczne miasto w Polsce. Miasto podejmuje jednak dalsze działania i na walkę ze smogiem przeznaczy do 2030 roku aż 535 mln zł. Te wszystkie działania zostały zauważone przez Organizację Narodów Zjednoczonych, która przyznała Katowicom statut organizatora grudniowego Szczytu Klimatycznego COP 24.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Gabinet cieni i asów (2)



KRZYSZTOF FEUSETTE

Przedstawiłem państwu przed tygodniem pierwszą część nominacji rządowych, które według moich informatorów wejdą w życie natychmiast po wygraniu wyborów przez Totalną Koalicję Obywatelskiej Opozycji. Przypomnę: Budka Borys – minister do spraw totalnej rodziny, Schetyna Grzegorz – minister totalnej sprawiedliwości, Misiło Piotr – minister totalnej wolności słowa, Lubnauer Katarzyna – ministra do spraw totalnie kobiecych, Trzaskowski Rafał – minister transportu totalnego. Dziś kolejne nominacje – w resortach, z ideologicznego punktu widzenia, najważniejszych. A zatem: Rada Nadzorcza Totalnej Koalicji Obywatelskiej Opozycji powoła:

– na stanowisko ministra do spraw totalnej delegalizacji – Wałęsę Lecha „Bolesława", człowieka nietuzinkowego, w walce z prawdą historyczną gotowego na wszystko. Chciał pałować związkowców protestujących przeciwko decyzjom rządu PO-PSL, ale jego plany wobec obecnej ekipy są jeszcze poważniejsze. „Na 48 godzin zgadzam się być przywódcą po to, żeby ich rozliczyć, żeby pozamykać, kogo trzeba, za to, jak zaszkodzili Polsce" – zapowiada. Wrogom obiecuje: „Wy prawie wszyscy będziecie aresztowani w swoim czasie [...]. Albo przez referendum poddajecie się, albo będziecie po prostu z okien wyskakiwać". Potrzebny jest tylko milion ludzi na ulicy (dawniej: dwa miliony), który przeprowadzi skoordynowaną akcję w Warszawie i Toruniu. „Aby uchronić ojczyznę od wojny domowej, trzeba jak najszybciej aresztować ok. 15 ludzi z obecnej władzy, w tym polityka Rydzyka" – zdradza przyszły szef MSW.

– na stanowisko ministra zdrowia psychicznego – Staniszkis Jadwigę, znawczynię ludzkich charakterów. Jej ostatnie prace analityczne warto zacytować: „Kaczyński nie ma dokąd pójść. Nie ma rodziny, to jest sytuacja psychologicznie dla niego trudna. Myślę, że on po prostu chce, żeby wszyscy byli zrozpaczeni tak samo jak on. W takim stanie psychicznym nie powinien sprawować władzy". „Znam go długo, ale słabo, jak większość ludzi. Obserwuję go od bardzo wielu lat. To jest taka destrukcja po śmierci brata. Zostawić po prostu wszędzie taką pustynię". „Demoralizuje ludzi i naród i sprawia mu to przyjemność". Jego inteligencja jest niszczona przez jego system emocjonalny" itd. Nietrudno zauważyć, że najświeższy dorobek Staniszkis to jeden z najwspanialszych w polskiej polityce psychologicznych autoportretów.

– na stanowisko ministra szkolnictwa najwyższego: Matczaka Marcina, profesora prawa, jednego z najpoważniejszych ekspertów w dziedzinie całej prawdy całą dobę, który już dziś na telefon układa kolegom po fachu tematy zajęć na uczelni. Pisze także do blogerów, np.: „Kiedyś mówiłeś, że twoja córka idzie na prawo do Wrocławia, prawda? Wyślę ten twój defekacyjny tekst moim kolegom z Wydziału i poproszę, żeby go omówili na zajęciach w Jej grupie jako przykład mowy nienawiści. Zobaczymy, jak będziesz piszczał, jak wróci do domu". Nie zobaczyli tylko dlatego, że piszczeć zaczął sam Matczak, gdy zorientował się, że tym razem zanurkował w błoto zbyt głęboko, a pomocną dłoń podają mu w tej sprawie jedynie panowie Lis i Sadurski. Czyli prawie nikt.

– na stanowisko totalnego ministra edukacji: Petru (ew. Peru) Ryszarda (list motywacyjny w drodze).

– na stanowisko ministra do spraw totalnej wojny z Kościołem – Smarzowskiego „Wojtka" Wojciecha, artystę, który chce ratować Kościół, a jako wzór dzieła „o polskim katolicyzmie" podaje sztukę „Klątwa" z Teatru Powszechnego, podczas której aktorzy zbierają pieniądze „na zabójstwo Jarosława Kaczyńskiego", udają stosunek płciowy z figurą Jana Pawła II, a następnie wieszają ją na szubienicy. Uważa też, że w Polsce jest za dużo mszy, a „parafie ścigają się w budowaniu coraz wyższych krzyży, wkoło pomniki, tablice upamiętniające, relikwie". Ponadto „Kościół wpycha się nam do domu i do łóżka" (według minister Lubnauer to jednak PiS – przyp. KF).

– na stanowisko ministra stanu wojennego – Frasyniuka Władysława, bohatera ostatnich akcji, który chodnikom się nie kłania, co najwyżej tarza się po nich na znak protestu, wzorem dawnego herosa „Gazety Wyborczej", Dominika „Durnia" Tarasa. Bo wciąż chce być młody. „Ubywa mi lat, gdy widzę kolejny marsz w obronie Trybunału Konstytucyjnego, w obronie demokracji. Znowu jestem wtedy młodym Władkiem, mogę wrócić na barykady" – mówił na początku kodowskich manifestacji. Jak dodaje, „prawo ma w dupie", być może dlatego, że potrafi przenosić się w czasie. W marcu 2016 r. opowiadał, co widzi: „Mamy współczesny stan wojenny". Kilka miesięcy potem: „Jest zupełnie tak, jak po 13 grudnia 1981 r. Ten stan wojenny wprowadził Jarosław Kaczyński". Zdarza się, że mięknie. Np. odrywanie go od chodnika przez policjantów, gdy swoim niewąskim ego blokował legalną uroczystość, już tylko „jako żywo przypominało mu stan wojenny". Ostatnio zaś zdradził, iż stanu wojennego tak naprawdę jeszcze nie ma, ale chyba zaraz będzie. „W momencie, kiedy odwołają I prezesa Sądu Najwyższego, to oznacza, że mamy do czynienia ze współczesnym zamachem stanu, wprowadzeniem współczesnego stanu wojennego" – poinformował opinię medyczną, pardon, publiczną. W tłumie protestujących ukrywał się jako Jan Józef Grzyb, bez konsekwencji, gdyż sąd uznał, że w kraju, w którym sędziowie nie będą już świętymi krowami, obywatel ze znaną twarzą nie musi podawać policji własnego nazwiska. Czy sędzia, który tak zawyrokował, także zmienia swoje dane osobowe przy kontaktach ze stróżami prawa? Jeśli tak, to pewnie na Imam. Imam Immunitet.

16/0918/F

eprasa.pl 5f698ec8ce

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Kryzys zaufania do Polski?



Jan Pietrzak

Na pierwszej kolumnie gazety, której nigdy nie używam, tuż pod nagłówkiem zauważyłem tytuł „Kryzys zaufania do Polski". Jako człowiek ufający Polsce bardziej niż innym krajom zainwestowałem 4,50 i nabyłem ów dziennik, drżąc z emocji, co takiego z Polską się stało, że powstał kryzys zaufania? Przecież przed tygodniem światowej rangi firma ogłosiła, że znalazł się nasz kraj w gronie 25 krajów rozwiniętych. Pierwszy raz w historii.

Oczywiście pamiętam, kiedy w czasach Gierka ogłaszano, że Polska jest już w gronie 20 „potęg" świata, ale tego nikt na świecie potwierdzić nie chciał poza tow. Bańbułą z KC. Teraz przesunięcie nas z grona państw niedorozwiniętych do rozwiniętych wywołało pozytywne echa w sferach biznesowo-finansowych i żadna giełda tego nie kwestionuje. Więc chyba to prawda i Polska cieszy się sporym zaufaniem.

Również w niezbyt odległym czasie doszło do podpisania polsko-amerykańskiej deklaracji Duda–Trump i związanych z tym wydarzeniem wypowiedzi prezydenta USA, które świadczą o wręcz szczytowym zaufaniu Stanów Zjednoczonych do polskiego państwa. Z jakiego zatem powodu ktoś ogłasza „kryzys zaufania"? Kto to jest?

Otóż to jest sędzia hiszpańskiego sądu, który ogłosił, że nie wyda osoby ściganej europejskim nakazem aresztowania, aż się upewni, że nasz wymiar sprawiedliwości jest niezależny. Paranoja nadzwyczajnej kasty występuje nie tylko na pl. Krasińskich w Warszawie. Ma kasta swoich kumpli rozsianych po świecie. Niemądry gest zideologizowanego sędziego w Hiszpanii niszczy fundamentalne zasady Unii Europejskiej. A na dodatek polskojęzyczna szmata robi z tego wielkie halo... o braku zaufania do Polski.

Cokolwiek by gadać, kwestia zaufania to sedno demokracji. Akurat nadciągają wybory samorządowe i wszystkie antypolskie ośrodki medialne i polityczne zajmują się podważaniem zaufania do najlepszych kandydatów, uczciwych, przyzwoitych, nieskorumpowanych, kochających Polskę ludzi. Bo tylko tacy nie pozwolą nas okradać ani wyzyskiwać. Kolejna bitwa w obronie niepodległości – 21 października!

Rozliczenie z braterskiej miłości

Z aktorem Olgierdem Łukaszewiczem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Kurnikowski/AKPA

Co pana przyciągnęło do filmu „Jak pies z kotem"?

Olgierd Łukaszewicz: Scenariusz, w którym dwóch bohaterów rozlicza się ze swojej braterskiej miłości i zobowiązań.

Jak gra się człowieka rozpoznawalnego, reżysera?

Obejrzałem wszystkie filmy zrealizowane przez braci Kondratiuków, by się zorientować w stylu ich pracy z aktorami, w konwencjach przez nich preferowanych... Ta odpowiedź Janusza na filmy Andrzeja jest czymś wyjątkowym w jego dorobku.

Obawiał się pan reakcji Igi Cembrzyńskiej?

Od razu mnie zaakceptowała. I to się utrzymało. Żona Janusza, która pielęgnowała Andrzeja, jej syn Mateusz... też pomagali mi wejść w rodzinne relacje. I było jeszcze nagranie z Andrzejem, już po udarze, gdy na wpół sparaliżowany cieszył się z siły, z jaką zdrową ręką może uderzyć piłkę. Dynamit niezgody na chorobę pozwolił dać tej roli zupełnie inne kolory, a poczucie humoru i ironii, które miał Janusz, zbudowało dodatkowo warstwę dystansu.

Reżyser wybrał pana wbrew fizycznym warunkom i... powstała rola, którą nagrodzono w Gdyni.

Dla aktora bardzo ważny jest moment akceptacji. Przeżyłem to przy Kazimierzu Kutzu, który mi niejako ojcował w swoich filmach, czy przy Andrzeju Wajdzie, który wiedział, jakim słowem mnie nastroić. To samo działo się chyba z Januszem Kondratiukiem. Chciałem, żeby mi ufał, on, warsztatowiec fantastyczny, kiedy wdzierałem się w jego świat. Ucieszyłem się, gdy po pierwszym pokazie powiedział, że mnie akceptuje jako brata.

Więcej na temat filmu „Jak pies z kotem" na s. 57

eprasa.pl 5f698ec8ce

BRONISŁAW WILDSTEIN

Rumunia, czyli blisko



W Rumunii fiaskiem zakończyło się referendum dotyczące przeformułowania artykułu w konstytucji na temat małżeństwa. Figuruje on jako związek małżonków. Referendum wezwało o dookreślenie ich jako kobiety i mężczyzny. Jego inicjatorzy to grupa „prawosławnych na rzecz życia".

Wszystko wskazuje, że instytucja ta bezpośrednio uzależniona jest od Moskwy. Jej lider znalazł się na tzw. liście Dugina. Jest to zestaw mailowych adresów, które trzy lata temu hakerzy wykradli ideologowi Putina. Z bardziej znanych Polaków znajdował się tam jedynie Roman Giertych. Aleksander Dugin to filozof głoszący dziejową misję swojego kraju, który winien oczyścić świat z zachodniej zgnilizny. Droga do tego wiedzie przez krwawą apokalipsę, czyli zwycięską wojnę Rosji z USA i całym Zachodem.

O tej bardzo ruchliwej postaci, która sporo podróżuje po świecie i usiłuje nawiązać kontakty z przedstawicielami środowisk kontestujących obecne, zachodnie status quo, warto pamiętać, kiedy analizuje się politykę Moskwy. Niezwykle elokwentny, oczytany i inteligentny Dugin nie opowiada swoim zagranicznym interlokutorom o apokaliptycznej stronie swojej doktryny, tylko ogranicza się do – skądinąd łatwej do przeprowadzenia – krytyki stanu zachodniej cywilizacji dziś.

Pomysłodawcy referendum zwrócili się do wszystkich kościołów w Rumunii: największego, prawosławnego, ale także katolickiego i protestanckich, o pomoc w tej zbożnej inicjatywie. Te przyklasnęły, a ich wolontariusze szybko zebrali 3 mln podpisów, czyli znacznie więcej, niż niezbędne było do ogłoszenia referendum. Działacze organizacji, którzy wystąpili z inicjatywą, w sukcesie tym mieli niewielki udział, co zrozumiałe choćby ze względu na swoje mizerne środki, ale to na nich spłynął cały splendor.

Przedsięwzięcie wywołało natychmiast kontratak postępowych, „prozachodnich" sił, w dużej mierze organizowany przez CriticAtac, rumuńskiego odpowiednika „Krytyki Politycznej". Jego lider również figurował na liście Dugina, a sporo świadczy, że przedsięwzięcie wspomagane jest przez Moskwę. Sprawa referendum bardzo pomogła mu zaistnieć.

Kampanię referendalną wsparła rządząca w Rumunii postkomunistyczna partia PSD. Wstrząsana aferami korupcyjnymi, w których efekcie kolejni jej liderzy lądują za kratkami, usiłuje za wszelką cenę podporządkować sobie wymiar sprawiedliwości, aby w ten sposób zdjąć wiszący nad nią miecz Damoklesa. To przeciwko tym zakusom od półtora roku w większych miastach kraju, zwłaszcza w Bukareszcie, organizowane są rzeczywiście wielkie manifestacje, z których niektóre znacznie przekraczają 100 tys. uczestników, często brutalnie rozpędzane przez policję. Protestują przeciw temu, bez specjalnej żarliwości, główne środowiska UE, zrównując to, co dzieje się w Rumunii, z tym, co dzieje się w Polsce czy na Węgrzech – w odniesieniu do naszych krajów wykazują się znacznie większą aktywnością. PSD chętnie godzi się na te porównania. W rzeczywistości są one czystym bałamuctwem.

Poprzedniemu prezydentowi rumuńskiemu Traianowi Băsescu udało się przeprowadzić gruntowną reformę wymiaru sprawiedliwości. To w jej efekcie nowi prokuratorzy i sędziowie rozpoczęli kampanię przeciw wszechogarniającemu systemowi korupcji, na którym ufundowany został postkomunistyczny układ. Działania te usiłuje zablokować, zagrożona nimi, rządząca partia. Ponieważ chodzi jej wyłącznie o władzę i interesy, gotowa jest poprzeć każdą inicjatywę, która może poprawić notowania. I dlatego włączyła się w sprawę referendum. Postkomuniści zawsze prowadzili nihilistyczną politykę, tym łatwiej mogą wystąpić teraz jako obrońcy tradycyjnych, narodowych wartości, przeciwko którym realnie obrócone były dotąd wszystkie ich działania. To z kolei spowodowało, że prawica oraz wszystkie środowiska niezależnych intelektualistów włączyły się w kampanię bojkotu referendum jako przedsięwzięcia, które oddala Rumunię od Europy.

Rumuni, którzy są zarówno konserwatywni – to, że nie mają żadnej znaczącej partii reprezentującej tę orientację, jest nieszczęściem kraju – jak i prozachodni i antyrosyjscy (przypominają w tym Polaków), znaleźli się w absurdalnej sytuacji. Efektem było zbojkotowanie przez nich referendum, w którym uczestniczyło niewiele ponad 20 proc. obywateli.

Oto idealny dla Kremla scenariusz: funkcjonariusz KGB i jego alianci bronią elementarnych zasad naszej cywilizacji podważanych przez Zachód, a zwłaszcza Unię Europejską.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5f698ec8ce





Histeria liberałów

Ocierająca się o szaleństwo histeria, jaką wywołało zwycięstwo Donalda Trumpa w Ameryce, przypomina sytuację w Polsce, choć temperatura za oceanem jest jednak wyraźnie wyższa. Świadczy o tym furia, z jaką przyjęto nominację Bretta Kavanaugha na sędziego Sądu Najwyższego. Ten 53-letni prawnik, absolwent uniwersytetu w Yale, został wskazany przez prezydenta. Wkrótce potem został oskarżony przez dwie kobiety o molestowanie seksualne, którego miał się jakoby dopuścić wobec nich jako nastolatek. Burzliwe przesłuchania przed Senatem nie potwierdziły zarzutów, ale stały się pretekstem do wszczęcia gwałtownej kampanii wymierzonej w Kavanaugha, a szerzej w samego Trumpa.

Kavanaugha przedstawiono jako archetypicznego przedstawiciela patriarchatu – „starego, białego mężczyznę", ciemiężyciela kobiet, które postrzega wyłącznie w rolach seksualnych i rozrodczych. Liberalne media zostały zasypane oświadczeniami działaczek Partii Demokratycznej, które na przemian z celebrytkami przekonywały, że jeśli Kavanaugh zostanie sędzią, to „kobiety będą umierać". Na temat swojego absolwenta wypowiedział się również wydział prawa z Yale, który ostrzegł, że po zaprzysiężeniu Kavanaugha ludzie będą ginąć na ulicach – chodziło tutaj o liberalne poglądy sędziego w kwestii dostępu do broni palnej. Presji poddano także senatorki z Partii Republikańskiej. Odwoływano się do „kobiecej solidarności" ponad podziałami politycznymi. Gdy nie przyniosło to spodziewanego rezultatu, parlamentarzystki oskarżono o „zdradę kobiet". Dochodziło także do licznych incydentów, gdy rozsierdzone działaczki feministyczne fizycznie atakowały obrońców Kavanaugha. Jednocześnie w mediach społecznościowych pojawiły się nawoływania do bardziej zdecydowanej rozprawy z nominatem Trumpa. Jednym z najpopularniejszych haseł na Twitterze stało się zawołanie „Kill Kavanaugh" („Zabić Kavanaugha").

Skala rozpętanej histerii zaczyna powoli przypominać tę z lat 60., gdy liberalna lewica rzuciła wyzwanie ówczesnemu konserwatywnemu establishmentowi. Tyle że dziś to liberałowie są establishmentem, który za pomocą sprawdzonych pół wieku temu chwytów zaciekle broni się przed zmianami.

Konrad Kołodziejski

Fot. PAP/EPA

eprasa.pl

Rosja

I ty zostaniesz pedofilem

Sandarmoch to uroczysko położone głęboko w lasach w Republice Karelii. W latach 20., a zwłaszcza 30., w czasie „wielkiego terroru", było miejscem masowych egzekucji więźniów NKWD. Jako niejedyne, ale jedno z niewielu tego rodzaju obiektów w Rosji zostało ono upamiętnione – powstało tam muzeum-mauzoleum, w którym przewodnicy opowiadają wstrząsające historie o ofiarach i ich katach.

Obecne rosyjskie władze mają do stalinizmu stosunek niejednoznaczny. Z jednej strony oficjalnie uznają tę epokę za zbrodniczą; w Moskwie sam Władimir Putin odsłonił nawet dwa lata temu monumentalny pomnik ofiar represji. Z drugiej strony nie decydują się na całkowite potępienie samego Stalina i dlatego żywe w części aparatu władzy tendencje nacjonalistyczne, łączące się zazwyczaj z wizją Josipa Wissarionowicza jako „wielkiego państwowca", owocują niechęcią do upamiętnień jego zbrodni.

Tak myślącym Sandarmoch oczywiście przeszkadza. Nic więc dziwnego, że latem nacjonalistyczne Rosyjskie Stowarzyszenie Historii Wojennej nagle rozpoczęło na uroczysku poszukiwania archeologiczne, by z trumfem ogłosić, że znaleziono szczątki należące jakoby do... radzieckich jeńców, zamordowanych w czasie II wojny przez okupujących wówczas ten teren Finów.

Dyrektor muzeum Siergiej Kołtyrin nie wytrzymał i publicznie powiedział, że to absurd, szczątki nie mają cech, które pozwalałyby uznać je za zamordowanych żołnierzy Armii Czerwonej, są natomiast typowe dla ofiar masowych egzekucji z lat 30. „Dziwiliśmy się jego odwadze" – mówią pragnący zachować anonimowość mieszkańcy okolicy.

Szybko się okazało, że mieli rację. Kołtyrin został nagle aresztowany i postawiono mu bardzo modny ostatnio zarzut... pedofilii. Siedzi w areszcie śledczym, czeka na proces.

I może mieć pretensje tylko do samego siebie. Bo jak sam jeszcze kilka miesięcy przed aresztowaniem wyznał pewnemu dziennikarzowi, został uprzedzony. „Mówią mi: zamknij pysk i siedź cicho, ciszej niż mysz" – relacjonował.

Nie posłuchał, więc ma za swoje.

Piotr Skwieciński

UE

Europa Środkowa oczami liberałów

Visegrad Insight i German Marshall Fund stworzyły raport o możliwych scenariuszach dla Europy Środkowej na przestrzeni najbliższych siedmiu lat, czyli do 2025 r. Zdaniem autorów „pozimnowojenny okres demokratycznych reform, społecznego i gospodarczego rozwoju oraz integracji z Zachodem dobiegł w Europie Środkowej końca". UE i NATO czeka niepewna przyszłość, i to w chwili, gdy geopolityka powraca do regionu „w postaci agresywności Rosji, opieszałości Europy i chińskiego natarcia".

Na tym tle autorzy raportu kreślą pięć możliwych scenariuszy dla regionu. Pierwszym jest triumf „illiberalizmu", wskutek czego proces integracyjny UE się cofnie, aż europejska wspólnota nie będzie niczym więcej niż strefą wolnego handlu składającą się z krajów, które demokracjami będą już tylko z nazwy. Prym w tym procesie mają wieść Polska i Węgry, które mogą się stać „ideologicznym jądrem" paneuropejskiej partii jednoczącej nacjonalistów i suwerenistów.

Drugi scenariusz zakłada, że trend suwernistyczny i „illiberalny" nie zdoła ogarnąć całego regionu. Jeśli na dodatek Brukseli uda się wymusić na państwach bloku przestrzeganie zasad praworządności pod groźbą wykluczenia, może dojść do podziałów i Europa Środkowa jako spójny region przestanie istnieć.

Trzeci scenariusz przewiduje, że zewnętrzne zagrożenie i gospodarcze wstrząsy wymuszą pogłębienie procesu integracyjnego w Unii. Polska i Węgry, choć niechętnie, porzucą swój „nacjonalistyczny kurs" i w 2025 r. Europa będzie bardziej zintegrowana niż kiedykolwiek.

Czwarty scenariusz jest jeszcze bardziej, z punktu widzenia twórców raportu, optymistyczny i zakłada dojście do władzy w ciągu najbliższych siedmiu lat nowego pokolenia polityków urodzonych po 1989 r. i zdecydowanie proeuropejskich. Wynikiem tego będzie „prointegracyjna Europa Środkowa".

Piąty natomiast zakłada, że USA wycofają się z Europy, a kraje zachodnie, jak Francja czy Niemcy, będą uzależniały spełnienie swoich zobowiązań sojuszniczych w NATO od przestrzegania zasad państwa prawa, zdejmą sankcje z Rosji i wznowią z nią relacje. W konsekwencji Polska będzie musiała sama zapewnić sobie bezpieczeństwo przez umowy bilateralne z zewnętrznymi partnerami, z USA na czele.

Ciekawe, że z większości scenariuszy wybrzmiewa nadzieja na „idealną Europę Środkową", prounijną, liberalną, a więc niewychodzącą przed szereg. Mamy też odwrócenie procesu przyczynowo-skutkowego. Wina za możliwe niepowodzenie europejskiego projektu jest jasno przypisywana Orbánowi i reszcie „populistów", choć stanowią oni zaledwie odpowiedź na kryzys trwający w Europie od lat.

Jest wysoce wątpliwe, by tak zideologizowane podejście, oparte na sporej dawce tego, co Anglosasi nazywają wishful thinking, mogłoby pomóc czytelnikom zrozumieć region. A przecież po to właśnie ten raport – jak przekonują autorzy – powstał.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 5f698ec8ce

Rumunia

Paradoksalne referendum

Referendum w Rumunii dotyczące włączenia do konstytucji zapisu, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, okazało się pełne paradoksów. Kiedy organizacja Koalicja dla Rodziny zebrała 3 mln podpisów pod wnioskiem referendalnym, wydawało się, że zwycięstwo jest przesądzone. Rumuńskie prawo bowiem przewiduje, że referendum jest ważne, jeśli weźmie w nim udział ponad 30 proc. uprawnionych, a więc ok. 3 mln mieszkańców. Wszystkie sondaże mówiły, że zapis popiera 80–90 proc. Rumunów. Na dodatek głosowanie trwało dwa dni, co zwiększało szansę osiągnięcia wymaganej frekwencji.

Ku zaskoczeniu wszystkich inicjatorzy ponieśli jednak klęskę, gdyż do urn udało się zaledwie 20 proc. obywateli i referendum okazało się nieważne. Dlaczego tak się stało? Przede wszystkim nie było żadnej kampanii na rzecz zmian. Kościół prawosławny był tak pewny zwycięstwa, że w ogóle się nie angażował, polegając całkowicie na rządzącej Partii Socjaldemokratycznej. Między patriarchatem a postkomunistami istnieją bowiem silne więzi, wywodzące się jeszcze z minionego systemu.

Lewica zgodziła się na zorganizowanie referendum, gdyż chciała odwrócić uwagę społeczeństwa od afer korupcyjnych, w które jest uwikłana. Jednocześnie pragnęła podreperować swój wizerunek w konserwatywnym elektoracie. Kiedy jednak została za to skrytykowana przez Międzynarodówkę Socjalistyczną, przestała się angażować w kampanię referendalną. Wielu wyborców, utożsamiając jednak obóz rządzący z projektem referendum, nie poszło do urn na znak sprzeciwu wobec władz.

Z kolei po prawej stronie trwała intensywna kampania na rzecz bojkotu głosowania. W Rumunii nie ma bowiem znaczącej siły konserwatywnej, a prawica zdominowana jest przez środowiska laickie i liberalne obyczajowo. Tak mści się brak zaplecza intelektualnego w Kościele prawosławnym, który szuka politycznego oparcia w postkomunistach. W rezultacie konserwatywne i prawosławne społeczeństwo nie poparło konserwatywnego i prawosławnego projektu.

Grzegorz Górny



Fot. Christian Bertrand/Shutterstock.com

Portugalia

Co dalej z Ronaldo?

Co się stało w Vegas, zostaje w Vegas? Nie w przypadku Cristiano Ronaldo. Najpopularniejszy piłkarz świata został oskarżony o gwałt.

Do zdarzenia miało dojść prawie 10 lat temu w Las Vegas. Afera wybuchła po publikacji „Der Spiegel". W rozmowie z niemieckim dziennikiem Amerykanka Kathryn Mayorga opowiedziała o nocy z 12 na 13 czerwca 2009 r., gdy piłkarz miał ją zgwałcić, a następnie zapłacić 375 tys. dol. za milczenie. Portugalczyk zapewnia, że stosunek odbył się za zgodą obojga. Pod koniec września Amerykanka założyła sprawę przeciwko piłkarzowi w sądzie w stanie Nevada. Jej adwokat twierdzi, że dlatego tak późno, gdyż nie była już w stanie radzić sobie dłużej ze stresem, a przy okazji akcji „#MeToo" zdała sobie sprawę, iż nawet ludzie ze świecznika nie są bezkarni.

Reprezentujący piłkarza mecenas Peter Christiansen sugeruje, że cały materiał dowodowy, na który powołują się media, a który został przedstawiony przez „Der Spiegel", jest sfałszowany. „Doniesienia dziennikarzy oparte są na skradzionych i łatwo zmanipulowanych materiałach cyfrowych. W wielu fragmentach dokumentu coś dodano albo całkowicie zmieniono oryginalną wersję tekstu" – oświadczył.

Po doniesieniach mediów wartość marketingowa Portugalczyka spadła, część sponsorów wyraziła zaniepokojenie, a EA Sports usunęła jego sylwetkę z materiałów promocyjnych jednej z gier wideo. Mało tego, media informują, że zaczęły się zgłaszać kolejne kobiety, które chętnie wysuwają podobne oskarżenia wobec 33-letniego obecnie zawodnika.

Włosi niechętnie informują o sprawie. Ronaldo, który niedawno przeniósł się z Realu Madryt do Juventusu, podniósł wartość najpopularniejszego klubu na Półwyspie Apenińskim i miał być kluczem do odnowy wizerunku włoskiej Serie A. Hiszpanie, Niemcy oraz Anglicy z kolei informują o kłopotach Portugalczyka chętnie i często. Amerykanie czekają na przesłuchanie zawodnika i deklarują chęć przyjęcia ewentualnego przestępcy do swoich zakładów penitencjarnych. Zwolennicy teorii spiskowych twierdzą, iż to, że sprawa wypłynęła akurat teraz, to właśnie element rozgrywki między podmiotami, które wyrywały sobie kurę znoszącą złote jaja.

Twardo stąpający po ziemi i znający realia moralnie zepsutego piłkarskiego świata są zdziwieni, że oczywiste fakty wypływają dopiero u schyłku kariery zawodnika, który w światku słynął z niezbyt wysokich standardów moralnych. A rodzice milionów pociech, które ganiają po świecie z nazwiskiem Ronaldo na koszulkach, zastanawiają się, co robić.

Cezary Kowalski

eprasa.pl 5f698ec8ce

OGNIEM NA WPROST

Seksedukatorzy

Instytut Ordo Iuris rozpoczął akcję „Chrońmy dzieci". Jej celem jest zwrócenie uwagi i w konsekwencji przeciwstawianie się działającym na terenie szkół w Polsce tzw. seksualnym edukatorom. Na ich zajęciach bowiem przemycana jest często w obcesowy sposób ideologia LGBT. Aktywność instruktorów od seksu przypomina żywo robotę czerwonych komisarzy podczas październikowej rewolty w Rosji roku 1917 z tą różnicą, że nie zajmują się propagowaniem idei wszechświatowej rewolucji komunistycznej, tylko gender. Do Ordo Iuris wpłynęło już ponad 600 wniosków od zaniepokojonych rodziców opisujących praktyki propagowania dewiacji wśród dzieci pod pretekstem seksualnej edukacji. To wszystko dzieje się na terenie placówek szkolnych podległych MEN. Instytut opracował broszurę, w której opisuje bulwersujące praktyki „nauczania" podczas tzw. warsztatów, czyli pralni dziecięcych mózgów pod kątem oswajania z dewiacjami płciowymi. M.in. komisarze gender perswadują uczniom, że „płeć, rodzicielstwo i rodzina mogą być dowolnie kształtowane – »zmieniane« i »korygowane« (to o płci) czy kreowane (jak w przypadku rodzicielstwa »dwóch mam«)" oraz że „na świecie jest więcej opcji płci niż tylko kobieta i mężczyzna". Do tego pojęcie „tolerancji" definiują jako postawę pełnej akceptacji dla dewiacji, a „równość" prezentują w kategoriach relatywizmu moralnego, oceniając jako równe wszystkie postawy i style życia, w tym związki „otwarte", tj. „godzące się na wzajemne zdrady". A najlepsze jest to, że oni jeszcze za to biorą pieniądze z naszych podatków.



Dlatego chapeau bas, panie ministrze Ziobro za zawetowanie konkluzji Rady UE ws. stosowania Karty Praw Podstawowych UE. Chodziło w niej o potępienie praktyk dyskryminacyjnych względem grup LGBT. Strona polska zwróciła jednak uwagę, że równie albo i mocniej są prześladowane grupy religijne, także żydzi. Minister podkreślił, że praktyki dyskryminacyjne wobec chrześcijan i żydów są widoczne zwłaszcza w Europie Zachodniej i nie mogliśmy pozwolić na to, aby zakłamywać rzeczywistość w oficjalnym dokumencie unijnym. Jak dodał: „Znane są przypadki zabójstw z tego powodu, że ktoś jest chrześcijaninem lub żydem, i jeśli konkluzje tego nie odzwierciedlają, to nie jest dokument, pod którym warto byłoby się podpisywać". Austriacy sprawujący obecnie prezydencję, a także kilka innych politpoprawnych państw w UE za nic nie chciało się zgodzić na postawienie co najmniej znaku równości pomiędzy tymi zjawiskami, a więc dokument przepadł. Nie chwaląc się, myśmy to uczynili.

Ana zachodzie Europy islamiści powoli biorą sprawy w swoje ręce. Dużą popularnością w internecie cieszy się film z Berlina, na którym ekipa o śniadych cerach w metrze nie jest zadowolona z wejścia do wagonu faceta w mini. Trans żywcem przypominał naszą Rafalalę. Przybysze z Południa natychmiast rzucili się na niego, wyrzucając go kopniakami na peron. Tam nastąpiła nieoczekiwana transformacja. Babochłop siłą rzeczy przypomniał sobie, że jest jednak facetem i odparł ataki grupy spod znaku półksiężyca. Natomiast znacznie gorzej poszło całującej się w 19. dzielnicy Paryża homoseksualnej parze mężczyzn. Jak donosi La Chaîne Info, zostali zaatakowani fizycznie i dotkliwie pobici. Trzeba przyznać, że dość karkołomnie wybrali sobie miejsce na romantyczną schadzkę, albowiem departament Seine-Saint-Denis cieszy się największym odsetkiem imigrantów we Francji (ponad 50 proc.). Te przykłady są kolejnym niezbitym dowodem na sprzeczności, których jest pełna ideologia europejskiej lewicy. Trzeba przyznać, że dość boleśnie przekonują się o tym jej wyznawcy, bo na własnej skórze.

Przyszedł czas na podsumowanie wielkich manewrów armii rosyjskiej „Wostok 2018" Jak chwali się tamtejszy szef resortu obrony (w Rosji w zasadzie powinien się nazywać ministrem wojny) Siergiej Szojgu, w przedstawieniu udział wzięło ok. 300 tys. żołnierzy, mniej więcej 1 tys. samolotów, śmigłowców oraz bezzałogowych maszyn latających, 36 tys. czołgów, transporterów i innych pojazdów, a także 80 okrętów i pomocniczych jednostek pływających. O skali działań może świadczyć fakt przemieszczania niektórych jednostek wojskowych nawet na odległość 7 tys. km. Szojgu twierdzi, że były to największe ćwiczenia w historii Rosji, w każdym razie porównywalne ze słynnymi manewrami z czasów kadencji miłościwie panującego im towarzysza Leonida Breżniewa „Zapad 81". Były one kamieniem milowym w historii naszego wschodniego sąsiada, ponieważ od tamtego czasu rozpoczął się szybki rozpad imperium sowieckiego. Przeinwestowali. A historia, jak wiemy, lubi się powtarzać.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5f698ec8ce



Marta Kaczyńska-Zielińska

Niebezpieczny smutek

Każdego roku blisko 800 tys. ludzi na świecie odbiera sobie życie. Popełnianie samobójstw jest problemem globalnym. Ofiarami są osoby w różnym wieku, o różnym statusie społecznym. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że wśród młodych ludzi, pomiędzy 15. a 29. rokiem życia, samobójstwa stanowią drugą w kolejności główną przyczynę śmierci.

Polska plasuje się w europejskiej czołówce pod względem liczby samobójstw wśród dzieci i młodzieży. Samobójstwo jest najbardziej ekstremalnym symptomem chorób psychicznych, które – sądząc po statystykach – wciąż nie są odpowiednio wcześnie diagnozowane i leczone.

Najczęstszym powodem targnięcia się na własne życie jest depresja. To powszechnie występujące zaburzenie charakteryzuje się obniżeniem nastroju, spowolnieniem lub pobudzeniem psychoruchowym, zahamowaną ekspresją i niemożnością odczuwania przyjemności. Osoby cierpiące na tę chorobę często tracą apetyt, skarżą się na bezsenność albo są nadmiernie senne, mają kłopoty z koncentracją uwagi, płaczą i miewają myśli samobójcze. Przyczyną depresji mogą być zarówno czynniki endogenne, jak i egzogenne – uwarunkowania genetyczne lub negatywne doświadczenia życiowe.

Według Światowej Organizacji Zdrowia depresja zajmuje czwarte miejsce na liście najpoważniejszych problemów zdrowotnych świata. Choruje na nią 350 mln ludzi, z czego aż 2 mln w Polsce.

Z badań wynika, że 80 proc. Polaków ma niedostateczną wiedzę o objawach i leczeniu tego schorzenia. Osoby chore mogą przez dłuższy czas nie zdawać sobie sprawy z powodów występujących u nich dolegliwości, podobnie otoczenie chorego może nieprawidłowo interpretować zachowanie takiej osoby, nie mając świadomości, że wymaga ona terapii.

Ponadto częstym zjawiskiem są obawy przed społecznym ostracyzmem zarówno osób podejrzewających u siebie występowanie depresji, jak i ich bliskich. Wielu ludzi (według badań statystycznych 75 proc. Polaków) wstydzi się tego rodzaju problemów – dotyczy to dorosłych i młodzieży. Tą ostatnią grupę można uznać za najbardziej bezbronną wobec objawów opisywanej choroby i objętą najwyższym ryzykiem wystąpienia myśli samobójczych, a w konsekwencji śmierci.

Polska plasuje się w europejskiej czołówce pod względem liczby samobójstw wśród dzieci i młodzieży

Według informacji dostępnych na stronach kampanii społecznej „Twarze depresji" choroba ta dotyka co trzeciego nastolatka, ale zdarza się, że atakuje nawet kilkuletnie dzieci. Najczęściej są to dziewczynki. Depresja u dzieci jest trudniejsza do zdiagnozowania niż u dorosłych z racji niecharakterystycznych objawów, takich jak nadpobudliwość psychoruchowa, która może być mylnie oceniana jako objaw ADHD, kłopoty z pamięcią, zachowania autodestrukcyjne albo objawy somatyczne występujące przede wszystkim u młodszych dzieci.

REKLAMA





55/0918/F

eprasa.pl 5f698ec8ce



Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Kobieta go bije?

„Przestań robić głupoty!” – miała krzyczeć do męża Brigitte Macron, pierwsza dama Francji, a wiedzą o małżeńskiej drace podzielił się z mediami funkcjonariusz policji, który był jej świadkiem. „Macron krzyczała tak głośno, że niemal trzęsły się mury rezydencji”. Funkcjonariusz dodał, że żona prezydenta rzucała przedmiotami w gabinecie męża” – czytamy na tvp.info. pl. Prezydentowi Francji wypada zacytować fragmencik z klasyki polskiego kina: „Kobieta mnie bije! Poddaję się”.



1,4 mln

– tyle osób może skorzystać z pomocy żywnościowej. Potrzebujący dostaną paczki o łącznej wartości 354,5 mln zł. Wszystko w ramach Programu Operacyjnego Pomoc Żywnościowa 2014–2020.

5 tys.

– tyle miejsc pracy w sektorze finansowym przeniesie się na Stary Kontynent do marca 2019 r., kiedy Wielka Brytania ma opuścić Unię Europejską. Tak wynika z szacunków Banku Anglii.

4,34 mld euro

– tyle wynosi kara dla firmy Google nałożona przez Komisję Europejską za łamanie unijnych przepisów antymonopolowych na rynku systemów operacyjnych, od której firma odwołała się do unijnego sądu.

Wolność słowa po niemiecku

14-letnia Ida Marie Müller, córka Nicole Höchst – polityk antyimigranckiej Alternatywy dla Niemiec (AfD) – wyrecytowała podczas konkursu poetyckiego w Niemczech antyimigrancki wiersz. Została zdyskwalifikowana, choć dostała głośny aplauz. Po występie ktoś pomazał rodzinny dom dziewczyny. To ci dopiero wolność słowa. Trzeba się zastanowić nad sankcjami.



Wolność słowa po polsku



We Wrocławiu doszło do napaści na samochód fundacji Pro-Prawo do Życia, który ciągnął przyczepę z banerem o treści „Stop pedofilii. Pedofilia występuje do 20 razy częściej wśród homoseksualistów”. Na samochód napadło dwóch zamaskowanych sprawców. „Jeden z nich, nie mogąc wyrwać megafonu przyczepionego do dachu auta, złamał go na pół. Drugi agresor pomazał sprejem obie strony przyczepy informacyjnej” – podaje Pch24.pl. A to dla odmiany wolność słowa po polsku. Można mówić o pedofilach księżach, ale już o pedofilach z LGBTQ należy milczeć.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Nowa moda



Podobno furorę w mediach społecznościowych robi kobieta, która nazywa się Freelee lub The Banana Girl. Dziewczyna mieszka w dżungli, zjada 50 bananów dziennie, prowadzi kanał na YouTubie, na którym opowiada o korzyściach diety roślinnej i życiu poza cywilizacją. Niedawno zdradziła, że od ponad roku nie ogoliła nóg i wyznała, że nigdy nie czuła się tak dobrze. Czyżby nowa moda? W sumie może się przyjąć w coraz bardziej zislamizowanej Europie Zachodniej.



Byłem lubiany przez media liberalne, kiedy byłem takim uśmiechniętym prezydentem, który jeździł na rowerku i nie mieszał się do polityki. Taki otwarty gej. Kiedy zaburzyłem ten porządek, stałem się wrogiem. Kompletnie tego nie rozumiem – żalił się w stacji TVP Info Robert Biedroń. Ależ wredni ci postępowcy!



Nowy król

Wiceszef Komisji Europejskiej Frans Timmermans ogłosił w środę w Holandii, że chce kandydować na stanowisko szefa Komisji Europejskiej. Powiedział więc to, o czym wszyscy mówili od dawna. By ubiegać się o tę funkcję, Timmermans musi uzyskać nominację unijnej centrolewicy, stąd ta zaciekła wojna z polskim rządem. To jednak ulga, że wiceszefowi KE nie zamarzyło się zostać królem Europy. A mogło.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x6)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Solniczka w torebce



Dominik Zdort

To był rok 1981. Święto Niepodległości, 11 listopada, które podówczas oficjalnym świętem nie było. Byłem w ósmej klasie podstawówki. Tego dnia, w środę, miałem po południu dodatkowe lekcje angielskiego. W grupie ze mną był kolega ze szkolnej klasy, Andrzej Radecki. I to on zarządził, że idziemy na wagary – moje pierwsze i chyba jedyne w życiu. Zabrał mnie na plac Zwycięstwa, na którym zastaliśmy ogromne tłumy ludzi. Przedstawiciele regionów „Solidarności", ale także organizacji wówczas nielegalnych – KPN, ROPCiO i innych – składali kwiaty pod Grobem Nieznanego Żołnierza. Mieliśmy obaj łzy w oczach.

Nasza wyprawa na plac Zwycięstwa nie wzięła się z niczego. Andrzej był w naszej klasie najbardziej świadomy politycznie. To on zainicjował powołanie Niezależnego Samorządnego Związku Szkół Podstawowych „Solidarność", który wprawdzie nie wykraczał poza naszą VIII b, ale za to wydawał tygodnik, Głos Ucznia, przekształcony potem w „Rzeczpospolitą Uczniowską".

Od paru już lat byłem osłuchany z Wolną Europą i oczytany w książkach drugiego obiegu, ale to właśnie Andrzej moją wiedzę o świecie uzupełnił i – nie boję się tego powiedzieć – ukształtował mnie. Zafascynowany historią na przerwach wszczynał dyskusje, opowiadał o Piłsudskim, o 17 września, o Katyniu. Kiedy my z wypiekami na twarzy kupowaliśmy w niedalekim sklepie znaczki „Solidarności", Andrzej już dawno paradował po szkole z plakietką KPN.

Trafiliśmy potem do jednej klasy w warszawskim liceum im. Klementyny Hoffmanowej. Kiedyś dziewczyny zorganizowały wybory mistera klasy. Ja odpadłem w przedbiegach, Andrzej doszedł do finału, w którym zachwycił mnie błyskotliwą odpowiedzią na pytanie, co kobieta nosi w torebce. Konkurenci wpisywali długą listę, Andrzej wymienił trzy rzeczy: lusterko, szminkę i... solniczkę – idealnie symbolizującą całą masę rzeczy niepotrzebnych.

W dorosłym życiu Andrzej – z tego, co wiem – zawsze był po stronie prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna. Jego pasją były Kresy, szczególnie Wileńszczyzna, wiele prywatnego czasu i środków poświęcił na pomoc żyjącym tam Polakom – można by o tym napisać książkę. Widywaliśmy się częściej w czasach, gdy przychodził na debaty „Plusa Minusa" w klubie Niespodzianka.

Parę dni temu Andrzej zmarł. Był skromny, nigdy się nie chwalił tym, co robił. Tym bardziej zasłużył na te parę słów wspomnienia.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 5f698ec8ce

RZECZY POSPOLITE

Ani o krok



Tomasz Łysiak

Właściwie przed Włochami ta sama droga, którą Polska idzie od kilku lat. U nas jest dobra zmiana, a tam rząd zmiany – sojusz powołany przez dwa zwycięskie ugrupowania, czyli Ruch Pięciu Gwiazd i Ligę. I tak jak u nas, tak w Italii zmiany są głębokie, a dotyczą nie tylko kwestii imigrantów, lecz także, a może przede wszystkim – rynku pracy i finansów. Likwidacja systemu emerytalnego, który ustanowiła ustawa Legge Fornero, oznacza nowy sposób rozliczania wieku emerytalnego według systemu kwotowego, opierającego się na liczbie 100 (wiek oraz liczba przepracowanych lat muszą wynieść 100) – można więc będzie przejść na emeryturę w wieku 62 lat, jeśli przepracowało się 38. Do tego dochodzi od dawna postulowany przez ugrupowanie Beppe Grillo dochód minimalny (reddito di cittadinanza), który w wielu wypadkach będzie po prostu zasiłkiem – owa kwota została ustalona na poziomie 780 euro miesięcznie (jest to tzw. próg biedy). Wszystkie te plany oczywiście będą obciążać budżet Włoch, podobnie jak wprowadzenie ryczałtowego podatku.

Stąd według liberalnych mediów wynikają obawy co do budżetu i wysokiego deficytu; stąd biorą się ataki banków i Komisji Europejskiej; stąd podniesiony na poziom ponad 300 punktów spread i groźby agencji ratingowych. A jak jest w istocie?

Matteo Salvini był ostatnio gościem programu Agora w RAI 3. Atakowany przez prowadzącą dokładnie w taki sam zjadliwy sposób, w jaki u nas robi to TVN w stosunku do ludzi prawicy, nie dał się dziennikarce wyprowadzić z równowagi. Mówił więc m.in., że wszystkie te zmiany, choć wydają się kosztowne, tak naprawdę pobudzą rynek. Że Włosi muszą mieć pieniądze, a gdy będą je mieć – zaczną je wydawać. A jedyne, na czym mu zależy, to zwykli ludzie – naród włoski. Wszystko robi dla nich.

A że w niego walą? No walą, ze wszystkich stron. Europa dostaje piany, Junckery i Timmermansy się wściekają, podnoszą im te spready i obniżają ratingi, media włoskiej lewicy piszą o faszyzmie, nazizmie i co tam tylko da się znaleźć, a on ze spokojem mówi, że dla dobra Włoch nie cofnie się ani o krok.

Poczet (...) polskich



Piotr Cywiński

„Zwierzęta w ogrodzie patrzyły to na świnię, to na człowieka, potem znów na świnię i na człowieka, ale nikt już nie mógł się połapać, kto jest kim" – pisał Orwell w swym „Folwarku". Albo bardziej dosadnie, jak w „Tribune", do obsobaczających Polskę brytyjskich jajogłowych inteligentów i lewicowych dziennikarzy za ich służalczą propagandę wobec Sowietów: „Once a whore, always a whore". Nie tłumaczę, bo niecenzuralne.

Obcojęzyczne „whores" mniej mnie interesują, ale te z naszego kraju jak najbardziej. W każdej społeczności znajdzie się czarna owca, tylko u nas mamy ich istny redyk. Od wieków i od lat, z czasów PRL i po. Ktoś pamięta rady prezydenta Kwaśniewskiego w „Vanity Fair", gdy po raz pierwszy PiS zagroziło okrągłostołowym udziałowcom, że „ciche dreptanie wobec Polski jest chybione"? Albo apele jego poprzednika Wałęsy w „Spieglu" i nie tylko? Albo Olejniczaka wylewającego łzy w Brukseli, zanim stracił fotel ministra w rządach Millera i Belki? Albo Geremka, szefa polskiej dyplomacji i europosła, który przyczynił się do potępienia Polski oraz Polaków przez UE za naszą rzekomą ksenofobię, rasizm, antysemityzm, homofobię i co tam jeszcze?

Długo by wymieniać wszystkich tych „thuńczyków" z wczoraj i dziś. Zanim nieznany Biedroń został I gejem III RP i prezydentem Słupska, współorganizował protest podczas odczytu prezydenta Kaczyńskiego na uniwersytecie w Berlinie, a konkretniej burdę w auli i demonstrację pod ambasadą RP z apelem do polskich władz: „Nie wysyłajcie nas do gazu". Kilka dni temu aktywiści „made in Poland" wrzaskami i gwizdami zakłócali wykład prezydenta Dudy w Zurychu. Ci nie są jeszcze znani, ale wszystko przed nimi. Dość rzucić okiem na indeks nazwisk europosłów RP żądających sankcji UE wobec kraju pochodzenia.

Wieliński, de domo „Gazeta Wyborcza", twórczość Orwella zna i zdaje sobie sprawę, że „...always a whore", więc już bez obrzydzenia do siebie zarobkuje, gdzie się da, jak ostatnio w „Die Welt" albo w „Die Zeit" czy w „Süddeutsche Zeitung", w której wezwał Niemców: „Nie milczcie, proszę!", żeby wróciło, jak było. Wszystkich z całego pocztu (...) polskich wymienić mi nie sposób, ale kto chce, może w miejsce kropek dopisać, co chce, w języku Orwella czy po polsku, i wydłużyć tę listę, bo (...) u nas jak w żadnym innym kraju.

eprasa.pl 5f698ec8ce

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 101 340 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER, BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, SIPA PRESS/ EAST NEWS, SHUTTERSTOCK X2

eprasa.pl 5f698ec8ce

Teraz albo nigdy

Kolejne zwycięstwo PO w stolicy po tym wszystkim, co się tu stało, nie przyniesie pokory, tylko zwiększy poczucie, że kary nie ma, piekła nie ma, że wszystko wolno. Tym bardziej że jeżeli wygra Trzaskowski, to nie będzie mowy o żadnej zmianie. Zza jego pleców o wszystkim będą decydowali Hanna Gronkiewicz-Waltz i Marcin Kierwiński, czyli stary układ

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Patrykiem Jakim, kandydatem na prezydenta Warszawy, wiceministrem sprawiedliwości

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

Jest ciężej, niż pan myślał?

Patryk Jaki: Jest dużo ciężej, bo rozkład zasobów finansowych, medialnych, instytucjonalnych jest bardzo nierówny. Mój główny konkurent ma pełne wsparcie Hanny Gronkiewicz-Waltz, dysponuje ogromnym zestawem instytucji miejskich i z nich z całą mocą korzysta. Oczywiście przewidywałem nierównowagę, wiedział o niej mój sztab. Niektórzy mówią nawet, że Warszawa to teren najtrudniejszy politycznie dla ludzi centroprawicy. Jednak skala tego, co napotkaliśmy, nas zaskoczyła.

W jakiejś mierze jest to kampania ogólnopolska. Bitwę o stolicę obserwują wszyscy Polacy zainteresowani sprawami publicznymi.

Zgoda. Ale to też pracuje przeciwko mnie. Obóz III RP przestraszył się, że ewentualna porażka w Warszawie wywróci całą ich konstelację, że tego nie przeżyją, że wszystko im się zawali. Dlatego rzucili tutaj wszystkie siły, jakimi tylko dysponowali.

W czym to się przejawia?

Choćby w tym, że każdego dnia wypuszczają kilka kłamstw na mój temat. Gdybym postanowił, że każde będę osobiście prostował, nie miałbym już na nic czasu. Nieprawdopodobna skala kłamstw, manipulacji, półprawd. A kiedy już nie mają do czego się doczepić, to sprawdzają, jakie książki stoją za moimi plecami w wynajętym studiu fotograficznym. Gdybym te zdjęcia zrobił w ministerstwie, padłby zarzut, że wykorzystuję stanowisko, jeśli w domu, że gram rodziną. Czyli cokolwiek bym zrobił, to atak. Nie cofną się przed niczym. Do naszego biura, które się nazywa Jaki Cafe i ma charakter otwartej przestrzeni spotkań, wysyłają za pomocą donosów sanepid, by sprawdził, czy możemy odwiedzającym nas warszawiakom podać kawę i poczęstować ciastkiem. Jestem w polityce już trochę, widziałem różne kampanie, ale z taką skalą kłamstwa i podłości nie spotkałem się nigdy.

Stawia pan tezę, że to coś więcej niż ostra kampania, że to świadome użycie kłamstwa na skalę przemysłową?

Tak, to jest przemysł kłamstwa, brutalna machina cynicznie rzucona do walki o głosy. To zaczęło się wtedy, gdy zorientowali się, że kandydat centroprawicy ma w stolicy szansę. Wcześniej uważali, że to ich własność, że to im się należy, a sam Rafał Trzaskowski sprawiał wrażenie obrażonego, iż w ogóle musi startować w jakichś wyborach. Byli tak pewni siebie, że nabijali się z mojej kampanii na blokowiskach i osiedlach. Robiłem jednak konsekwentnie swoje i się przestraszyli.

Czego?

Wzrostu poparcia dla mojej oferty. Zaczynaliśmy przy różnicy poparcia na poziomie 30 proc. na korzyść kandydata PO w I turze, ale zaczęła ona systematycznie maleć. Dziś wszystkie badania pokazują, że I tura będzie wyrównana. Wszystko jest możliwe. Musimy jednak pamiętać, że dla nas jest to walka o możliwość realizacji programu, o szansę dla Warszawy i jej mieszkańców. Dla nich o zasoby, z których korzystają. Wiedzą, że jeśli stracą Warszawę, nie będą już z niej mogli dobrze żyć. Dotyczy to także mediów, medialny koncern Agora jest dzisiaj bardzo mocno pośrednio dotowany z Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy.

Na ulicach wiszą jednak pana plakaty. Wy też potraficie boleśnie uderzyć w głównego konkurenta.

To nie jest pytanie o to, czy prowadzimy kampanię, bo oczywiście prowadzimy, ale o reguły gry. One nie są równe. Przykład: miasto płaci za wielką akcję billboardową pod hasłem „Tak zmieniła się Warszawa", która jest de facto potężną kampanią wspomagającą Trzaskowskiego. Każdy, kto jeździ po Warszawie, musi

eprasa.pl 5f698ec8ce



też widzieć ogromną dysproporcję w liczbie plakatów. W mojej ocenie nie ma możliwości, by to, co pokazuje sztab Trzaskowskiego, głównie na pojazdach komunikacji miejskiej, zmieścić w oficjalnych limitach. Cóż, zobaczymy, co pokażą w oficjalnych sprawozdaniach. No i ta brudna kampania w internecie przeciwko nam.

Fake newsy to codzienność internetu.

Tu nie chodzi o fake newsy, ale o świadomą, gigantyczną inwestycję w kłamstwo. Mamy do czynienia ze sponsorowanymi postami, podkreślam: pełnymi świadomie produkowanych kłamstw, które są płatnie promowane na Facebooku i innych platformach społecznościowych. Widzimy skalę tego działania, dokumentujemy je i nie mamy wątpliwości, że rzucono przeciw nam nielegalne ogromne pieniądze, nie wiadomo skąd. Polskie prawo zabrania takich działań. Nie można wziąć rury z brudną kasą, podpiąć pod internet i pompować akcje czarnego PR. A to się dzieje!

Nie mogliście zaalarmować np. Facebooka?

Ależ zrobiliśmy to! Kilka godzin przed panów wizytą odbyło się tu spotkanie z przedstawicielami tej firmy. Mówimy: ktoś wpompował miliony złotych w nielegalną, brudną kampanię wyborczą. Odpowiedzieli, że nic nie mogą zrobić. Nie chcą nam też ujawnić danych osób, które założyły te konta. To jest szokujące. Zgłosiliśmy do prokuratury ten proceder, uważamy, że to brudna kampania, niezgodna z prawem. I niestety może być skuteczna: są pewnie ludzie, którzy wierzą, że nie mam wyższego wykształcenia, że chcę zamknąć Owsiaka, że jestem przeciwny szczepieniom, że jestem winny reprywatyzacji – a to same kłamstwa. Doklejają mi nie moich kolegów, nie moje psy. Oczywiście tradycyjne media związane z III RP też swoje robią. Potrafią przemilczeć każdą moją akcję, jednocześnie urządzając nagonkę pod byle pretekstem.

Nie mści się trochę zaniechanie obozu rządzącego, który temat mediów, równych warunków gry odłożył na później?

Myślę, że czas na takie refleksje przyjdzie po kampanii wyborczej. Ja nigdy nie ukrywałem, że jestem zwolennikiem reform głębokich, które sprawiłyby, iż cała rywalizacja w przestrzeni medialnej byłaby równa. Sytuacja, w której przewaga medialna i finansowa jednej ze stron jest zawsze tak ogromna, nie jest normalna.

> Dla nas jest to walka o możliwość realizacji programu, o szansę dla Warszawy i jej mieszkańców. Dla nich o zasoby, z których korzystają. Wiedzą, że jeśli stracą Warszawę, nie będą już z niej mogli dobrze żyć

Można na tę bitwę o Warszawę spojrzeć jak na test przed wyborami ogólnopolskimi. I wniosek nie jest wesoły: obóz III RP zachował całą swoją potęgę w tym obszarze, obóz dobrej zmiany wciąż jest słabszy.

Uważam, że to był rodzaj testu. Jeżeli okaże się, że można uderzyć na Facebooku i w innych mediach społecznościowych kampanią kłamstw, wypuszczanych z anonimowych kont, opłacanych milionami niewiadomego pochodzenia, to możemy być pewni, że te narzędzia zostaną użyte w każdej kolejnej wyborczej bitwie. A muszą panowie pamiętać, że wedle naszych badań 60 proc. mieszkańców Warszawy informacje polityczne czerpie z Facebooka.

W tej trudnej sytuacji zaplecze polityczne zdało egzamin? Ma pan wsparcie?

Mam wsparcie prezesa Jarosława Kaczyńskiego i jestem mu za nie wdzięczny. Jest bardzo duży entuzjazm w naszych strukturach, bo wszyscy wierzą, że pierwszy raz od lat można wygrać w Warszawie.

Kto jest głównym przeciwnikiem? Kogo reprezentuje Rafał Trzaskowski?

Rafał Trzaskowski jest tylko twarzą tego układu, który rządzi w Warszawie niemal od zawsze i który rozumie, co by dla nich oznaczało odcięcie od tych zasobów. Warszawa ma przecież budżet niewiele mniejszy niż najmniejsze z państw Unii Europejskiej, większy niż wiele ministerstw.

W zderzeniu z tym, jak pan mówi, układem III RP, postawił pan na spotkania bezpośrednie. I tu nie było chyba źle.

To najjaśniejszy punkt tych ostatnich tygodni. Ludzie zajmujący się kampaniami wyborczymi w stolicy mówią, że tu zawsze trudniej namawiało się ludzi do bezpośrednich spotkań, zachęcało do uczestnictwa. Bo tempo życia jest szybsze, bo polityka jest jakby bliżej – tu przecież pracują Sejm, Senat, prezydent, rząd, centralne urzędy. A mimo to frekwencja na naszych spotkaniach przechodzi najśmielsze oczekiwania, często brakuje miejsc w salach. I jak pokazuje przykład kampanii Trzaskowskiego, nie jest to reguła całej kampanii, ale nadziei, którą udało się obudzić naszą ofertą.

Jakby pan opisał tę ofertę? Jak pan odczytuje te nadzieje?

Kiedy próbujemy systematyzować oczekiwania mieszkańców, zaskakuje wysoka waga przywiązywana do problemu korupcji czy – szerzej – układów, które powstały na poziomie miasta, dzielnic. Kilka lat temu tego tak wyraźnie nie było widać. Uderza też poczucie warszawiaków, którzy dużo podróżują i umieją porównywać, że miasto choć się rozwija, to zdecydowanie wolniej i słabiej, niż by mogło. Jest wrażenie, że są jakieś hamulce, że biorąc pod uwagę poziom zamożności, powinniśmy być wszyscy dalej.

eprasa.pl 5f698ec8ce



Ludzie widzą, że inni budują metro szybciej, że ok. 600 m linii tramwajowych rocznie to dość żenujący wynik, że brakuje powszechnie dostępnej infrastruktury sportowej, że śmieci zalegające w niektórych dzielnicach to jednak coś poniżej akceptowalnego standardu, że o smogu się mówi, ale z nim realnie nie walczy.

Stąd pana hasło „Warszawa uczciwa i ambitna"?

Tak odczytuję tętno miasta, to słyszę od ludzi. Chcę odpowiedzieć na powszechne poczucie, że dość średniactwa w każdym obszarze, że nie może być tak, iż czegokolwiek dotkniemy, to spotkamy bylejakość, imitację, brak szybkich postępów. Weźmy metro: stolice Bułgarii, Rumunii, Czech i Węgier mają więcej kilometrów niż Warszawa. Tramwaje? Też w naszym regionie Europy buduje się szybciej. Zarządzanie odpadami? Tragedia, przez ostatnie lata nie powstała ani jedna instalacja do zarządzania odpadami, jesteśmy w tych rankingach na smutnym końcu. Obwodnice? Stolica Polski jest jedyną stolicą w Europie bez jednej choćby obwodnicy. Ale co się dziwić, za czasów Tuska pieniądze rządowe szły do Gdańska. No może chociaż Smart City, nowoczesne rozwiązania informatyczne? A gdzie tam, najnowsze rankingi pokazują, że przegrywamy ze stolicami Litwy, Łotwy, Estonii, Węgier i Czech. Z miastami, które mają mniejsze budżety, gdzie nie pracuje się tyle, ile w Warszawie.

Warszawiacy pracują ciężej?

Tak, tu też są ciekawe statystyki. Tu się pracuje najdłużej w naszym regionie Europy. Nieprzypadkowo odwołuję się w tych porównaniach nie tyle do bardzo bogatej Europy Zachodniej, ile do naszego regionu. Mamy wszystkie cechy, by być liderem. A jednak przegrywamy, odstajemy. Ktoś marnuje wysiłek mieszkańców, ktoś go nie umie wykorzystać, dać im odpowiedniej jakości pracy miasta. Stać nas na więcej, możemy wygenerować silny impuls rozwojowy. To nie jest tak, że ja wszystko, co w tym mieście osiągnięto, potępiam, odrzucam, że niczego nie doceniam. Ale uważam i wiem, iż czują to także mieszkańcy, że odrzucenie układów korupcyjnych, skończenie z patologiami, nowe pomysły i dynamiczna ekipa mogą sprawić, iż miasto ostro ruszy do przodu, że będzie się rozwijało dużo szybciej niż obecnie.

To brzmi ciekawie, ale czy można w ogóle przebić się przez mur przekonania, że najważniejszy jest szyld partyjny? Uderza, jak często informacje o wielkiej tragedii ludzi, których mieszkania padły ofiarą złodziejskiej, chwilami bandyckiej reprywatyzacji, są puszczane mimo uszu. Jakby to bogate, często samozadowolone miasto nie chciało takich rzeczy widzieć.

Pewnie takie tony są, ale nie sądzę, by dominowały. Staram się pokazać ludziom skalę zła, które się wskutek tego procederu dokonało. Można to pokazać na liczbach: w ostatnich 12 latach na wszystkie inwestycje w Warszawie, łącznie ze środkami europejskimi i rządowymi, na żłobki, przedszkola, szkoły, mosty, drogi i metro, wydano 23 mld zł. Prawie drugie tyle wyprowadzono w wyniku reprywatyzacji. Nasze szacunki mówią o 21 mld zł kosztów tego procederu, z tego ponad 12 mld jednoznacznie bezprawnie. Straciliśmy dziesięć lat, bo gdyby nie to wielkie złodziejstwo, bylibyśmy o dekadę rozwoju do przodu. Wiele

eprasa.pl 5f698ec8ce



osób zadaje sobie pytanie, jak można chcieć głosować na ludzi za to odpowiedzialnych? Nie wiem, może warszawiacy o tym nie wiedzą, może to do nich nie dochodzi.

A może uwierzyli, że odpowiadają za to wszyscy poprzedni prezydenci?

Ale to bzdura! Aż 78 proc. decyzji o zwrocie majątków zapadało za czasów rządów ludzi z PO, a tylko 5 proc. w okresie, gdy rządzili ludzie związani z PiS. A stan prawny był taki sam.

Jest jeszcze jedna możliwość: powiodła się akcja Platformy, która przekonuje, że te sprawy to przeszłość.

Obawiam się, że to nie jest przeszłość. Pokusa była i jest ogromna, wielkie pieniądze, wielki majątek do wzięcia właściwie za nic, za kilka sfałszowanych kwitów. Kto da gwarancję, że znowu nie zaczną tego robić? Przecież oni do dzisiaj zaskarżają do sądów korzystne dla miasta, przywracające miastu własność, decyzje komisji weryfikacyjnej. Co to znaczy? Że bronią tych przekrętów. Kolejne zwycięstwo PO w stolicy po tym wszystkim, co się stało, nie przyniesie pokory, tylko zwiększy poczucie, że kary nie ma, piekła nie ma, że wszystko wolno. Tym bardziej że jeżeli wygra Rafał Trzaskowski, to nie będzie mowy o żadnej zmianie. On nie ma żadnego własnego zaplecza, nie ma determinacji, by realnie rządzić. Zza jego pleców o wszystkim będą decydowali Hanna Gronkiewicz-Waltz i Marcin Kierwiński, czyli stary układ. To oni będą prezydentami, on będzie nową marionetką.

W tym sensie obóz III RP wie, co robi. Będzie, jak było.

Zgoda. Wszystkie armaty, którymi dysponuje obóz III RP – polityczne, medialne, finansowe – we mnie strzelają. Nie to, żebym się skarżył, po prostu widzimy wybuchy.

Mówi się, że jest też w mieście układ deweloperów. Podziela pan tę opinię?

Na pewno Warszawa za bardzo rozwija się pod dyktando deweloperów. Wi-

eprasa.pl 5f698ec8ce

dać to szczególnie w okolicach Woli, gdzie obok zabytkowych budynków powstają wieżowce, a jeszcze obok stoją małe domki. Nikt w cywilizowanym świecie tak nie buduje. Pewnie nieprzypadkiem niektóre plany zagospodarowania przestrzennego powstają 16 lat, by decyzja o tym, co i gdzie można wybudować, należała do urzędnika. Najbardziej korupcjogenny mechanizm, jaki można sobie wyobrazić. Ale wydaje mi się, że ludzie coraz wyraźniej to widzą, że zaczynają rozumieć, iż miasto powinno być układane pod mieszkańców, a nie pod deweloperów. Jakość życia będzie spadała, jeżeli budowie nowych osiedli i bloków nie będzie towarzyszył rozwój zaplecza społecznego.

Ale jest tzw. Mordor, wielkie skupisko biurowców na Mokotowie, całkowicie zakorkowany, ze słabymi połączeniami komunikacyjnymi. I nikt nie czuje się za to odpowiedzialny, nikt nie ma poczucia wstydu, że można było stworzyć takiego potworka. Może to nikomu nie przeszkadza?

Przeszkadza. Ludzie wiedzą, że to stoi na głowie, że można inaczej. I my z takimi sytuacjami skończymy. Jeśli będę rządził Warszawą, nie będzie sytuacji, że powstaje 100 tys. miejsc pracy w jednym miejscu, a dopiero później się myśli, jak tam dojechać, co z infrastrukturą społeczną, z parkingami.

Skoro już o blokach – pan stał pod blokiem, jak głosił tytuł popularnej w internecie akcji, próbował obudzić mało aktywne politycznie grupy społeczne. W tym tych, którzy tu mieszkają, pracują, ale nie głosują, tzw. słoiki. Udało się to zrobić?

Trochę się udało. Dziś niektóre media próbują czynić z tego zarzut, alarmując o jakimś zwożeniu wyborców. Nic takiego się nie dzieje. Niektórzy z tych, do których apelowałem, by poczuli się współgospodarzami miasta, postanowili się dopisać do spisu wyborców w Warszawie. Ale też przecież nie wiem, na kogo zagłosują. Liczę, że na mnie, że akcja mobilizacyjna przyniesie skutek.

A ściągnięcie do pana ekipy polityka lewicy Piotra Guziała, który w przypadku pana wygranej ma zostać wiceprezydentem odpowiedzialnym za kulturę i sprawy społeczne, dało dobry, spodziewany skutek?

Uważam, że tak. Pokazało, po pierwsze, że naprawdę jestem otwarty na ludzi o innej wrażliwości, że potrafię współpracować z każdym, bez względu na jego poglądy. Bo miasto nie jest terenem do ideologicznych kampanii, zarządzanie miastem różni się od polityki uprawianej na szczeblu ogólnopolskim. Po drugie, Piotr Guział wniósł dużo dobrej energii, dynamiki i pomysłów do naszej kampanii. Jak wszyscy popełnia błędy, ale w sumie każdy może dostrzec, na czym polega istota dobrej zmiany: oferta wspólnej pracy dla Polski, dla regionu, dla miasta i dzielnicy jest prawdziwa, jest skierowana do każdego. Uważam, że na tym tle ekipa mojego głównego konkurenta razi partyjniactwem, to wąska grupa platformerska. Nie ma tam np. nikogo z prawicy. U mnie są z centroprawicy, lewicy, centrum.

> Toczy się brudna kampania w internecie przeciwko nam. Tu nie chodzi o fake newsy, ale o gigantyczną inwestycję w kłamstwo. Mamy do czynienia ze sponsorowanymi postami, podkreślam: pełnymi świadomie produkowanych kłamstw, które są płatnie promowane na Facebooku i innych platformach społecznościowych

I co to zmienia?

To, że moja ekipa będzie zbudowana wedle kryteriów profesjonalizmu, a nie lojalności wobec jakiejś partii. Jesteśmy lepiej przygotowani do zarządzania stolicą. Mamy doświadczenie samorządowe, mamy doświadczenie rządowe.

Trzaskowski też był ministrem – cyfryzacji i wiceszefem polskiej dyplomacji.

Tak, po kilka miesięcy, z dość miernymi wynikami, co w odniesieniu do cyfryzacji poświadcza raport Najwyższej Izby Kontroli. Z zadaniem zbudowania bezpieczeństwa cyfrowego nie poradził sobie. A już w samorządzie ani Rafał Trzaskowski, ani Paweł Rabiej nie spędzili ani minuty. Pierwsze cztery lata będą się uczyć, na czym to polega, inni będą tym kręcili, a Warszawa straci ten czas. Zarządzam w ministerstwie od trzech lat budżetem 11 mld zł, a Trzaskowski zarządzał miliardowym, przez chwilę. Podległe mi przedsiębiorstwa zwiększyły zyski o 60 proc. O sukcesach w zarządzaniu przez Trzaskowskiego cicho. Także w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Kiedy tam był, twierdził, że jeśli nie przyjmiemy przymusowo relokowanych uchodźców, zapłacimy kary. Nie przyjęliśmy, a kar nie ma. Wszystko, czym się zajmował, kończyło się porażką.

Świat nie jest sprawiedliwy – pan musiał się wdrapywać, on wszystko miał na starcie.

To prawda, musiałem się wdrapywać, on miał wszystko na wyciągnięcie ręki: stypendia, pieniądze, karierę – sam się tym chwalił. I arystokratyczną rodziną. Ale jacy są warszawiacy? W większości tacy jak ja, ciężko pracujący, spłacający kredyty, którym nikt nic nie dał za darmo. Jak bardzo zależy mi na stolicy, na jej rozwoju, pokazuję każdego dnia w kampanii. Mamy dobry, ambitny, przemyślany program. A Trzaskowski? Nawet „Gazeta Wyborcza" nie wytrzymała i zwróciła mu uwagę, że powiela niezrealizowane obietnice z 2006 r. Trochę wstyd. Jak ktoś tak leniwy może być dobrym

eprasa.pl 5f698ec8ce

prezydentem stolicy? Mam wrażenie, że on codziennie zadaje sobie pytanie: „Po co mi to było?”.

W jakim stopniu wielka polityka przekłada się na tę warszawską kampanię?

Pewne echo jest, ale największym przełożeniem jest duże poparcie dla PO w stolicy, dużo większe niż w większości regionów czy nawet miast. Piękno demokracji polega jednak na tym, że nie zawsze faworyci wygrywają, że czasem udaje się taką dominację przełamać. Jeśli mamy słabe 12 lat rządów Platformy w stolicy, słabego kandydata, znudzonego już dzisiaj tym miastem, to możliwe, że stworzy to masę krytyczną, która przyniesie zmianę. Jest jeszcze jeden powód: stolica to miasto tak doświadczone przez historię, w tym zbrodnie dokonane przez Niemców, że nie może sobie pozwolić na prezydenta, który, jak to robi Trzaskowski, mówi wyłącznie „naziści”, wpisując się w ten sposób w bardzo niedobre dla prawdy historycznej tendencje.

Pałac Kultury i Nauki zostanie?

Tak, zostanie w obecnym kształcie. Nie mam wątpliwości, dlaczego powstał, jednak dla pokolenia urodzonego po jego budowie stał się po prostu elementem krajobrazu Warszawy, jej symbolem. Mówią mi to także nasi wyborcy. Nie chcę wokół tej sprawy prowadzić sporu, który jeszcze bardziej skłóci mieszkańców. Mam natomiast pomysł na zagospodarowanie placu Defilad – to powinno być wielofunkcyjne, reprezentacyjne, ale i nowoczesne, zielone zarazem miejsce w stolicy.

Mówił pan o swoim doświadczeniu samorządowym, w tym w Opolu. Ale „Wyborcza” twierdzi, że pana koledzy z tego miasta boją się o panu mówić, a pana nauczycielka była wobec pana krytyczna.

Cóż, proponowałem dziennikarce cały zestaw telefonów do moich kolegów, którzy chętnie o mnie porozmawiają. Nie skorzystała, widocznie nie pasowało do tezy. A co do nauczycielki – zabrakło tam informacji, że ta pani aktywnie bierze udział w protestach KOD, startuje z list opozycji w wyborach, co jednak chyba jest istotne dla całości obrazu, a zapomniało się dziennikarce napisać. Szkoda słów na takie manipulacje. Zrobię jednak swoje podsumowanie tych wszystkich podłości po kampanii.

Zaczęliśmy rozmowę od pytania o to, czy jest ciężej, niż pan się spodziewał. Mamy wrażenie, że w domu teraz pan rzadko bywa. Jak to wygląda od tej strony?

To prawda, teraz nie ma mnie w domu prawie w ogóle. W tej kampanii więcej zrobić chyba się nie dało, a to ma swoją cenę. Ale cieszę się, że mam wsparcie rodziny. Jestem dumny, że moja żona rozumie stawkę, że podziela mój pogląd, że to jest walka także o to, by na 100-lecie odzyskania niepodległości stolica była zarządzana uczciwie, by nawiązywała do najpiękniejszych tradycji i odważnie patrzyła w przyszłość.

> Warszawa to miasto tak doświadczone przez historię, w tym zbrodnie dokonane przez Niemców, że nie może sobie pozwolić na prezydenta, który, jak to robi Trzaskowski, mówi wyłącznie „naziści”

Na ile pan szacuje szanse na spełnienie tego marzenia?

Szansa na wygraną jest bardzo duża. Większa, niż była kiedykolwiek w ostatniej dekadzie. To też szczególny moment: pewne proste rezerwy się wyczerpują, Warszawa ma wybór – albo ostro ruszy do przodu, zyska rozmach, albo będzie tkwiła w stagnacji. Można powiedzieć jeszcze mocniej: teraz albo nigdy! Albo wyrwiemy ją z patologii, nadamy jej nową dynamikę, albo na pięć długich lat, bo tyle będzie teraz trwała kadencja w samorządzie, utkniemy w miejscu.

Najbardziej przykre wydarzenie w kampanii?

Postawa części największych mediów, które nie opisują rywalizacji, ale prowadzą agresywną kampanię pełną kłamstw. Kiedy proponujemy coś pozytywnego, możemy być pewni, że w tym właśnie dniu ukaże się kolejny atak: a to, że nie mam wykształcenia, co jest bzdurą, a to, że wyrzuciłem z rejestru księży pedofilów, co jest kłamstwem, bo o tym, kto tam zostanie zapisany, decydują sądy. Wreszcie, że rzekomo powiedziałem, iż rząd nie da pieniędzy na mosty stolicy rządzonej przez Trzaskowskiego. W rzeczywistości powiedziałem ironicznie, że on sam nie chce budować mostów, o czym mówił, to trudno będzie dać na to pieniądze. Poziom kłamstw bywa przerażający.

A pozytywne?

Ogromna fala ludzkiej aktywności, tysiące sygnałów, że ludzie na nas liczą. Mobilizacja, jakiej w stolicy nikt dawno nie widział, i wielka wiara w pogonienie tego skorumpowanego układu.

Pierwsza decyzja, gdyby został pan prezydentem?

Budowa trzeciej i czwartej linii metra. Wiem, jak to zrobić, i udowodnię wszystkim, że to zrobię.

Co by pan powiedział Rafałowi Trzaskowskiemu, gdybyście się spotkali w cztery oczy?

Że niepotrzebnie się godzi, by z jego kręgu wychodziły tak brudne ataki, że zwycięstwo fair smakuje dużo lepiej, a nieprawości zawsze do autora wracają. Ale dużo ważniejsze jest to, co chcę powiedzieć warszawiakom: nawet jeśli nigdy nie głosowaliście na prawicę, to proszę, zastanówcie się, czy nie czas pokazać tym, którzy rządzili tu tak długo, żółtą kartkę. Dajcie szansę zmianie, spróbujmy razem wpuścić tu nieco nowej energii, nowych impulsów. A potem, po jednej kadencji, sami ocenicie, czy było warto.

5/0618/F

eprasa.pl 5f698ec8ce



TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.

ORLEN

eprasa.pl 5f698ec8ce



Andrzej Halicki, Roman Smogorzewski, Marcin Kierwiński, Grzegorz Schetyna i Jan Grabiec

Roman, prowadź nas do boju!

Żenujący występ prezydenta Legionowa, któremu kandydatki w wyborach kojarzyły się głównie z seksem, wywołał burzę. Prostackie dowcipy Romana Smogorzewskiego prowokują do zadania pytań o prawdziwe oblicze Platformy Obywatelskiej i jej lokalnych działaczy

Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Ten dzień prezydent Legionowa Roman Smogorzewski zapamięta chyba na dłużej. W poniedziałek 24 września w podwarszawskim mieście odbywała się konwencja, podczas której przedstawiano kandydatów lokalnego Porozumienia Samorządowego w nadchodzących wyborach. Porozumienie Samorządowe to formalnie koalicja zrzeszająca mieszkańców, jednak blisko związana, choćby przez osobę Smogorzewskiego, z Platformą Obywatelską.

Kandydatów osobiście prezentował prezydent miasta. Licznie zebrani widzowie i goście – wśród nich rzecznik prasowy PO poseł Jan Grabiec – stali się uczestnikami żenującego spektaklu. Smogorzewski, najwyraźniej przeceniając własne siły, postanowił się zabawić w stand-upera. Pokpiwszy chwilę z urody i imion kandydatów na radnych („Boże, dzieci są takie brzydkie", „Emil? Kto ci dał tak na imię?"), zajął się wnikliwą oceną kandydatek. „Jest z tobą taki kłopot, bo jesteś trochę za ładna... Masz wiele innych walorów" – mówił o jednej. Kolejną zaprosił na scenę słowami: „No i pani od seksu... Przepraszam, ale tak mi się pani kojarzy".

Wezwane na podium kandydatki, słysząc te „komplementy", spuszczały wstydliwie głowy i podśmiewały się jak podlotki. Smogorzewski również był bardzo rozbawiony i co chwila kompulsywnie chichotał. „Tutaj mamy dwie, najbardziej chyba aktywne... Powiedziałbym, że napalone" – przedstawiał publiczności następne panie. I tak dalej w tym samym stylu.

Gdy wreszcie skończył, na scenę energicznie wkroczył uśmiechnięty poseł Grabiec i – jak gdyby nigdy nic – wręczył Smogorzewskiemu szablę, aby ten poprowadził swoją „napaloną" ekipę do zwycięskiego boju.

NIC SIĘ NIE STAŁO?

Przez dwa tygodnie po nieszczęsnej konwencji panowała cisza. Nikt w Legionowie ani wśród władz PO, której członkiem był Roman Smogorzewski, nie dopatrzył się w jego zachowaniu niczego zdrożnego. Lokalne media z zachwytem piały nad

eprasa.pl 5f698ec8ce

Smogorzewskim, zachwycając się jego wielką klasą i światowymi manierami, wyliczano jego dotychczasowe zasługi i plany na następną kadencję. Słowem odtrąbiono kolejny sukces (co przy okazji pokazuje całkowite uzależnienie tych mediów od miejscowych układów).

Trzęsienie ziemi nastąpiło dopiero 5 października, gdy wicemarszałek Sejmu Stanisław Tyszka z ruchu Kukiz '15 udostępnił w internecie film z konwencji. Co ciekawe, nagrania ze Smogorzewskim zamieszczono znacznie wcześniej na kanale legionowskiej telewizji w serwisie YouTube, ale nikomu najwyraźniej nie chciało się oglądać ponadpółtoragodzinnego materiału. Tymczasem w krótkim filmie od posła Tyszki było wszystko podane jak na tacy: Smogorzewski chichoczący na temat „napalonych" pań. I poseł Grabiec wręczający szablę swojemu „dowcipnemu" koledze.

Żenujący występ Smogorzewskiego wywołał burzę. Prostackie dowcipy, ich seksualny podtekst, prowokowały do zadania pytań o prawdziwe oblicze Platformy Obywatelskiej i jej lokalnych działaczy. Najbardziej zadziwiające było to, że nikomu w PO słowa Smogorzewskiego nie przeszkadzały do czasu, aż nagranie z jego występem nie zostało rozpowszechnione. Może z tego wynikać, że takie prześne żarty są normą – wszyscy wszak radośnie chichotali. Pytanie tylko, czy ten chichot był podszyty konformizmem (lepiej chichotać, bo inaczej będą kłopoty), czy też takie po prostu jest poczucie humoru lokalnych działaczy.

Poseł Tomasz Rzymkowski (Kukiz '15) uważa, że podobnie jak w Legionowie jest również w jego rodzinnym Kutnie. Jak stwierdził, kandydat na prezydenta Kutna z ramienia Koalicji Obywatelskiej Janusz Pawlak również słynie z niecodziennego zachowania. Zdaniem Rzymkowskiego Pawlak – były dyrektor Zespołu Szkół nr 1 im. Stanisława Staszica w Kutnie, a obecnie lider PO w tym mieście – miał w wulgarny sposób zwracać się do uczniów. „Dawaj, laska, bo stygnę", „co jesteś taki smutny – idź przytul się do cyca", „nie myśl, bo masz za ciasne spodnie", „jak chcesz mieć lepsze oceny, to chodź ze mną jutro na basen" – cytował Rzymkowski.

Pawlak w odpowiedzi zagroził wytoczeniem procesu Rzymkowskiemu, ale od przytoczonych słów całkiem się nie odciął, zastrzegając jedynie, że to nie jest jego język. W rozmowie z portalem naTemat tłumaczył, że „to sprawa sprzed kilku lat". „Miałem ponad 30 kontroli pedagogicznych z kuratorium w zakresie miękkich relacji z uczniami, które niczego nie wykazały" – zapewnił.

Pawlak dodaje również, że przeprowadzona anonimowa ankieta wśród uczniów kierowanej przez niego szkoły nie potwierdziła zarzutów.

ŁUBU-DUBU

Problem w tym, że lokalne społeczności boją się narazić władzom. W przypadku Romana Smogorzewskiego, który rządzi Legionowem już od 16 lat, też nikt nie miał żadnych uwag. Po wybuchu afery z występem na konwencji jego profil społecznościowy na Facebooku został wręcz zasypany wyrazami poparcia od „lojalnych mieszkańców". „Panie Prezydencie, jesteśmy z Panem. Za wkład i ciężką pracę dla naszego miasta Legionowa dziękujemy", „Powodzenia, Panie Prezydencie. Nie mają się do czego przyczepić, to szukają nieistotnych głupot". „Trzymaj się, Romanie" – głosiły kolejne wpisy.

Jak ktoś przytomnie zauważył, wpisów na profilu Smogorzewskiego mogli dokonywać wyłącznie jego znajomi, ponieważ wyłączył on możliwość komentowania osobom postronnym. Mieliśmy więc do czynienia ze współczesną wersją słynnej sceny z „Misia", w której trener Jarząbek odśpiewywał prezesowi Ochódzkiemu „Łubu-dubu, niech żyje prezes naszego klubu". I choć z perspektywy dużego miasta może wyglądać to dość groteskowo, to lokalnym społecznościom często uzależnionym od miejscowych układów nie jest bynajmniej do śmiechu. Tym bardziej że jak można się dowiedzieć, administratorzy lokalnych stron nieprzychylnych Smogorzewskiemu, dostają pogróżki i – na wszelki wypadek – ograniczają swoją działalność w internecie.

Roman Smogorzewski w opublikowanym w apogeum afery oświadczeniu stwierdził, że jego zamierzeniem „nie było nikogo urazić, lecz przedstawić sylwetki [kandydatów] w bardziej luźny i humorystyczny sposób". Dodał, że „wyrwane z kontekstu" wypowiedzi mają na celu „zdyskredytowanie" jego osoby przed wyborami. Pojawił się też w specjalnie przygotowanym spocie, w którym możemy zobaczyć go całującego w dłoń żonę. Zapewnił w nim, że nie zrezygnuje z kandydowania na kolejną kadencję ponieważ „szczerze kocha" Legionowo oraz zaapelował do mieszkańców, aby nie pozwolili, aby „PiS i warszawskie media" decydowały o tym, kto ma być prezydentem miasta.

OBSZARNIK

Nic dziwnego, że Smogorzewski nie zamierza rezygnować. Ale chyba nie chodzi tu tylko o „miłość" do Legionowa. W rankingu najbogatszych polityków samorządowych Smogorzewski zajmuje poczesne miejsce. Według ostatniego oświadczenia wartość jego majątku wynosi ponad 5 mln zł (w tym dom na działce o powierzchni 2,7 tys. m^2, siedem innych działek oraz lokal usługowy). Dla porównania Hanna Gronkiewicz-Waltz może się pochwalić majątkiem o wartości 6,4 mln zł, a prezydent Gdańska Paweł Adamowicz zadeklarował „zaledwie" 4,3 mln.

Mieszkająca w Legionowie Magdalena Brzeska (córka zamordowanej działaczki lokatorskiej z Warszawy Jolanty Brzeskiej) twierdzi na Twitterze, że Smogorzewski oraz kilku innych miejscowych działaczy (w tym Jan Grabiec) kupują liczne nieruchomości na licytacjach. Na początku 2018 r. do legionowskiej rady miasta wpłynął nawet wniosek o wygaszenie mandatu Smogorzewskiego w związku z prowadzeniem przez niego działalności gospodarczej. O co chodziło? Według cytowanego przez portal Gazetapowiatowa.pl działacza społecznego Dariusza Petryki poszło o „kupowanie nieruchomości na licytacjach komorniczych, zbywanie ich z zyskiem na rzecz osób trzecich, sięgające łącznej kwoty 450 tys. zł dochody z tytułu dzierżawionych w latach 2014–16 nieruchomości i o pożyczki bankowe zaciągane w celu nabywania nowych nieruchomości". Jednak wniosek Petryki o wygaszenie mandatu Smogorzewskiemu przepadł w głosowaniu

eprasa.pl 5f698ec8ce

w radzie miasta. W tej chwili w Prokuraturze Okręgowej Warszawa-Praga toczy się śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień przez prezydenta Legionowa m.in. w związku ze sprzedażą działek miejskich poniżej ich wartości.

Przy okazji w sieci pojawia się coraz więcej doniesień na temat dość specyficznego stylu prezydenta Legionowa. Obok zdjęć Smogorzewskiego leżącego w otoczeniu rozbawionej grupki bosonogich pań (prawdopodobnie Azjatek) pojawiły się też poważniejsze zarzuty ze strony wspomnianej już Magdaleny Brzeskiej, która napisała Smogorzewskiemu: „Przykro mi, że po raz kolejny poczułam się jak towar po Pana słowach. Podobnie pewnie czuły się te Panie na scenie i zapewne nie wiedziały, jak się zachować. Podobnie pewnie jak ja, gdy kilka lat temu postanowił Pan wykorzystać swoje stanowisko, obłapiając mnie podczas jednej z imprez miejskich […] Nie ma Pan szacunku do ludzi, traktuje ich Pan strasznie. Szczególnie dotyczy to kobiet. I szczerze mówiąc – w innych krajach byłby Pan politycznie skończony" – napisała Magdalena Brzeska.

Na razie Smogorzewski nie zamierza kończyć kariery. Jedyne, z czego musiał zrezygnować po wybuchu afery, to członkostwo w PO.

HIPOKRYZJA

W przypadku Smogorzewskiego bardzo wymowna jest wstrzemięźliwość działaczek feministycznych i wielu liberalnych mediów. Poza odnotowaniem jego „występów" na konwencji w Legionowie oraz kilkoma krytycznymi komentarzami panuje bowiem wstydliwa cisza. Bo choć wspomniane środowiska z obrzydzeniem przyjęły słowa Smogorzewskiego o „zbyt ładnych" i „napalonych" kandydatkach w wyborach, to przecież gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Wystarczyło, że Smogorzewski wystąpił z PO (wprawdzie dopiero dwa tygodnie po nieszczęsnym występie) i lepiej już do tematu nie wracać.

Dotyczy to dyżurnych agitatorek feminizmu takich jak Magdalena Środa, Kazimiera Szczuka i różne inne aktywistki „czarnych marszów", jak również feministycznych koalicjantek PO: Barbary Nowackiej i Katarzyny Lubnauer. Obie panie nie wykrztusiły z siebie słowa poważniejszej krytyki. Mówiąc szczerze, zdziwiłbym się, gdyby się na to odważyły. Przecież zarówno pani Lubnauer, jak i pani Nowacka nie przystąpiły do koalicji z PO, aby walczyć o równość i szacunek dla kobiet. A w każdym razie nie był to najważniejszy powód. Głównym powodem jest walka z PiS i tej walce podporządkowane jest wszystko, również feministyczne postulaty. Najpierw trzeba wziąć władzę, pokonać (a może – jak chce prof. Sadurski – zdelegalizować) PiS, a dopiero później będzie czas na wprowadzanie w życie liberalno-lewicowej agendy. Mizogiński występ prezydenta Legionowa to – z tego punktu widzenia – zaledwie drobny incydent w wojnie z „pisowskim reżimem".

Barbara Nowacka ograniczyła się do nazwania zachowania Smogorzewskiego „fatalnym i nieakceptowalnym" oraz do kilku równie lakonicznych postów w mediach społecznościowych. Znacznie ważniejsze było dla niej, aby wytknąć przy tej okazji PiS posła Łukasza Zbonikowskiego i słynny romans Stanisława Pięty.

Przypomnijmy, że Łukasz Zbonikowski, pochodzący z Włocławka poseł PiS – wedle relacji swojej żony – dręczył ją psychicznie, naruszał jej nietykalność i zdradzał. Przez pewien czas był nawet z tego powodu usunięty z szeregów partii (wrócił do PiS w 2016 r.). Z kolei Stanisław Pięta – bohater romansu z niejaką Izabelą Pek – jest po swoich obyczajowych perypetiach od kilku miesięcy zawieszony w prawach członka PiS.

Obaj posłowie są dorosłymi ludźmi i politykami, zatem nie powinni liczyć na zrozumienie ani współczucie. Również na prawicy. Zwłaszcza obecność Łukasza Zbonikowskiego na liście członków PiS stanowi obciążenie dla tej partii i utrudnia jej krytykowanie seksistowskich zachowań w szeregach konkurencji.

> Roman Smogorzewski może wygrać kolejne wybory. Pal licho jego obleśne żarty. Najważniejsze, że dzielnie walczy z PiS

Jednak – pomimo to – są duże różnice pomiędzy Piętą i Zbonikowskim z jednej strony, a Smogorzewskim z drugiej. W przypadku dwóch posłów prawicy ich problemy związane są z ich życiem prywatnym, Smogorzewski pozwalał sobie na seksizm publicznie i przy licznych świadkach, wśród których znalazł się prominentny poseł Platformy. Nie zmienia to oczywiście negatywnej oceny zachowań Pięty ani Zbonikowskiego, obaj są dowodem na to, że seksistowskie i podobne zachowania nie zależą od przynależności partyjnej. Ale trudno mi przypomnieć sobie podobny występ jakiegokolwiek polityka PiS, w którym publicznie opowiadałby o kobietach, że są „napalone" i kojarzą mu się z seksem. Być może jest to kwestia kulturowa, na prawicy znacznie trudniej jest pochwalać instrumentalne traktowanie kobiet, nawet jeśli takie sytuacje czasem się zdarzają. Hipokryzja? Nawet jeśli, to z pewnością nie większa i mniej szkodliwa społecznie niż po drugiej stronie.

Druga strona – przede wszystkim w swoim ludowym zapleczu – nie ma najwyraźniej tego rodzaju hamulców, przeciwnie – afirmuje prostackie zachowania i uważa je za oznakę wyluzowania oraz przejaw nowoczesności rozumianej dość prymitywnie jako zerwanie zbyt rygorystycznych norm. Trudno się więc dziwić, że Smogorzewski i jemu podobni są zaskoczeni negatywną reakcją, doszukując się w niej wyłącznie politycznych motywów. Tym bardziej że część środowisk liberalnej lewicy, wpisując wszystko w logikę totalnej wojny z PiS, daje Smogorzewskiemu alibi i petryfikuje tym samym patologiczne stosunki w tym i prawdopodobnie wielu innych miejscach w Polsce.

Roman Smogorzewski może wygrać kolejne wybory. Pal licho jego obleśne żarty. Najważniejsze, że dzielnie walczy z PiS, prawda?

23/0918/F

eprasa.pl 5f698ec8ce



eprasa.pl 5f698ec8ce

Strzał z kapiszona

Lubimy zaglądać za kulisy polityki, poznawać prawdziwe oblicze osób, które na co dzień starannie kreują swój wizerunek. Dlatego podsłuchane rozmowy są tak atrakcyjnym kąskiem, a każde nagranie jest drobiazgowo analizowane. Niekiedy bardziej niż na to zasługuje. Zwłaszcza w czasie wyborczego wyścigu



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Gdy kilka miesięcy temu zastanawialiśmy się, o co toczyć się będą najgorętsze przedwyborcze spory, mogliśmy wyliczać sprawy lokalne: inwestycje, transport, uczciwość urzędników, edukację czy afery deweloperskie, a w szerszym ujęciu np. kwestię praworządności, która od lat dominuje w umysłach polityków opozycji.

Któż mógł przypuszczać, że na finiszu kampanii głównym jej tematem stanie się nagrana przed kilkoma laty prywatna rozmowa premiera Mateusza Morawieckiego w czasie, gdy kierował bankiem? Onet.pl jeden cel osiągnął: na wiele dni narzucił polityczną agendę. Ale celu ważniejszego – co najmniej zachwiania obozem władzy – nie udało się osiągnąć. A że taki właśnie został postawiony, nie sposób zaprzeczać. Mieliśmy analizy z konkretnym stwierdzeniem już w tytule: „Taśmy osłabią Morawieckiego", dywagacje o dymisji szefa rządu czy publikacje poświęcone „kryzysowi" wokół nagrania z premierem.

PREMIER NA CELOWNIKU

Czy gdyby centralną postacią kampanii Prawa i Sprawiedliwości nie był Mateusz Morawiecki, obserwowalibyśmy takie pompowanie tematu jego spotkania u Sowy & Przyjaciół? Zapewne nie. Redakcja portalu rzuciła na ten odcinek pięciu dziennikarzy plus wielu kolejnych do robienia boków tej historii – odnotowywania wszystkich komentarzy, pisania analiz, rozkręcania tematu. Ten zwarty oddział nie znalazł jednak wśród wielu tysięcy stron akt i godzin nagrań nic innego, czym mógłby zaciekawić czytelników.

Zmobilizowano takie siły, jakby odkryto jakiś gigantyczny skandal, który może przemeblować scenę polityczną. A przecież takiego potencjału w tej sprawie nie ma i doświadczeni dziennikarze, którzy firmują tę opowieść, dobrze o tym wiedzą. W porównaniu z zasadniczą aferą taśmową, jaką była treść ujawnionych przed laty nagrań urzędujących ministrów, szefów służb i prezesów państwowych spółek, rozmowa z udziałem Morawieckiego to jednak tylko ciekawostka zza kulis polityki.

I wydaje się, że tak też sprawa jest odbierana przez Polaków, co potwierdził sondaż przeprowadzony przez IBRiS dla „Rzeczpospolitej", z którego wynika, że nagrania nie wpłyną na decyzje wyborcze.

Również pozycja Morawieckiego w obozie Zjednoczonej Prawicy nie została zachwiana, co dość szybko podkreślił w wywiadzie dla TVP Jarosław Kaczyński, deklarując pełne zaufanie do premiera i ujawniając, że już w czasie rządów Platformy Obywatelskiej ówczesny prezes BZ WBK był blisko PiS.

GDZIE RESZTA?

Zastanówmy się nad wybiórczością dziennikarzy Onetu, którzy nie zaprezentowali czytelnikom wszystkich nagrań. Czego nie usłyszeliśmy? A może precyzyjniej, czego mieliśmy nie usłyszeć? Poznaliśmy nagranie z Mateuszem Morawieckim, bo chodzi o obecnego szefa rządu (choć w czasie nagrania był prezesem prywatnego banku) i tylko z tego powodu jest ono ciekawe, bo – szczerze mówiąc – jego ciężar gatunkowy jest zaskakująco mały w porównaniu z taśmami sprzed czterech lat. A co z resztą materiału, którym dysponuje Onet? Dlaczego nie dzieli się nim z odbiorcami? Pewnie dlatego, że poza Morawieckim nie ma tam nikogo, kogo można by powiązać z obecnym rządem, więc uznano, że to nieciekawe. A może nawet ktoś doszedłby po raz kolejny do wniosku, że afera taśmowa jest wyłącznie aferą Platformy Obywatelskiej?

Przecież to jej ludzie dyskutowali o łataniu dziury budżetowej pieniędzmi z banku centralnego, o neutralizowaniu kłopotów podatkowych ministra infrastruktury czy prawdziwym przebiegu prywatyzacji Ciechu. Szef dyplomacji podważał polską politykę zagraniczną, szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego oskarżał ministra spraw wewnętrznych o zlecenie podpalenia budki policyjnej podczas Marszu Niepodległości, politycy lewicy dywagowali o korupcji z udziałem ministra obrony, a rzecznik rządu namawiał jednego z najbogatszych Polaków do próby usunięcia niewygodnego dla władzy redaktora naczelnego najpopularniejszej gazety w kraju.

Ujawniony materiał jest oczywiście w pewnej mierze kłopotliwy dla premiera. Dziwnie może się poczuć wyborca Zjednoczonej Prawicy, gdy sły-

eprasa.pl 5f698ec8ce



szy, że Morawiecki szuka sposobu, by wesprzeć po cichu Aleksandra Grada „stówką" lub mało pochlebnie wyraża się o podatności klientów jego banku na reklamy. W ostrym komentarzu zwrócił na to uwagę nawet Wojciech Cejrowski: „Po prostu jest mi przykro, że zrobił nas w konia, bo jawił się kim innym, kiedy w garniturach do zdjęć pozował, kiedy wspierał PiS i zostawał premierem".

Szerzej o zawartości „nowych" taśm pisze na kolejnych stronach tego numeru „Sieci" Jan Rokita. Polecamy autorską analizę ujawnionego materiału.

SKĄD CIEKNIE?

Dziennikarze Onetu przyznali, że materiał mają z akt, do których w zaskakująco pilnym trybie dostęp dał im Sąd Najwyższy. Ich publikacja spotkała się praktycznie z natychmiastową reakcją. Portal tvp.info opublikował inne nagrania, tym razem wprost obciążające polityków Platformy. Te taśmy pochodzą z innego źródła (nie ma ich w materiałach śledztwa), co może wskazywać na dwie rzeczy: jest kilku dysponentów nagrań, a niektóre z nich są także u osób sprzyjających obecnej władzy. Pamiętajmy, że wcześniej – poza tygodnikiem „Wprost", który ujawnił aferę – fragmenty nieznajdujących się w aktach rozmów upubliczniane były właśnie w TVP Info czy w tygodniku „Do Rzeczy".

Mimo to wciąż nie da się jednoznacznie powiedzieć choć prze do tego opozycja że za nagraniami stoją służby związane z PiS. Wielokrotnie taką narrację próbowała narzucić „Gazeta Wyborcza", teraz prym w tej opowieści wiedzie Onet, niemal kopiując dawne publikacje Wojciecha Czuchnowskiego.

> Co z resztą materiału, którym dysponuje Onet? Dlaczego nie dzieli się nim z odbiorcami? Pewnie dlatego, że poza Morawieckim nie ma tam nikogo, kogo można by powiązać z obecnym rządem

Odwołując się do logiki, gdyby nagrywali ludzie związani z Prawem i Sprawiedliwością, to taśma z Morawieckim, nawet tak nieszkodliwa, wylądowałaby na dnie Wisły i nigdy byśmy o niej nie usłyszeli.

Jest jeszcze jeden aspekt nowej odsłony afery taśmowej. Chodzi o swoiste zarządzanie strachem, co u kresu kampanii wyborczej może mieć trudne do przewidzenia skutki. Widzimy tu następujący mechanizm: pokazujemy wam mało istotny wycinek, by udowodnić, że to nie jest absolutny fake i jakieś taśmy rzeczywiście mamy, ale o tych naprawdę kompromitujących (jeżeli istnieją?) możemy tylko pospekulować. To zresztą okazało się bronią obosieczną, bo z jednej strony sufluje się nam plotki o Morawieckim kupującym nieruchomości na „słupy", ale z drugiej jest mowa o obyczajowych ekscesach Rafała Trzaskowskiego i Grzegorza Schetyny w jednym z ośrodków turystycznych w Karpaczu. To rozgrzewa emocje i działa na wyobraźnię tak bardzo, że szybko można stracić z oczu konkrety. Zwłaszcza że jest ich tak niewiele.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 5f698ec8ce



Fot. Fratria

Coraz niższe standardy



JAN ROKITA

Co prawda nie całkiem ścisłe fragmenty rozmowy sprzed pięciu lat, z udziałem czwórki prezesów wielkich firm, były już publikowane przez Radio Zet czy tygodnik „Newsweek", ale dopiero teraz taśma zrobiła wielką karierę, po zamieszczeniu przez Onet w sieci kompletnego nagrania. Myślę, że w wolny wieczór warto nałożyć na uszy słuchawki i wysłuchać tego nagrania w całości.

To bowiem wyjątkowa okazja, aby nie tylko wyrobić sobie pogląd na osobowość i prawdziwe poglądy obecnego szefa rządu, lecz także wczuć się w problemy, o których dyskutują przy kolacji prezesi wielkich banków i koncernów energetycznych. W końcu bardzo rzadko (albo zgoła nigdy) mamy okazję przyłapać tego typu ludzi w sytuacjach otwartej rozmowy, toczonej na dodatek w ich własnym zamkniętym gronie. A już całkowitym ewenementem jest szansa na podsłuchanie ideologicznych wywodów bankiera, który wkrótce potem zostanie przecież polskim premierem.

Dzisiejsza polityka, która rządzi się bezwzględnie przestrzeganym przez polityków zakazem wykraczania poza język politycznego PR i propagandy, nie pozwala nam przecież dowiedzieć się niczego o rzeczywistych przekonaniach ludzi władzy. A publicznie wypowiadane przez nich słowa rzadko mają jeszcze jakiś związek z rzeczywistością.

SPRAWA GRADA

W zapisanej na taśmie rozmowie najlepiej wypada ówczesny (a także obecny) prezes banku PKO BP Zbigniew

eprasa.pl 5f698ec8ce



Ujawniona ostatnio trzyipółgodzinna tzw. taśma Morawieckiego jest ciekawa, jeśli słuchać jej jako swoistego reality show z życia rekinów polskiego biznesu

Jagiełło. I to nie tylko dlatego, że jako jedyny z trzech mężczyzn nie przeklina w obecności kobiety. W dobrym świetle stawia go jego długa i pełna anegdot opowieść o tym, jak musiał bronić swojej firmy przed próbą narzucenia jej zadania „czyszczenia" SKOK-ów, w tym ścigania ich licznych i kłopotliwych dłużników. Jagiełło nie poddał się tu żądaniom ekipy Tuska, a zwłaszcza natarczywym telefonom Jana Krzysztofa Bieleckiego, zarzucającego mu „brak postawy propaństwowej".

Inna ciekawa opowieść Jagiełły dotyczy tego, jak jego bank zręcznie próbowali oszwabić Rosjanie, działający za pośrednictwem pewnego słynnego warszawsko-nowojorskiego prawnika. I – co najistotniejsze – Jagiełło zręcznie wymiguje się z dwóch najbardziej kompromitujących sytuacji, utrwalonych na taśmie. Zaraz na początku rozmowy okazuje się, że za protekcją Mateusza Morawieckiego przyjął co prawda do banku syna wrocławskiego polityka, ale kazał na tyle obciążyć go pracą, iż ten... zrezygnował z załatwionej mu przez tatę posady, bo „odczuwał za duże przeciążenie i chciał zarabiać więcej". Gdy zaś w toku rozmowy okazuje się, że prezes koncernu PGE Krzysztof Kilian chciałby załatwić jakiś ekstrazarobek dla byłego ministra Aleksandra Grada, Jagiełło uchyla się od udzielenia koledze prezesowi takiej pomocy, motywując to wymogami wykształcenia, niespełnianymi przez Grada, oraz... nazbyt niskimi zarobkami w podległych mu radach nadzorczych. Na swoje nieszczęście z ofertą pomocy zamiast Jagiełły wychodzi prezes banku BZ WBK Mateusz Morawiecki.

Sprawa Grada jest dla Kiliana głównym punktem spotkania. Prezes PGE tłumaczy kolegom prezesom, że potrzebuje jakoś obłaskawić Grada, który potrzebny mu jest bardzo w jego planach rozwoju energetyki. Nawiasem mówiąc, Grad, choć nieobecny na kolacji, jest tu postacią szczególnie ośmieszoną. Czwórka prezesów przez niemal pół godziny dyskutuje o tym, jakby załatwić mu jakieś większe pieniądze, bo „narzeka i jęczy" (jak relacjonuje Kilian), a „za bardzo nie lubi pracować i jest monotematyczny: chodzi mu o kasę" (doprecyzowuje zastępczyni Kiliana Bogusława Matuszewska).

Morawiecki, który w tej sprawie dość długo milczy, w końcu proponuje: „Jednorazowo pięć dych czy siedem, czy stówkę mu damy na jakieś badania czy coś", zastrzegając, że Gradowi trzeba to powiedzieć „po cichu". Kilian jest wdzięczny, dziękuje Morawieckiemu za zdjęcie mu kłopotu z głowy. A jak ważna to dlań sprawa, świadczy fakt, że do szczegółowej rekapitulacji ustaleń w sprawie Grada panowie wracają jeszcze przy samym wyjściu z sali restauracyjnej. Bez dwóch zdań rzecz jest dla Morawieckiego kompromitująca i to jest właśnie ta część rozmowy, w której szczególnie czuć duszną woń panującego w biznesie systemu protekcji. Można zrozumieć sprytnego Kiliana, który chce załatwić sobie przychylność Grada przy pomocy swoich kolegów prezesów banków. Nie sposób jednak zaakceptować postawy Morawieckiego, nawet jeśli kierowała nim chęć swoistej pomocy dla kolegi prezesa PGE.

LUDZIE Z RZĄDU TO DRAMAT

Także Kilian i Matuszewska ciekawie opowiadają o swoich kłopotach. Kilian przybiera ton ironiczno-sarkastyczny, gdy relacjonuje posiedzenie rady nadzorczej PGE, której głupi i bezczelni członkowie (mianowani przez rząd) próbowali nakłonić zarząd koncernu do zatajania informacji, co w przypadku spółki publicznej oznaczałoby czyn kryminalny. Ze słów obojga szefów PGE wynika ich pełen (jak się wydaje) uzasadnionej pogardy stosunek do przysłanych im do firmy członków rady nadzorczej, a Matuszewska przy tej okazji w ogóle załamuje ręce nad ludźmi z rządu („Jak się patrzy na jakość administracji rządowej, to jest dramat"). Kilian z wyraźnym przejęciem opowiada również w szczegółach, jak kierowany przez Mikołaja Budzanowskiego resort skarbu dał się użyć Rosjanom do wywarcia presji energetycznej na Niemców i Francuzów. Chodzi o słynne polsko-rosyjskie memorandum, po którym Budzanowski stracił swoją posadę.

Co ciekawe, Morawiecki początkowo nie rozumie politycznego mechanizmu rosyjskiego szantażu, aż w końcu, gdy Kilian tłumaczy mu całą rzecz po raz trzeci, nie może uwierzyć, że to wszystko działo się poza wiedzą polskiego premiera. Pewna polityczna naiwność w sumie dobrze świadczy o przyszłym szefie rządu, który nie umie sobie wyobrazić, że w kluczowych sprawach państwa premier może być aż tak „malowany".

ZARZĄDZANIE OCZEKIWANIAMI

Znaczną część rozmowy zajmują rozważania bardziej ogólne, dotyczące społeczeństwa i gospodarki. Tu rozmówcy niemal we wszystkim się z sobą zgadzają, a pewna różnica dotyczy tylko oceny młodego pokolenia Polaków.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Morawiecki nie zgadza się z optymistycznym pod tym względem poglądem Matuszewskiej, uważając, że dewizą młodych Polaków jest „nic nie robić, lecz dużo zarabiać". „Nie rozumieją, że idą ciężkie czasy" – dodaje. Trzeba przyznać, że wizja przyszłości Morawieckiego jest realistyczna i bardzo trzeźwa. Jego zdaniem głównym zadaniem demokratycznych polityków na najbliższych „dziesięć, dwadzieścia lat" jest (nazywa to po angielsku) „management of expectations". Owo „zarządzanie oczekiwaniami" ma polegać na tym, aby nie tylko nie rozbudzać materialnych oczekiwań społeczeństw co do przyszłości (taką politykę Morawiecki ocenia bardzo surowo), lecz przeciwnie – uczyć ludzi tego, że „idą ciężkie czasy", więc trzeba zaniżyć własne materialne ambicje.

Sędziowie Sądu Najwyższego pogwałcili „Regulamin urzędowania sądów powszechnych", który zakazuje dziennikarzom kopiowania dokumentów, taśm i obrazów, zezwalając tylko na czynienie własnych notatek

Morawiecki ostro i z lekceważeniem mówi o sarmackim dziedzictwie demokracji szlacheckiej, podtrzymywanym w XVIII w. w Polsce za rosyjskie pieniądze. W tym kontekście pada znane już szeroko i mocne zdanie: „Trzysta lat temu daliśmy d...y i zamiast mieć porządny oświecony absolutyzm, to bawiliśmy się w jakieś demokracje szlacheckie itd.". Morawiecki ujawnia się jako zwolennik silnej władzy i tzw. krakowskiej (w przeciwieństwie do „warszawskiej") szkoły historycznej, która w szlacheckim republikanizmie I Rzeczypospolitej upatrywała przyczyn wszelkich późniejszych nieszczęść Polski. Trudno nie zauważyć, jak bardzo rozmija się tu z typowym stylem myślenia pisowskich intelektualistów, którzy właśnie w owym republikanizmie i późniejszej tradycji powstańczej upatrują sedna tradycji narodowej oraz patriotycznej. Także uwagi o nadmiernych aspiracjach młodych i cała kluczowa dla myśli Morawieckiego teoria „zarządzania oczekiwaniami" jest ideowo całkowicie obca PiS i sprzeczna z uprawianą dziś przez samego premiera nachalną propagandą.

PSEUDOINTERPRETACJE

Nie tylko sama treść rozmowy, lecz także mechanizm ujawnienia taśmy stały się przedmiotem swoistych partyjnych „wykładni", budowanych na użytek propagandy przed wyborami komunalnymi. Co ciekawe, takiej wykładni po stronie opozycji nie stworzyli politycy PO, którym sama debata o taśmach, a zwłaszcza o sprawie Grada, jest całkiem nie na rękę. Wyręczyła ich pod tym względem „Gazeta Wyborcza", która w wielu publikacjach starała się wykazać, że ujawnienie taśmy to wynik spisku ministrów Zbigniewa Ziobry i Mariusza Kamińskiego próbujących wykończyć premiera.

Z kolei PiS (tweetem swojej rzeczniczki Beaty Mazurek) próbowało konstruować wizję innego spisku, ale zawiązanego przez lidera PO Grzegorza Schetynę z... Niemcami podczas jego niedawnej wizyty w Berlinie. W ten zręczny sposób uruchomiona została na prawicowych portalach fala wrogości wobec Niemiec i żądań „polonizacji mediów" (jak wiadomo, Onet jest własnościowo szwajcarsko-niemiecki). Najwyraźniej taka teoria wydała się Jarosławowi Kaczyńskiemu niezbyt wyborczo użyteczna, gdyż postanowił osobiście w tej sprawie zabrać głos na antenie TVP, oskarżając „mafie vatowskie o atak na premiera". Tej linii wyznaczonej przez prezesa PiS trzyma się teraz sam Morawiecki, który nie uznał za stosowne uczciwie odnieść się do tego, co zarejestrowała taśma, ale jeździ po Polsce, opowiadając o mszczących się na nim „wściekłych, gryzących i kąsających mafiach vatowskich". Zapewne premier jest przekonany, że dla wyników wyborów lepiej z werwą snuć jakieś fantastyczne interpretacje, niż trzeźwo wyjaśnić kwestie utrwalone na taśmie. Wybór jest tutaj wyłącznie kwestią etyki.

Wystarczy jednak minimum myślowej refleksji, by uświadomić sobie logiczny nonsens wszystkich owych pseudointerpretacji. Być może ministrowie Ziobro i Kamiński chcieliby widzieć słabszego politycznie premiera, ale jak u licha mogliby skłonić nienawidzących ich szczerze sędziów Sądu Najwyższego, aby ci nie tylko udostępnili taśmę z akt sądowych dziennikarzom, lecz na dodatek pogwałcili przy tym „Regulamin urzędowania sądów powszechnych", który w przepisie par. 96 zakazuje dziennikarzom kopiowania dokumentów, taśm i obrazów, zezwalając tylko na czynienie własnych notatek? Być może Schetyna także życzyłby sobie skompromitować pisowskiego premiera, tylko u kogo w Berlinie miałby załatwić zgodę sędziów z warszawskiego placu Krasińskich? Zapewne również złapani przez fiskusa oszuści podatkowi mogą się cieszyć z kłopotów Morawieckiego, tylko czy naprawdę prezes PiS i premier sądzą, że to owi przestępcy dyktują Sądowi Najwyższemu, kiedy pozwolić, a kiedy nie pozwolić na kopiowanie akt oraz łamanie sądowego regulaminu?

Polscy politycy, a także upartyjnione media coraz częściej niestety traktują wyborców jako ciemniaków gotowych wierzyć w najbardziej nonsensowne teorie i hipotezy. A sam Morawiecki na antenie wPolsce.pl mówi iście pytyjskim językiem, że „temat Grada został zamknięty tamtego wieczoru". Czy więc Grad dostał „po cichu" te pieniądze z BZ WBK, czy też nie? Nikt z dziennikarzy nie zapytał jak dotąd wprost premiera ani o kwotę, ani o to, na jaką spółkę czy fundację poszły pieniądze. Podobnie jak nikt dotąd nie postawił sędziom Sądu Najwyższego pytania, dlaczego w tej sprawie dopuszczono do zlekceważenia norm sądowego regulaminu. Trudno niestety nie zauważyć, że etyczne standardy polskiego życia publicznego stają się coraz niższe.

35/0918/F

eprasa.pl 5f698ec8ce



STABILIZACJA I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem paliw i produktów chemicznych najwyższej jakości. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Naszym celem jest stabilny, bezpieczny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl 5f698ec8ce



Donald Tusk chciał wpłynąć na wynik wyborów samorządowych, a może chcieć rozpętać histerię na temat ich sfałszowania

Rewizor z Brukseli

Fot. Marek Lasyk/REPORTER



STANISŁAW JANECKI

Dla Donalda Tuska idealnym stylem urzędowania jest ten, jaki prezentował niejaki Major Major Major, jeden z bohaterów powieści „Paragraf 22" Josepha Hellera. Zakazywał on wpuszczania jakichkolwiek interesantów, dopóki przebywał w swoim gabinecie. Kiedy tylko gabinet opuszczał, każdy, kto wcześniej czekał na przyjęcie, mógł tam wejść. Obecny przewodniczący Rady Europejskiej przedstawiał ten swój ideał urzędowania wielu współpracownikom. I w wielu wypadkach to wcale nie był żart. Tusk stoi z boku tylko w sprawach, za które bezpośrednio odpowiada. Tam, gdzie nie powinien się wtrącać, ingeruje. A im bardziej nie powinien, tym bardziej się wtrąca.

Tak było już na początku jego urzędowania w Brukseli, gdy wtrącał się niemal we wszystko, za co w rządzie i Platformie Obywatelskiej formalnie odpowiadała premier Ewa Kopacz. W Brukseli można było wtedy usłyszeć, że Tuska interesowało tylko mieszanie w polskich sprawach. W przeciwieństwie do obowiązków przewodniczącego Rady Europejskiej. I tak już zostało. Jako premier Tusk stosował zasadę, że o sprawach grożących odpowiedzialnością karną czy przed Trybunałem Stanu nie powinien wiedzieć. Nawet gdy o nich faktycznie wiedział.

Tusk miał plan na wybory samorządowe w Polsce, ale przesunięcie jego przesłuchania przez przewodniczącą komisji śledczej ds. Amber Gold Małgorzatę Wassermann dzień po drugiej turze wyborów ten plan przynajmniej skomplikowało. Ale plan istnieje i obejmuje nie tylko wybory samorządowe,

53/0918/F

eprasa.pl 5f698ec8ce

lecz także europejskie oraz do polskiego parlamentu. To dlatego Tusk jest i chce być rewizorem z Brukseli. Nie takim jak bohater komedii Nikołaja Gogola Iwan Aleksandrowicz Chlestakow, lecz ten prawdziwy, który zjawia się po ucieczce tego udawanego. Problemem jest to, że Tusk często Iwanem Chlestakowem się staje. Ale ten nawet jako przebieraniec miał przemożny wpływ na rzeczywistość. I podobnie jest z obecnym przewodniczącym Rady Europejskiej.

WOJNY TUSKA

Wedle różnych zakulisowych informacji oraz sugestii samego zainteresowanego, gdyby przesłuchanie przed komisją ds. Amber Gold odbyło się przed pierwszą turą wyborów samorządowych, Tusk (wspomagany przez swego pełnomocnika Romana Giertycha) urządziłby sąd nad rządami Prawa i Sprawiedliwości, włączyłby się w kampanię wyborczą. Szczególnie przed i po przesłuchaniu: na konferencjach prasowych, podczas wizyt w zaprzyjaźnionych telewizjach, w trakcie „spontanicznych" spacerów po Warszawie.

Przede wszystkim Tusk podgrzewa polityczny spór. Tuż przed wyborami samorządowymi nie tylko jeszcze bardziej polaryzowałoby to opinię publiczną, ale głównie mobilizowałoby elektorat opozycji. Podczas każdej wizyty w kraju Tusk stara się wywoływać skrajne emocje, malować obraz sytuacji wyłącznie czernią. Żeby zwolennicy opozycji stawali się zakładnikami sytuacji wojennej, gdzie nie ma miejsca na niuanse i gdzie „swoim" nie powinno się wypominać żadnych grzechów, np. w związku ze złodziejską reprywatyzacją czy tworzeniem lokalnych sitw przez długo urzędujących polityków PO. Na wojnie najważniejsza jest nienawiść do wroga, a nie rozliczanie „swoich". Taki komunikat Tusk wysłałby do zwolenników opozycji, szczególnie tych, którzy rządami PO w samorządach są oburzeni, zmęczeni lub zniesmaczeni. Grzegorz Schetyna z jego manią prześladowczą na punkcie PiS jest już zgrany i zużyty, Donald Tusk wciąż ma mobilizacyjny potencjał. W takiej atmosferze toczyły się przyspieszone wybory prezydenckie w 2010 r., tak Tusk i PO wygrali wybory parlamentarne w 2011 r. Wtedy za rozpętanie atmosfery skrajnej histerii odpowiadał właśnie Tusk. Teraz, tuż przed wyborami samorządowymi, były premier dorzuciłby jeszcze wątek wojny europejskiej, przedstawiając się jako jej ważny świadek, bezpośredni obserwator „strat i ofiar". To mogłoby mieć wpływ przynajmniej na frekwencję po stronie zwolenników opozycji.

Scenariusz wojenny Tusk przećwiczył już 17 grudnia 2016 r. we Wrocławiu, czyli w trakcie tzw. sejmowego puczu. Formalnie przyleciał na zakończenie funkcjonowania Wrocławia w roli Europejskiej Stolicy Kultury. Ale nie o kulturze mówił: „Po wczorajszych wydarzeniach w Sejmie i na ulicach Warszawy, mając w osobistej pamięci, co znaczą grudnie w naszej historii, apeluję do tych, którzy realnie sprawują władzę w naszym kraju, apeluję

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście jest ubezpieczenie!

NOWOŚĆ

Ubezpieczenia mieszkaniowe

W ofercie dostępne również ubezpieczenia: podróżne, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl



eprasa.pl 5f698ec8ce

o respekt i szacunek wobec ludzi, wobec zasad i wartości konstytucyjnych, ustalonych procedur i dobrych obyczajów. A tym, którzy gotowi są, pokazują od wielu miesięcy, że chcą trwać przy europejskich standardach demokracji, tu, w Polsce, chciałbym serdecznie podziękować i wyrazić najwyższe uznanie".

Ciekawe, co Tusk powiedziałby w kontekście tego, „co znaczą grudnie w naszej historii", gdyby w nocy z 16 na 17 grudnia doszło do prowokacji z przelewem krwi, na co się zanosiło i co przez niektórych było oczekiwane. 17 grudnia 2016 r. Tusk był w Polsce, żeby w razie potrzeby stanąć na czele obrońców demokracji – w roli tego, który w imieniu Unii Europejskiej czuwa nad odsuwaniem od władzy osób, które oskarżono by o przelew krwi, a nie tylko o łamanie „zasad i wartości konstytucyjnych, ustalonych procedur". 17 grudnia 2016 r. we Wrocławiu Tusk właściwie ustawił się w roli namiestnika, rewizora z Brukseli nadzorującego ewentualną kontrrewolucję przeciw demokratycznie wyłonionemu polskiemu rządowi. Taki scenariusz był bliski zrealizowania, a przynajmniej bliski wejścia w niebezpieczną fazę, gdy nie dałoby się już kontrolować wydarzeń.

Już wcześniej, 14 czerwca 2017 r., Tusk rozpętał międzynarodową histerię i nagonkę na Polskę, atakując ówczesną premier Beatę Szydło za zrozumiałe i oczywiste w ustach polskiego premiera słowa: „Auschwitz to w dzisiejszych niespokojnych czasach wielka lekcja tego, że trzeba czynić wszystko, aby uchronić bezpieczeństwo i życie swoich obywateli". Chodziło o słowa wypowiedziane w Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Niemieckich Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady. Narodowy, czyli przede wszystkim odnoszący się do tych ofiar, które były obywatelami RP. Od powstania rządu Szydło Tusk wspierał wszelkie antypolskie działania Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego w związku z egzaminowaniem naszego kraju z praworządności. Od czasu objęcia funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej (1 grudnia 2014 r.) zawsze znajdował pretekst, by ingerować w polskie sprawy: zrobił to nie tylko 17 grudnia 2016 r., lecz i 19 kwietnia 2017 r. oraz 3 sierpnia 2017 r. – urządzając przedstawienia uliczne w związku z przesłuchaniami w prokuraturze. Zrobił to 23 kwietnia 2018 r. – w związku z występowaniem w roli świadka w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Zrobił to 21 lipca 2017 r., występując w telewizji TVN24, oraz 13 lipca 2018 r. – także w TVN24.

WODZU, PROWADŹ!

Z planów wpłynięcia na wynik wyborów samorządowych pozostał tylko udział Tuska w krakowskiej konferencji bp. Tadeusza Pieronka „Rola Kościoła katolickiego w procesie integracji europejskiej" (6 października 2018 r.) oraz happening na Rynku Głównym pod hasłem „Dołącz do Tuska". Takie imprezy jak spacer po krakowskim Rynku czy wcześniej powitanie 19 kwietnia 2017 r. na Dworcu Centralnym w Warszawie (świadoma parodia powrotu marszałka Józefa Piłsudskiego z Magdeburga do Warszawy 10 listopada 1918 r. czy przyjazdu Ignacego Paderewskiego z Gdańska do Poznania 26 grudnia 1918 r.) są sprawdzaniem potencjału mobilizacyjnego Tuska. Mobilizacja ulicy wypada słabo, ale były premier wciąż ma potencjał, jeśli chodzi o wpływanie na zachowania elektoratu opozycji. I zapewne wykorzysta to przed przesłuchaniem przed komisją ds. Amber Gold, w jego trakcie i po nim, co zostało zaplanowane na 5 listopada 2018 r. Z różnych informacji można wnioskować, że obecność Tuska w Warszawie tuż po drugiej turze głosowania będzie wykorzystana do wywołania protestów, w tym ulicznych, w związku z planowanymi i zapowiadanymi oskarżeniami obecnych władz o fałszowanie wyborów. Chodzi o to, aby ewentualne słabe wyniki wyborcze tak interpretować, aby mobilizowały wyborców i sympatyków opozycji do ulicznych protestów, z którymi w ostatnich tygodniach było wyjątkowo słabo. Później Tusk mógłby się odwołać do tych protestów w Brukseli i także tam inicjować oraz podgrzewać kampanię insynuacji, jakoby w Polsce nie można było przeprowadzić demokratycznych, wolnych wyborów. A to byłyby tylko przedbiegi przed wyborami do Parlamentu Europejskiego (w maju 2019 r.), które odbywałyby się w atmosferze totalnej wojny przeciwko rządom Prawa i Sprawiedliwości, z istotnym elementem wojny europejskiej. A tu rola Tuska byłaby dla opozycji nie do przecenienia.

> Z różnych informacji można wnioskować, że obecność Tuska w Warszawie tuż po drugiej turze głosowania będzie wykorzystana do wywołania protestów

Ingerując w polskie sprawy, nawet gdy jest to nieefektywne, Tusk chce podtrzymywać mit najbardziej wpływowego i skutecznego polskiego polityka. A jednocześnie polityka umocowanego w brukselskich elitach (stąd rola rewizora z Brukseli), które go rzekomo legitymizują. Odgrywanie takiej roli ma sprawiać wrażenie, że Tusk nigdy z polskiej polityki nie zniknął i w każdej chwili może do niej wrócić, w dodatku triumfalnie, np. na wybory prezydenckie w 2020 r.

Jednocześnie Tusk działa prewencyjnie we własnej sprawie: poprzez podtrzymywanie mitu najważniejszego współczesnego polityka w Polsce swoje ewentualne kłopoty (związane z katastrofą smoleńską, aferą Amber Gold czy wyłudzeniami VAT) będzie tłumaczył zemstą wynikającą ze strachu przed jego wielkością, wpływami i rolą, jaką może jeszcze odegrać. Poza tym jeśli Tusk ma być zbawcą, powinien być ważny, a przez to mobilizować obrońców, gdyby popadł w tarapaty. Gdyby opozycja wygrała któreś ze zbliżających się wyborów, Tusk przypisałby sobie rolę sprawczą i oczekiwał na ewentualne hołdy oraz zaszczyty, gdyby tylko się zdecydował wrócić do polskiej polityki. A rola rewizora z Brukseli tylko dodaje mu godności i znaczenia.

57/0918/F

eprasa.pl 5f698ec8ce

Taką energię pamiętamy!

O poświęceniu naszych przodków w imię ojczyzny nigdy nie należy zapominać. Pamięć o ich niezwykłych czynach przekazujemy z pokolenia na pokolenie. Z ich bohaterskiej historii czerpiemy odwagę i inspirację, by nigdy się nie poddawać.

Takie wartości cenimy i dla takiej Polski chcemy dzielić się dobrą energią.

Wspieramy pamięć o bohaterach.

100 NIEPODLEGŁA!



"Naród, który nie szanuje swej przeszłości nie zasługuje na szacunek teraźniejszości i nie ma prawa do przyszłości."

J. Piłsudski

Energa

www.energa.pl

eprasa.pl 5f698e83ce



Uważam za wielki nietakt i działanie na szkodę mieszkańców to, że moi koledzy samorządowcy odmawiają współdziałania z rządem, nie chcą programów, bojkotują projekty rządowe. Na tym cierpią mieszkańcy

Fot. Andrzej Skwarczyński

Polityk musi mieć kręgosłup moralny

*Z **Dariuszem Stefaniukiem**, prezydentem Białej Podlaskiej, rozmawia Dorota Łosiewicz*

Biała Podlaska to poligon doświadczalny programu Mieszkanie+. Jakie wnioski?

Dariusz Stefaniuk: Faktycznie, przystępując do programu Mieszkanie+, byliśmy jego pionierami. Program sprowadzał się wówczas właściwie tylko do haseł, ale nikt nie wiedział, jak to będzie wyglądało. My zawsze mówiliśmy o tym, że program ten jest skrojony na miarę naszego miasta. Mieliśmy działkę, konkretny projekt. Brakowało tylko pieniędzy. Teraz, gdy w tych domach już mieszkają bialczanie, możemy powiedzieć, że to był sukces. Ten program dał nowe życie i mieszkania tysiącom ludzi w Polsce.

Gdy mieszkania były już gotowe, pojawiły się zarzuty, że czynsze są zbliżone do tych rynkowych oraz że brakuje w umowach zapisów o dojściu do własności.

Był taki medialny hejt. Nie brakowało malkontentów, którzy zniechęcali do udziału w programie. Oni niestety skrzywdzili wiele osób. Znam takie rodziny, które pod wpływem ataków na program zrezygnowały, a później chciały do niego wrócić, ale to już nie było możliwe. Czynsze są zdecydowanie niższe niż koszty wynajmu mieszkań po zwykłych cenach rynkowych. Od 1 stycznia one jeszcze zmaleją, dzięki specjalnym dopłatom, które obejmą program Mieszkanie+.

A co z kwestią własności?

Bardzo mi zależało, żeby doprowadzić do sytuacji, w której do umów zostanie wpisana możliwość dojścia do własności. Dlatego po rozmowach z BGKN przygotowano aneksy, które to gwarantują. Takie dokumenty już wysłano do mieszkańców, którzy do końca roku mają czas na zapoznanie się z nimi i podjęcie odpowiednich działań. Ale nawet gdyby nie było tego aneksu, gdyby nie było zagwarantowanej własności, umowa, którą podpisywaliśmy z BGKN, pozwalała na dziedziczenie najmu. Nie jest to najem tylko chwilowy. BGKN nie daje wypowiedzeń.

Pojawiły się zarzuty, że trzeba mieć 20–40 tys. zł, żeby mieszkanie wykończyć i się do niego wprowadzić.

Bardzo dokładnie wspólnie z BGKN kalkulowaliśmy koszty i sprawdzaliśmy, na ile naszych mieszkańców stać, żeby mogli

eprasa.pl 5f698ec8ce

przystąpić do tego programu. Mieszkanie+ jest programem dla osób, które mają dochody, ale ich zarobki są za niskie, aby mogły pójść do banku i dostać kredyt mieszkaniowy. Dla osób, które nie mają żadnych dochodów, są mieszkania komunalne. W programie Mieszkanie+ chodzi o to, żeby umożliwić zdobycie własnego mieszkania ludziom, którzy normalnie pracują, ale nie stać ich na kredyt. Rozmawiałem z wieloma osobami, które wprowadziły się do mieszkań z programu. Słyszałem: „Panie prezydencie, w końcu spełniło się nasze marzenie". Dla nich zdobycie 30–40 tys. zł na wykończenie mieszkania nie było problemem, natomiast kredyt na całe mieszkanie już nim jest. Co więcej, zrobiliśmy „wakacje czynszowe" – każdy w momencie podpisania umowy miał trzy miesiące zwolnienia z płacenia czynszu właśnie po to, żeby nie generować dodatkowych obciążeń dla mieszkańców. Warto dodać, że mieszkania z programu są umiejscowione w bardzo atrakcyjnej części miasta, przy sąsiedztwie szpitala specjalistycznego, przy osiedlu deweloperskim, są tam drogi asfaltowe, wszystkie podłączenia, jeśli chodzi o media. Zadbaliśmy także o parkingi. To nie jest blok w polu, bez dróg, dojazdów i parkingów, tylko gotowe do zamieszkania osiedle, z miejscami na wózki dziecięce i podjazdami. Wszystkie mieszkania mają piwnice i balkony. Myślę, że to bardzo atrakcyjny projekt, i cieszę się, że mieszkańcy Białej Podlaskiej tak pozytywnie się o nim wypowiadają. Dane mówią same za siebie. Przygotowanych mieszkań jest 186, a chętnych było 1,4 tys. osób.

Jakie znaczenie, z pana perspektywy, ma współpraca samorządu z rządem?

Olbrzymie i mieszkańcy Białej Podlaskiej to widzą. Ta współpraca jest wielopłaszczyznowa. Począwszy od programu Mieszkanie+, a skończywszy na pieniądzach zewnętrznych, które możemy uzyskać dzięki tej współpracy. Remontujemy np. stadion miejski, którego nie bylibyśmy w stanie wybudować bez dofinansowania z Ministerstwa Sportu. To są milionowe dofinansowania. Wybudowaliśmy boisko ze sztuczną nawierzchnią, do którego także otrzymaliśmy 50 proc. dofinansowania. Mamy też cały program modernizacji dróg. Na samą ul. Warszawską, czyli wjazd do Białej Podlaskiej, dostaliśmy ponad 4 mln zł. Dzięki takim projektom Biała Podlaska rozwija się dynamicznie. Podsumowaliśmy ostatnio tę współpracę samorządu z władzą centralną i się okazało, że podczas trwania mojej kadencji wyraża się ona kwotą ok. 50 mln zł wsparcia.

Sądzi pan, że gdyby był pan z innej opcji politycznej, wsparcie mogłoby być mniejsze?

Uważam, że jeśli jest się samorządowcem, to absolutnie nie powinno się zwracać uwagi na to, jaka opcja rządzi w Polsce. Oczywiście prywatnie jestem bardzo tym zainteresowany, ale jako osoba pełniąca funkcję prezydenta powinienem być zaangażowany we współpracę z każdym rządem dla dobra naszych mieszkańców. Nie zostałem prezydentem dlatego, że rządzi Prawo i Sprawiedliwość, tylko dlatego, że mieszkańcy chcą lepszego życia. Każdy samorządowiec powinien zrobić wszystko, żeby zbierać fundusze, także unijne. Nikt nas nie pyta o to, kto rządzi w UE. Uważam za wielki nietakt i działanie na szkodę mieszkańców to, że moi koledzy samorządowcy odmawiają współdziałania z rządem, nie chcą programów, bojkotują projekty rządowe. Na tym cierpią mieszkańcy. I cóż, że ktoś wykaże się przed swoim organem partyjnym, że jest wspaniałą opozycją wobec rządu, ale mieszkańcy nie dostaną pieniędzy, nie będzie inwestycji. Trzeba będzie zaciągać kredyty, które później wszyscy mieszkańcy będą musieli spłacać. Trzeba współpracować z każdym. Cieszę się, że rząd PiS patrzy dziś na Polskę wschodnią, otwiera się na współpracę. Jeśli chodzi o autostradę A2, to mieliśmy za poprzedniej koalicji rządzącej głosy, że ona nie musi iść w tamtym kierunku, nikt jej tam nie potrzebuje itd. Na szczęście niedawno minister infrastruktury Andrzej Adamczyk był w Białej Podlaskiej i powiedział, że są pieniądze na ten cel, przystępujemy do realizacji autostrady A2 do Białej Podlaskiej i dalej, do granicy państwa.

Jakie znaczenie mają dla Białej Podlaskiej wizyty prezydenta, premiera?

Takie wizyty podnoszą rangę naszego miasta. Dziękuję prezydentowi oraz premierowi, którzy byli u nas kilkukrotnie. 11 listopada zgromadziliśmy się licznie na placu Wolności (było nas ok. 10 tys.), by spotkać się z prezydentem. Wspólnie śpiewaliśmy pieśni patriotyczne. To było wielkie wydarzenie, które na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

Tymczasem pana przeciwnicy mówią, że nie potrafi pan budować wspólnoty.

Moi przeciwnicy nie mają programu dla miasta, więc wymyślają takie rzeczy. Tymczasem współpraca z radą miasta układa się świetnie. Ponad 90 proc. moich projektów przechodziło jednogłośnie lub większością głosów. A to przecież nie PiS ma większość. To znaczy, że udało mi się zbudować współpracę z zapleczem mojego poprzednika. Okazało się, że przeciwnicy polityczni mogą się podpisać pod dobrymi projektami. Udało mi się zawiązać współpracę z PO, a więc połączyłem ogień z wodą. Wszystko dla dobra miasta. Nie może więc być mowy o braku wspólnoty. Biała Podlaska to miasto mieszkańców, a nie polityków.

Skoro już pan wspomniał o swoim poprzedniku, to jak udało się pokonać kogoś, kto rządził w Białej Podlaskiej 16 lat?

To było trudne zadanie. Wspólnie z przyjaciółmi pojechałem do Częstochowy, do Matki Boskiej Częstochowskiej, modliłem się przed Jej obliczem. Umocniłem się duchowo. Dostałem tam siłę do walki i pewność, że to ma sens. Zrozumiałem, że trzeba przemóc niemoc. M.in. dlatego zawierzyłem nasze miasto Matce Boskiej. Jestem pewien, że i Ona, i Michał Archanioł, którego mamy w herbie, sprzyjają miastu.

To odważne wyznanie. Dziś jest moda na laickość. Nie boi się pan, że zostanie zaatakowany jako ciemnogrodzianin?

Nie używam wiary w kampanii, ale nie ukrywam, że jestem katolikiem. Nie będę się zapierał swojej tożsamości. Wiara jest dla mnie ważna, tak zostałem wychowany. Gdy pojawiają

eprasa.pl 5f698ec8ce

się problemy, upadki, to w wierze szukam odpowiedzi. Wiarą nie epatuję, ale każdy potrzebuje kręgosłupa moralnego.

Mówi pan o kręgosłupie moralnym, a jednocześnie w mediach pojawiają się zarzuty, że pomagał pan żonie w znalezieniu pracy.

Tak, czytałem. Tylko że to nie jest prawda. Nie podoba mi się, że moi przeciwnicy atakują moją rodzinę, ja nigdy tego nie robię. Moja żona, Renatka, jest bardzo dynamiczna, aktywna, zdolna i świetnie wykształcona. Skończyła dwa kierunki studiów: jeden w Polsce, drugi w Niemczech, biegle włada niemieckim, jest ekonomistką, skończyła kurs do rad nadzorczych, otwiera przewód doktorski. Za mną wróciła do Białej Podlaskiej po latach pracy w Łowiczu i Warszawie i musiała znaleźć tu dla siebie miejsce. Ustaliliśmy na początku, że skoro ja jestem politykiem, to ona nie będzie aplikowała do żadnych miejskich spółek ani instytucji. Zależało mi na klarownej sytuacji. Renata aplikowała więc do spółek skarbu państwa. Przeszła pozytywnie rekrutację. Jednocześnie prowadzi rodzinny biznes, a ludzie sobie jej gastronomię chwalą. Podziwiam moją żonę, ponieważ firmę rozkręcała z dzieckiem na ramieniu (Lilianka ma 3 latka, Daria 8 lat), w ten sam sposób uczyła się, zdawała egzaminy. Żartujemy sobie czasem, że właściwie to ma pecha, że jestem prezydentem miasta i ją blokuję.

> Przystępując do programu Mieszkanie+, byliśmy jego pionierami. Teraz, gdy w tych domach już mieszkają bialczanie, możemy powiedzieć, że to był sukces

Połączyła was wspólna pasja: motocykle?

Traktuję jazdę motocyklem jako wspaniałą przygodę, możliwość spotkania wielu ciekawych osób. Ta pasja pozwala nawiązać wiele przyjaźni. Jesteśmy na drodze równi, nie ma znaczenia, czy ktoś jest prezydentem czy lekarzem, sprzedawcą czy nauczycielem. Osobiście myślę, że jest to odskocznia od codzienności – nie mam wtedy z nikim kontaktu i mogę zebrać myśli oraz się zrelaksować. Bardzo się cieszę, że tę pasję podziela moja małżonka. Zdarza się, że wspólnie jeździmy po pięknych terenach naszego południowego Podlasia.

Czy łatwo łączyć politykę z ojcostwem?

Jest to trudne ze względu na specyfikę pracy. Wymaga poświęcenia prywatnego czasu, co zawsze odbywa się kosztem rodziny. Dlatego też jestem wdzięczny mojej żonie, że gdy nie ma mnie w domu, jest zawsze z moimi dziećmi. Najpiękniejsze chwile to te, gdy często wieczorem wracam do domu, a moje córki są już w łóżkach i możemy wspólnie przeczytać im bajkę.

Jaką rolę w życiu dzieci chce pan odegrać?

Każdy rodzic chciałby, aby jego dzieci były dobrymi ludźmi. Nic nie przychodzi jednak samo. Dlatego każdy dzień jest wyzwaniem i pracą rodziców wspólnie z dziećmi. Najważniejszymi były dla mnie zawsze wartości: Bóg, Honor, Ojczyzna. Nauczył mnie tego mój dziadek, który był Sybirakiem, oraz tato, który działał w „Solidarności". Dlatego w naszym domu staramy się, aby miłość do ojczyzny i wychowanie w wierze katolickiej były dominujące.

Bardzo ładnie mówi pan o swojej żonie. Podkreślam to, ponieważ to podobno prawica źle traktuje kobiety. Tymczasem to Roman Smogorzewski, prezydent Legionowa z Platformy, dopuścił się skandalicznej prezentacji kandydatek PO do rady miasta. Jak pan ocenia to zachowanie?

To był po prostu skandal. Nie dopuszczam do siebie, żebym w podobny sposób mógł się wyrażać o koleżankach z pracy. Choćby z szacunku do własnej żony. Wyobrażam sobie, co może czuć kobieta, która została tak poniżona. I to publicznie. Pan Smogorzewski zbiera dziś owoce swojego zachowania. Nawet ci, którzy w tym uczestniczyli, udają, że byli gdzieś indziej. A PO ustami swojego rzecznika tylko nadwerężą inteligencję wyborców, dokonując ekwilibrystyki, by wytłumaczyć to zachowanie.

Gdy został pan prezydentem, miał pan 33 lata. Młodość to w polityce atut czy przeszkoda?

Przeszkoda na początku. Młodych prezydentów jest niewielu, większość kolegów jest starsza. Jednak, gdy udowodnimy swoją jakość i możliwości, to robi się łatwiej. Jest w nas power, który popycha do działania. W tym miejscu chciałbym podziękować tym, którzy mi zaufali i dali szansę, m.in. senatorowi Grzegorzowi Biereckiemu.

Udało się przebić mur niemocy?

Udało się bardzo dużo, ale jest jeszcze dużo do zrobienia. Nie da się nadrobić kilkunastu lat marazmu w cztery lata.

A co chciałby pan jeszcze zrobić w kolejnej kadencji?

Dokończyć projekty drogowe, zadaszyć amfiteatr, dokończyć stadion. Powalczyć o środki zewnętrzne, zbudować 30 km ścieżek rowerowych, które połączą miasto, zbudować kąpielisko miejskie, halę widowiskową dla Bielskiego Centrum Kultury, bo mamy świetnych młodych artystów, tylko oni nie bardzo mają gdzie realizować swój talent, bo nie mają zaplecza, nie mogą pokazać się szerszej publiczności. I jest wreszcie nasza strefa ekonomiczna, którą powołaliśmy w tej kadencji, a którą trzeba uzbroić. Tam już działają pierwsze firmy, ale chcemy, żeby było tam więcej inwestycji, chcemy stworzyć port logistyczny i wykorzystać jedwabny szlak, który przebiega przez Białą Podlaską. I wreszcie obwodnica wschodnia – to nasze wielkie wyzwanie. Zrobimy to razem w kolejnej kadencji. Liczę na to, że uda się ją wygrać już w pierwszej turze.

60/0818/F

eprasa.pl 5f698ec8ce

polregio.pl

POLREGIO



Każdego dnia podróżuje z nami 220 tys. pasażerów!

Codziennie na trasy wyjeżdża 1800 pociągów, aby każdy bez wyjątku mógł korzystać z kolei w swoim regionie. Dzięki najszerszej siatce połączeń do wielu stacji w Polsce docieramy jako jedyni.

Podróżuj z nami!

Budujemy dobrą kolej, budujemy dobre relacje.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Młodzi, którzy nie chcą, by „było, jak było”



Modernizacja Polski, jakiej podjął się obóz Zjednoczonej Prawicy po wygranych trzy lata temu wyborach parlamentarnych, wiąże się także, na co rzadko zwraca się uwagę, ze zmianą pokoleniową w strukturach administracji publicznej. Zmiana ta opiera się na założeniu, że nową, lepszą, bogatszą i sprawiedliwszą Polskę zbudują ludzie, których światopogląd nie kształtował się w latach PRL

Prezydent Andrzej Duda w atmosferze permanentnej wojny ideologicznej nakręcanej przez tzw. totalną opozycję powołał 10 października nowych sędziów w skład Sądu Najwyższego. Dzień wcześniej podczas wykładu na uniwersytecie w Zurychu prezydent powiedział, że chce, by do Sądu Najwyższego i wymiaru sprawiedliwości przyszło nowe pokolenie ludzi, którzy zaczynali swoje zawodowe kariery po 1989 r.

Ta chęć odcięcia komunistycznej spuścizny od kadr jest najbardziej widoczna jako modus operandi ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. To nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę skalę oporu „starej gwardii”, jaką budzą wszelkie próby zreformowania wymiaru sprawiedliwości. A o konieczności pilnych reform możemy się przekonać ostatnio dzięki szybkim rozprawom w trybie wyborczym, w których w czasie 72 godzin sądy pierwszej i drugiej instancji są w stanie wydać na podstawie identycznego materiału dowodowego biegunowo różne wyroki. Przekonał się o tym premier Mateusz Morawiecki, przekonał się o tym w ubiegłym tygodniu kandydat PiS na prezydenta Gdańska Kacper Płażyński. Taka jakość orzecznictwa powinna budzić niepokój każdego obywatela zatroskanego o los ojczyzny. Trudno bowiem mówić o sprawiedliwej Polsce, kiedy zapadają skrajnie różne wyroki na podstawie o identycznych przesłanek.

Minister Ziobro, stając przed zadaniem arcytrudnym, jakim jest reforma wymiaru sprawiedliwości, postanowił się otoczyć ludźmi młodymi, wolnymi od obciążeń pokoleniowych i przede wszystkim środowiskowych. Choć często stoją oni w drugim i dalszym szeregu zmian, jakich dokonuje obóz Zjednoczonej Prawicy na niwie wymiaru sprawiedliwości, warto poznać ich bliżej, zwłaszcza że okazją ku temu są wybory samorządowe.

eprasa.pl 5f698ec8ce

MARIUSZ GOSEK, 36 LAT

Tzw. lokomotywą, czyli nr 1, na liście kandydatów PiS do Sejmiku Województwa Świętokrzyskiego jest 36-letni Mariusz Gosek, który łączy także funkcje sekretarza generalnego Solidarnej Polski, dyrektora biura poselskiego Zbigniewa Ziobry i senatorskiego Jacka Włosowicza w Kielcach. Gosek i pracownicy biura mówią, że codzienna praca na rzecz ministra, który podjął się jednej z najtrudniejszych reform w Polsce, to niełatwe zadanie.

– Jako że poseł Zbigniew Ziobro jest ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym, prośby o pomoc trafiają do nas właściwie z całej Polski. Codziennie to kilkanaście listów, kolejnych kilkanaście osób zgłasza się do nas po pomoc osobiście, telefonów jest kilkadziesiąt w ciągu dnia. Wieczór i niekiedy część nocy spędzamy nad lekturą i analizą tego wszystkiego, co zostało nam przekazane – opowiada Mariusz Gosek. – Przez trzy lata do biura parlamentarnego Zbigniewa Ziobry i senatora Jacka Włosowicza trafiło 9 tys. spraw. I choć w biurze pracują tylko trzy osoby, a kolejne trzy pełnią dyżury prawne, wszystkimi tymi problemami się zajęliśmy. Mamy tysiące interwencji i pisemnych wystąpień. Wszystkie dokładnie zarejestrowane – dodaje Gosek.

Za największy sukces Mariusz Gosek uznaje ocalenie miejsc pracy w Kieleckich Kopalniach Surowców Mineralnych.

– Spółka, która produkuje kruszywo na drogi, padła w czasie, gdy było mnóstwo środków unijnych właśnie na budowę dróg. Ten zakład zresztą świetnie się rozwijał. Firma dająca zatrudnienie ponad 300 osobom przetrwała czasy zaborów, dwie wojny, okres zmian ustrojowych, a została zniszczona za rządów Donalda Tuska. Na szczęście po zmianie władzy państwo odkupiło od syndyka spółkę, która znowu się rozwija. Ludzie odzyskali miejsca pracy, a osoby związane z tzw. dziką prywatyzacją zakładu mają postawione zarzuty prokuratorskie – mówi Gosek.

Ostatnio do biura, którym kieruje Mariusz Gosek, ktoś przysłał trumnę. Na porządku dziennym są też pogróżki.

JAN KANTHAK, 27 LAT

Inną cenę za swoje zaangażowanie w prace resortu kierowanego przez Zbigniewa Ziobrę zapłacił Jan Kanthak. 27-letni rzecznik Ministerstwa Sprawiedliwości jest jednym z kandydatów na radnego Gdańska. To właśnie w tym mieście Kanthak dał się poznać jako osoba zaangażowana w sprawy społeczne. Kiedy był jeszcze uczniem słynnego gdańskiego III LO, tzw. Topolówki, wywalczył budowę boisk na osiedlu, gdzie mieszkał. Ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim i złożył podanie o asystenturę na Uniwersytecie Gdańskim, ale Rada Wydziału Prawa i Administracji UG odrzuciła je, argumentując, że Kanthak popsuje wizerunek uczelni, bo może być kojarzony z niszczeniem sądownictwa w Polsce. Rzecznik Ministerstwa Sprawiedliwości, jak na prawnika przystało, przyjął tę decyzję bez emocji.

– Nie będę komentował decyzji rady. Zawsze staram się rozdzielać kwestie prywatne i zawodowe. Mam nadzieję, że ta sytuacja nie ma podtekstu politycznego, bo uniwersytety z założenia powinny być apolityczne – powiedział 27-latek z dojrzałością, na którą nie było stać kadry Uniwersytetu Gdańskiego.

Innego rodzaju lekcje pokory rzecznik resortu sprawiedliwości przechodzi w studiach telewizyjnych i radiowych, gdzie zdarza się, że musi stawić czoła nie tylko innym gościom z przeciwnej strony sceny politycznej, lecz i odpierać ataki prowadzących programy dziennikarzy, próbujących przynajmniej zagonić go do kąta lub złapać za słowo, gdy merytoryczna dyskusja nie daje oczekiwanego przez wydawcę programu efektu.

– W takich sytuacjach staram się zachować spokój. Nie chcę się dać sprowokować do emocjonalnych wypowiedzi. Sztuka rozmowy nie polega na wzajemnych pokrzykiwaniu na siebie i przerywaniu sobie kwestii. Z drugiej strony nie mam też jakiegoś specjalnego żalu do rozmaitych sztuczek i złośliwości ze strony niektórych redaktorów czy redaktorek, ponieważ wiem doskonale, że te ich zachowania często biorą się z oczekiwań czy poleceń kierowanych pod ich adresem przez ich szefów – tłumaczy Kanthak.

MICHAŁ WOŚ, 27 LAT

Rówieśnikiem Kanthaka i kolejnym silnym punktem młodej drużyny Zbigniewa Ziobry jest Michał Woś, kandydat Zjednoczonej Prawicy do Sejmiku Województwa Śląskiego. CV Wosia, jak na kogoś urodzonego zaledwie przed 27 laty, wygląda imponująco. Jeszcze nie tak dawno pracował w Ministerstwie Sprawiedliwości jako wiceminister, a następnie pełnomocnik ministra sprawiedliwości w sprawach medialnych. W resorcie zajmował się koordynacją prac legislacyjnych i bezpośrednim wspieraniem ministra w bieżącej pracy, był też szefem gabinetu ministra i wiceprzewodniczącym zespołu ds. strategii.

Wcześniej, w 2014 r., Woś został wybrany przez mieszkańców rodzinnego Raciborza do rady miasta. Był wiceprzewodniczącym komisji budżetu i rozwoju gospodarczego. Podjął ponad 100 interwencji w sprawach miasta w formie interpelacji, doprowadził do zakupu czujników czadu dla najuboższych, zorganizował Szkołę Liderów i Kuźnię Przedsiębiorczości dla raciborskich uczniów i studentów.

Podobnie konkretny jest program wyborczy, z jakim Woś startuje do sejmiku. Na stronie internetowej przedstawia szczegółowo zadania, jakich realizacji chce się podjąć, łącznie z wyliczeniem kosztów. Próżno szukać tam ogólnikowych haseł wyborczych typu „przyciągnę inwestorów". Wosia cechuje, co podkreślają wszystkie osoby, które go znają, maksymalna oszczędność słów, skupienie na konkretach i realizacji zadań. Jak każdy istotny współpracownik ministra Ziobry Michał Woś jest prawnikiem, absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Na takich kadrach, których reprezentatywnymi przedstawicielami są Gosek, Kanthak i Woś, opiera się dziś Ministerstwo Sprawiedliwości. Daje to nadzieję, że młodzi ludzie nie zlękną się presji środowiskowej, a swoje ambitne programy będą prowadzić nadal, mimo pogróżek, nagonki i kłód rzucanych im pod nogi przez tych, którzy walczą, by „było, jak było".

Kajetan Kutnowski

Fot. Beata Zawrzel/REPORTER, PAP/Piotr Polak, Andrzej Wiktor, Shutterstock

eprasa.pl 5f698ec8ce

Święci rodzice świętego papieża

Czy rodzice św. Jana Pawła II jak ich syn zostaną wyniesieni na ołtarze? O takiej możliwości mówił w lipcu kard. Stanisław Dziwisz. Kim byli Emilia i Karol Wojtyłowie, którzy wychowali przyszłego papieża i świętego?



MILENA KINDZIUK

Sam Jan Paweł II podczas pielgrzymki do swych rodzinnych Wadowic w 1999 r. wyrażał wdzięczność Opatrzności Bożej „za dar życia przekazany przez rodziców, za ciepło rodzinnego gniazda, za miłość najbliższych, która dawała poczucie bezpieczeństwa i mocy".

Emilia i Karol Wojtyłowie byli małżeństwem od 1906 r. Ślub wzięli w kościele Świętych Apostołów Piotra i Pawła przy ul. Grodzkiej w Krakowie. Potwierdzają to niedawno odnalezione dokumenty. Po ślubie przez kilka lat mieszkali w Krakowie, potem przenieśli się do Wadowic, gdzie stacjonował rodzimy pułk Karola Wojtyły seniora. Tam zresztą pracował, pełniąc jako podoficer różne funkcje kancelaryjne.

W Wadowicach rodzice papieża tworzyli dom wyjątkowy, choć zarazem zupełnie zwyczajny. Wynajmowali tam mieszkanie – najpierw przy ul. Lwowskiej, a następnie w kamienicy położonej w Rynku, przy ul. Kościelnej. To tam w 1920 r. urodził się, a później dorastał przyszły papież. „Kiedy patrzyłem przez okno – wspominał już jako Jan Paweł II – widziałem na murze kościelny zegar słoneczny i napis: »Czas ucieka, wieczność czeka«". Na ten sam zegar spoglądała przez okno matka papieża, gdy go rodziła w domu.

ŻYCIE ZAMIAST ABORCJI

Matki Jan Paweł II prawie nie pamiętał. Wspominał w książce „Dar i tajemnica": „Matkę straciłem jeszcze przed Pierwszą Komunią Św. w wieku 9 lat i dlatego mniej ją pamiętam". Czuł jednak wobec niej ogromną wdzięczność. „Jeżeli w ogóle żyję na świecie, to dlatego, że była ona, która mi to życie dała". Urodziła go, mimo że ciąża była poważnie zagrożona, a lekarz doradzał jej aborcję, tłumacząc, że nawet jeżeli stanie się cud i dziecko się urodzi, to kobieta z pewnością porodu nie przeżyje. Karol Wojtyła przychodził na świat w przedziwnych okolicznościach. Był 18 maja 1920 r. Zbliżała się godz. 17.00. Z położonej tuż przy domu Wojtyłów parafii rozległo się bicie kościelnych dzwonów, a potem śpiew Litanii Loretańskiej ku czci Najświętszej Maryi Panny. Mieszkańcy Wadowic uczestniczyli w nabożeństwie majowym. Ten śpiew było słychać przez otwarte okno i dokładnie w tym właśnie momencie najmłodszy syn Wojtyłów, Karol, przychodził na świat. Urodził się zdrowy, a matka – wbrew zapowiedziom lekarzy – poród przeżyła. Tak, jakby ktoś z góry w tym porodzie pomagał. Po latach pojawiły się też inne zbieżności. Papież powiedział kiedyś w rocznicę swoich urodzin w jednej z włoskich parafii: „Urodziłem się pomiędzy godziną 17.00 a 18.00, czyli o tej samej godzinie, o której 58 lat później zostałem wybrany papieżem".

Heroiczna decyzja Emilii Wojtyłowej o urodzeniu dziecka mimo zagrożenia swego życia odcisnęła piętno na życiu jej syna. Tym bardziej że papież doskonale wiedział, iż matka zdecydowała się go urodzić, narażając własne życie i zdrowie. Włoski dziennikarz Renzo Allegri w książce „Dwie matki Papieża" napisał nawet, że Jan Paweł II symbolicznie beatyfikował swoją matkę, wynosząc na ołtarze Joannę Berettę Mollę: „Obie te kobiety przeżyły wielki dramat macierzyństwa. Musiały wybierać mię-



To zdjęcie rodziców, w srebrzonej ramce, przez cały pontyfikat stało na stole w pokoju św. Jana Pawła II

Fot. Milena Kindziuk x2

dzy własnym życiem a życiem dziecka, które nosiły w sobie. I obie wyraźnie wybrały ocalenie dziecka, poświęcając własną egzystencję. To matki heroiczne, męczennice, święte [...]. Chociaż Jan Paweł II wyraźnie tego nie powiedział, miał pewność, że jego własna matka była święta. Święta w życiu małżeńskim i rodzinnym, święta męczennica, ponieważ bohatersko ofiarowała własne życie, żeby urodzić dziecko, które miała w łonie".

„NAUCZYŁEM SIĘ CIERPIENIA OD MATKI"

Matka Jana Pawła II Emilia Wojtyłowa z domu Kaczorowska, rocznik 1884, pochodziła z mieszczańskiej, dość bogatej rodziny. Urodziła się wprawdzie w Krakowie, ale jej przodkowie wywodzili się z Magnuszewa na Mazowszu, a dziadek Mikołaj Kaczorowski przez jakiś czas mieszkał w Warszawie i spoczywa na cmentarzu Powązkowskim (pisałam o tym niedawno w „Sieci"). Była absolwentką żeńskiej szkoły zakonnej „dla dziewcząt wyższej sfery", gdzie odebrała wszechstronne wykształcenie. Znała języki obce, m.in. francuski i niemiecki, grała na pianinie, uczyła się kaligrafii, artystycznego szycia, dobrych manier. Dorastała w epoce Młodej Polski, uczestnicząc w wielkiej kulturze tego okresu, w okresie premiery „Wesela" Wyspiańskiego (1901 r.) i debiutów poetyckich Tetmajera, Kasprowicza czy Przybyszewskiego. Zamiłowanie do literatury Emilia najwyraźniej przekazała później synowi. Podobnie jak utrwalony w swojej rodzinie system wartości.

To matka najwięcej czasu poświęcała małemu Karolowi, o którym mówiła zawsze zdrobniale: Loluś. Cieszyła się nim, jak tylko można. Jedna z sąsiadek wspominała po latach, że matka „skakała koło niego jak koło królewicza", lulała go bez przerwy w kołysce albo nosiła w poduszce. Kiedy już dorósł, zabierała go na wadowickie jarmarki i targi, chodziła z nim na spacery po mieście, razem ze starszym synem Edmundem. To matka nauczyła Jana Pawła II znaku krzyża, zawiesiła nawet przy drzwiach w przedpokoju fajansową kropielniczkę z wodą święconą i wprowadziła wśród domowników obowiązek przeżegnania się przy wychodzeniu z mieszkania. Nie mogła natomiast uczestniczyć w przygotowaniach syna do pierwszej komunii, była już wtedy bowiem ciężko chora. Prawdopodobnie na reumatyzm i serce. Miała bezwład nóg, przez kilka lat musiała cały czas leżeć w łóżku. Potwornie cierpiąc, nie skarżyła się jednak na swój los, nie złorzeczyła. Papież powiedział po latach: „Nauczyłem się cierpienia od matki".





Do dziś zachowała się XIX-wieczna torebka Emilii Wojtyłowej, matki papieża. Ręczna, koronkowa robota w starym, oksydowanym srebrze. Wplecione w łańcuszkowy ścieg trzy rzędy koralików zakończone są chwostami. Na płaskiej srebrnej rączce maleńki zamek. Torebka jest jak teatralny rekwizyt do sztuki z przełomu wieków. U góry: Zdjęcie z 1917 r. Emilii Wojtyłowej z bratem papieża Edmundem i ze srebrną torebką

NIE MUSIAŁ WYMAGAĆ OD SYNA

Ojciec papieża Karol Wojtyła senior, rocznik 1879, pochodził z Lipnika (dziś dzielnica Bielska-Białej). Ukończył pięć klas niemieckiej szkoły ludowej, a w 1890 r. rozpoczął naukę w niemieckim gimnazjum państwowym w Bielsku. Musiał jednak przerwać edukację, by pracować w zakładzie krawieckim ojca. Po ukończeniu 21 lat, gdy osiągnął wiek poborowy, jako mieszkaniec Galicji i poddany cesarza Austrii zobowiązany był do służby w cesarsko-królewskiej armii. Otrzymał przydział do 56. Pułku Piechoty, tzw. Wadowickiego. Po odbyciu obowiązkowej trzyletniej służby rozpoczął pracę jako zawodowy podoficer kancelaryjny. W czasie I wojny światowej na rok został skierowany na Morawy. W połowie listopada 1914 r., gdy front rosyjski zbliżał się do Krakowa, jego batalion, który miał funkcje uzupełniające i zabezpieczające, został ewakuowany do Hranic. Po powrocie do Wadowic Karol Wojtyła kontynuował służbę kancelaryjną w macierzystym pułku.

Kiedy w 1927 r. zdrowie Emilii Wojtyłowej znacznie się pogorszyło, Karol Wojtyła jako zawodowy wojskowy przeszedł na wcześniejszą emeryturę i przez

eprasa.pl 5f698ec8ce





Grób rodziców Jana Pawła II na krakowskim cmentarzu Rakowickim

dwa lata zajmował się tylko żoną i synami. Przejął całe gospodarstwo domowe: robił zakupy, przygotowywał posiłki, sprzątał mieszkanie, prał. Dawni koledzy papieża wspominali, że widywali jego ojca nawet przy takich czynnościach jak szycie, przerabianie starych ubrań, cerowanie skarpetek. Ojciec dbał też o rozwój intelektualny syna. Wieczorami opowiadał mu zdarzenia z historii Polski, podsuwał książki historyczne, kształtując postawę patriotyczną. Niewątpliwie wpływał na to fakt, że były to czasy odzyskanej właśnie niepodległości i kultu Marszałka Piłsudskiego. Św. Jan Paweł II dorastał w takiej atmosferze.

Ojciec uczył też młodego Karola niemieckiego, którym sam biegle się posługiwał. Niekiedy razem pływali, wędrowali po górach, chodzili na spacery nad Skawę albo grali w ping-ponga. To wszystko sprawiało, że ojciec stał się najbliższym przyjacielem św. Jana Pawła II.

Po śmierci żony w 1929 r. Karol Wojtyła zabrał obu synów, Edmunda i Karola, na pielgrzymkę do sanktuarium w Kalwarii Zebrzydowskiej, na tzw. dróżki, a potem na Jasną Górę. Wskazał, że odtąd Maryja miała być ich jedyną matką. „Papież Jan Paweł II przez całe życie to pamiętał i nieraz wspominał, że stanowiło to dla niego ważne doświadczenie" – podkreślał kard. Stanisław Dziwisz. Nie mogło ono nie wywrzeć wpływu na duchowość przyszłego papieża, a można się pokusić też o stwierdzenie, że również na kształt całego pontyfikatu.

Karol Wojtyła senior nie ożenił się po raz drugi. Pozostał wdowcem, który skupił się na wychowaniu syna (brat papieża Edmund zmarł w 1932 r., gdy jako lekarz zaraził się szkarlatyną od chorej pacjentki). Przestrzegał przy tym pewnego rygoru: regularny rytm dnia wyznaczały posiłki, wspólne odrabianie lekcji, wieczorne spacery nad Skawą. I systematyczna modlitwa. A do tego codzienna poranna msza św. w parafialnym kościele. Zawsze o 7.00, przed lekcjami. Razem z synem czytał też w domu Biblię, razem odmawiali Różaniec i śpiewali Godzinki do Najświętszej Maryi Panny. Zawsze klęcząc na obu kolanach. Jan Paweł II tak wspominał ojca z tamtych czasów: „Moje lata chłopięce i młodzieńcze łączą się przede wszystkim z postacią ojca, którego życie duchowe po stracie żony i starszego syna niezwykle się pogłębiło. Patrzyłem z bliska na jego życie, widziałem, jak umiał od siebie wymagać, widziałem, jak klękał do modlitwy. Ojciec, który umiał sam od siebie wymagać, w pewnym sensie nie musiał już wymagać od syna. Patrząc na niego, nauczyłem się, że trzeba samemu sobie stawiać wymagania i przykładać się do spełniania własnych obowiązków".

„OJCA UWAŻAM ZA NIEZWYKŁEGO CZŁOWIEKA"

Gdy w 1938 r. Karol Wojtyła junior zdał maturę, ojciec przeprowadził się z nim z Wadowic do Krakowa. Jednak już rok później wybuchła II wojna światowa. Wtedy, jak wielu mieszkańców miasta, zaczęli obaj uciekać na wschód. Dotarli do Sanu, za Tarnów, ale kiedy się dowiedzieli, że 17 września Polskę od wschodu zaatakowali Sowieci, wrócili do Krakowa, który był już pod okupacją niemiecką. Wtedy Karol Wojtyła – przyszły papież – zaczął pracować w Zakładach Chemicznych SOLVAY, w kamieniołomach, jako robotnik. Z tej pracy utrzymywał siebie i ojca. Za pensję mógł kupić żywność: ziemniaki, fasolę, czasem udało mu się zdobyć kapustę. Tak jak wcześniej w Wadowicach, tak w czasie wojny w Krakowie ojciec prowadził dom. Przygotowywał posiłki, cerował skarpety, reperował nawet synowi buty. W niedzielę obaj razem chodzili do kościoła, przeważnie na 12.00 do franciszkanów. „Między nimi wywiązała się prawdziwa, głęboka przyjaźń" – opowiadał kard. Stanisław Dziwisz.

Zimą 1940 r. Karol Wojtyła senior zachorował. Syn sprowadził do niego lekarza, dbał, by ojciec regularnie przyjmował lekarstwa, oraz o to, by się oszczędzał. Nie pozwalał mu nawet gotować. Obiady przynosił ojcu codziennie w blaszanej menażce od sąsiadki. 18 lutego 1941 r. Karol Wojtyła senior zmarł. Św. Jan Paweł II wspominał, że tego dnia wrócił z pracy do domu i zobaczył swego ojca siedzącego przy stole, nad niedopitą szklanką herbaty. Już nie żył. Dorosły wtedy syn rozpłakał się jak dziecko, a później całą noc klęczał przy ojcu i się modlił. Od tej pory Karol został na świecie zupełnie sam. Nie miał w ogóle najbliższej rodziny.

* * *

Kiedy św. Jan Paweł II w 2002 r. po raz ostatni odwiedzał ukochaną ojczyznę, poprosił o to, by przed odlotem do Rzymu mógł jeszcze się udać na grób swoich rodziców, na cmentarz Rakowicki w Krakowie. Tak też się stało. Zachowały się zdjęcia starszego, mocno już schorowanego papieża, który trzęsącą się ręką błogosławi ten grób.

Obecnie, gdy trwają uroczyste obchody 40. rocznicy pontyfikatu papieża Polaka, innego wymiaru nabierają lipcowe słowa kard. Stanisława Dziwisza, który podczas uroczystości odpustowych w Wohyniu w diecezji siedleckiej mówił o możliwości wszczęcia procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego rodziców Karola Wojtyły. „Mogliby i oni stać się przykładem dla współczesnych rodzin i patronami naszych rodzin" – podkreślił kardynał.

60/0918/F

eprasa.pl 5f698ec8ce

Oszczędzaj z głową!

Przenieś numer do Plusa, dobierz telewizję od Cyfrowego Polsatu, a wszystko już od 40 zł miesięcznie. Do tego dokup Światłowód Netii z rabatem smartDOM.



od **40** zł/mies.
z rabatem smartDOM

TELEFON + TELEWIZJA

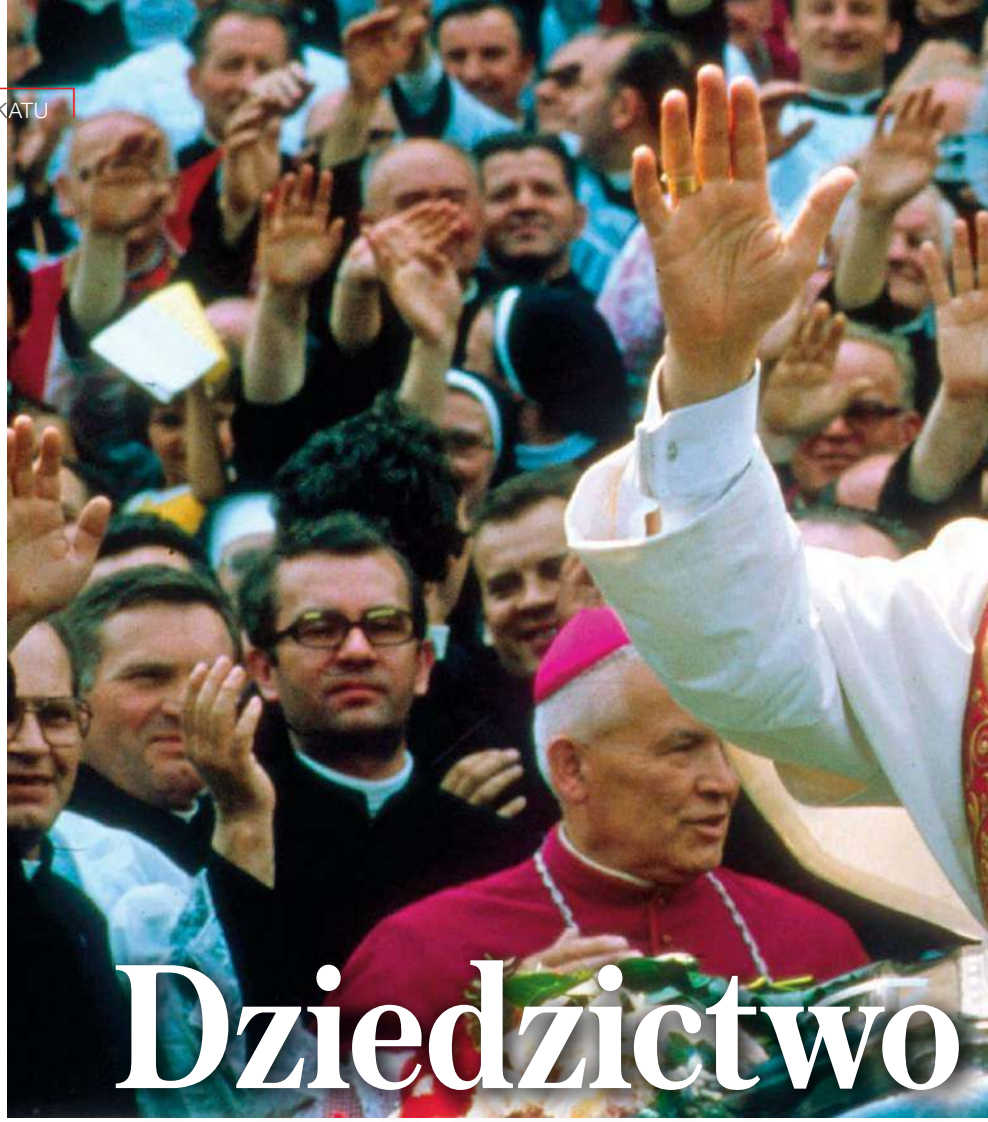
+

Dokup Światłowód Netii
do **900** Mb/s

smart DOM

[1] TELEFON: Dotyczy wybranych wariantów ofert. Szczegóły w regulaminach promocji: „PLUS.", „PLUS. ELASTYCZNA", „smartDOM 4 – Telewizja, Internet, Telefon" dostępne na www.plus.pl i u Doradców.
[2] TELEWIZJA: Dotyczy promocji dla nowych Klientów dostępnych z ofertą elastyczną Rodzinny HD + Cinemax HD z min. zobowiązaniem 10 zł/mies. z rabatem smartDOM przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. Szczegóły w Warunkach Oferty i regulaminie, dostępne na www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.
[3] SMARTDOM: Opłata miesięczna 40 zł uwzględnia rabaty wynikające z programu smartDOM. Rabaty dostępne przez całą umowę w przypadku zachowania warunków promocji. Szczegóły w regulaminie programu „smartDOM 4 – Telewizja, Internet, Telefon". Warunkiem otrzymania rabatu smartDOM na usługę Światłowodu Netii jest spełnienie wymogów wynikających z regulaminu promocji „Najlepsza rozrywka – smartDOM". Regulaminy dostępne na: www.plus.pl, www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.

eprasa.pl 5f698ec8ce



Dziedzictwo

Dokładnie 40 lat temu – 16 października 1978 r. – kard. Karol Wojtyła został papieżem, przyjmując imię Jana Pawła II



GRZEGORZ GÓRNY

W ostatnich latach swego pontyfikatu Paweł VI wyglądał na coraz bardziej zmęczonego i przygnębionego. Sprawiał wrażenie, jakby nadal nie mógł się otrząsnąć z szoku, jaki wywołała reakcja na jego encyklikę „Humanae vitae" ogłoszoną w lipcu 1968 r. Z dnia na dzień z ulubieńca mediów przemienił się we wroga publicznego nr 1. Nagle przestał być przedstawiany jako światły i postępowy przywódca, a zaczął być ukazywany jako zacofany, anachroniczny starzec, nierozumiejący współczesnych czasów i broniący ludziom prawa do szczęścia.

Nie to go jednak bolało najbardziej. Wrogą postawę świeckich publicystów mógłby jeszcze przeboleć. Prawdziwy ból sprawiało mu wypowiedzenie posłuszeństwa przez całą rzeszę biskupów. Większość hierarchów w episkopatach takich krajów jak Niemcy, Austria, Szwajcaria, Holandia, Belgia, Francja czy Kanada powiedziała wprost, że nie uznaje za wiążące nauczania papieskiego wyrażonego we wspomnianej encyklice. Głównym punktem spornym okazał się zakaz antykoncepcji.

DYM SZATANA W ŚWIĄTYNI BOGA

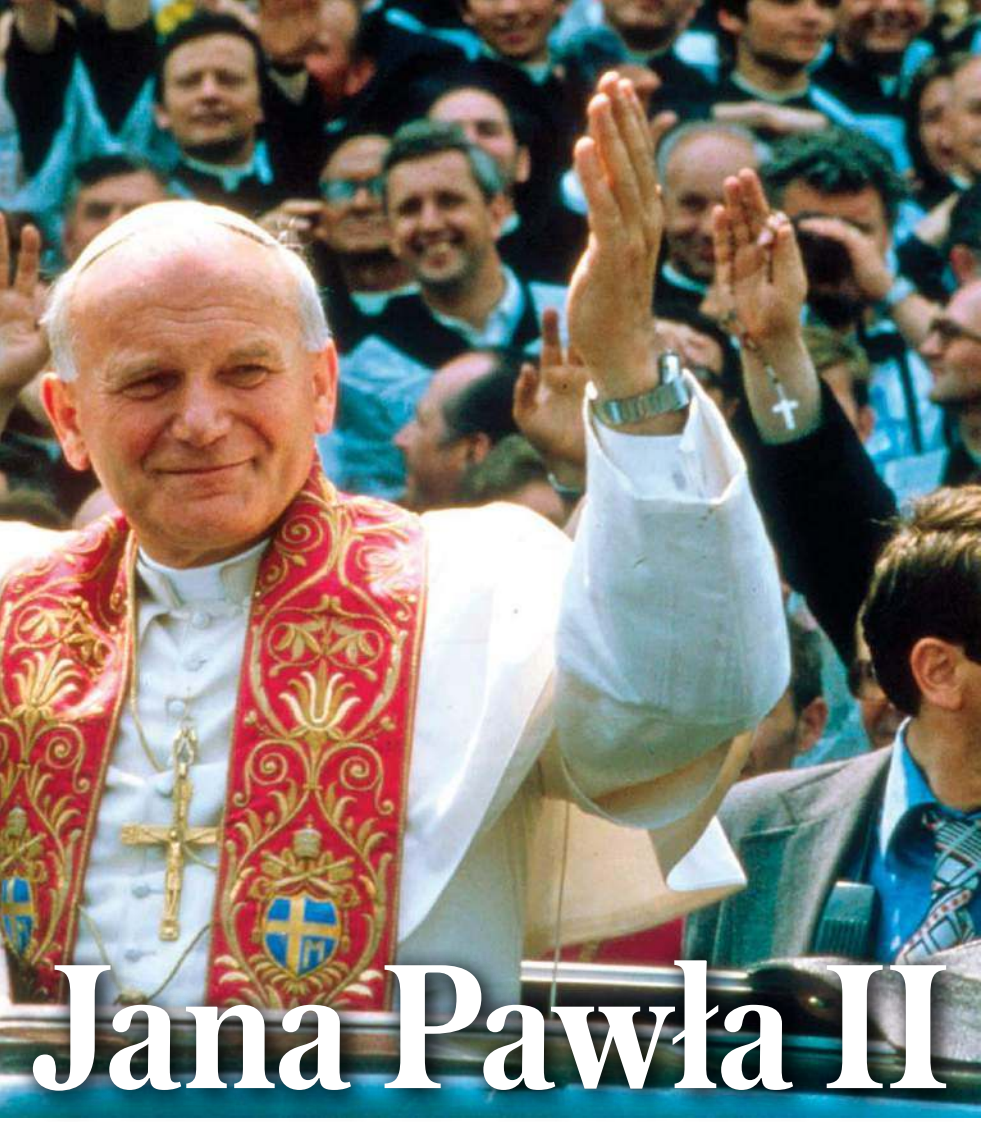
Paweł VI nie ukrywał przerażenia reakcją nawet tych kardynałów, których uważał za swych osobistych przyjaciół. 7 grudnia 1968 r. stwierdził podczas przemówienia: „W Kościele wybiła niespokojna godzina samokrytyki, a raczej należałoby powiedzieć – samodestrukcji. To karkołomny zwrot, którego po soborze nikt by się nie spodziewał. Wygląda na to, jak gdyby Kościół sam sobie zadawał rany".

Jeszcze mocniej wrócił do tego wątku w trakcie audiencji generalnej 29 czerwca 1972 r., mówiąc: „Do świątyni Boga przedostał się dym szatana. Wątpliwości, niepewność, dyskusje, niepokój, niezadowolenie, spory. Brak zaufania do Kościoła. W nasze sumienia wdarło się zwątpienie, i to wdarło się przez okna, które uchyliliśmy po to, aby nimi mogło się przedostać światło... Spodziewaliśmy się po soborze słonecznego dnia dla dziejów Kościoła. A tymczasem nadciągnęły chmury, burze, mrok, poruszanie się po omacku i niepewność. Jesteśmy przekonani, że to coś nieziemskie – diabeł – pojawiło się na świecie, by popsuć i zdusić owoce Soboru Powszechnego i by Kościół nie mógł świętować radości z osiągnięcia pełnej świadomości samego siebie. Z tego właśnie powodu pragniemy, dziś bardziej niż kiedykolwiek, wywiązać się z obowiązku powierzonego przez Boga Piotrowi umacniania braci w wierze".

Papież nie ugiął się pod wywieraną nań presją. Czuł się jednak coraz słabszy i osamotniony. Po latach Jan Paweł II, podsumowując ten okres pontyfikatu Pawła VI, powie: „Stał się apostołem Ukrzyżowanego, podobnie jak św. Paweł. Wiedział, co to zniewagi, opluwanie, smutek i udręka. Znosił przeciwności dzięki modlitwie i niezachwianej wierze. Na próby pochodzące z wewnątrz i z zewnątrz Kościoła odpowiadał niezłomną wiarą, nadzieją i miłością, które sprawiły, że stał się Piotrem naszych czasów".

Prawdziwy cios przyniósł Pawłowi VI początek roku 1978, gdy przez Czerwone Brygady został porwany jego bliski przy-

eprasa.pl 5f698ec8ce



Fot. East News/Mimmo Frassinelli/Rex Features

Jana Pawła II

jaciel – były premier Aldo Moro. Papież apelował do terrorystów o wypuszczenie chadeckiego przywódcy, sam ofiarowując się na jego miejsce. Siedem tygodni później włoski ekonomista (późniejszy przewodniczący Komisji Europejskiej) Romano Prodi, powołując się na informacje otrzymane od ducha podczas seansu spirytystycznego, dostarczył policji wskazówek, na podstawie których ujawniono kryjówkę, gdzie przetrzymywany był Moro. Włoskiego polityka odnaleziono zamordowanego. Dla Pawła VI był to cios, po którym się już nie podniósł. Wypominał publicznie Bogu, że nie wysłuchał jego modlitw i nie uratował przyjaciela. Zmarł trzy miesiące później.

We wrześniu 1978 r. kardynałowie zabrani w Rzymie wybrali nowego papieża – patriarchę Wenecji Albina Lucianiego, którego wyraz twarzy stanowił przeciwieństwo udręczonego Pawła VI. Wydawało się, że z jego oblicza niemal nigdy nie schodzi pogodny uśmiech. Pontyfikat Jana Pawła I trwał jednak zaledwie 33 dni. Tak jak jego poprzednik zmarł na zawał serca.

Purpuraci z całego świata, którzy drugi raz w ciągu tak krótkiego czasu przybyli do Watykanu na konklawe, odebrali to jako znak, że Bóg chce od nich czegoś nowego. 16 października dokonali wyboru pierwszego od 455 lat biskupa Rzymu niebędącego Włochem. Został nim krakowski metropolita kard. Karol Wojtyła, który przyjął imię Jana Pawła II.

„NIE LĘKAJCIE SIĘ!"

Wielu uczestników konklawe miało świadomość, że Kościół stoi przed dwoma zagrożeniami, z których jedno płynęło z zachodu, a drugie ze wschodu. Pierwszym była laicyzacja, spleciona z konsumpcjonizmem i hedonizmem, co powodowało, że ludzie żyli tak, jakby Boga nie było. Świątynie pustoszały, a sami katolicy masowo odrzucali naukę moralną swojej wspólnoty. Drugie zagrożenie stanowił komunizm, który nie tylko prześladował chrześcijan, lecz nawet zaczynał się wdzierać do Kościoła w postaci tzw. teologii wyzwolenia, łączącej religię chrześcijańską z ideologią marksistowską.

Karol Wojtyła miał za sobą doświadczenie udanej konfrontacji z oboma wyzwaniami. W archidiecezji krakowskiej nadał ewangelizacji nowy impet i rozmach. Wprowadził w życie posoborową odnowę, unikając zamętu i nadużyć, tak powszechnych w państwach zachodnich. Zarazem potrafił skutecznie się przeciwstawić komunistom, czego przykładem była „wojna o dusze" stoczona między Kościołem a władzami PRL w Nowej Hucie. Nie udało się tam stworzyć zaprojektowanego przez ateistycznych planistów „miasta bez Boga". Proletariusze, zamiast wyrzec się religii, toczyli z wojskiem i milicją uliczne walki o obecność krzyża w miejscach publicznych.

Karol Wojtyła miał za sobą wyjątkowe doświadczenie jeszcze z jednego powodu. Był pierwszym papieżem w XX stuleciu, który odebrał nie tylko klasyczną formację filozoficzną i teologiczną, lecz miał również gruntownie przemyślaną całą myśl nowożytną – w jego pismach znaleźć można było odwołania do Bubera, Levinasa, Schelera czy Whitehaeda. Był nie tylko wykładowcą akademickim i wysublimowanym intelektualistą, poetą i aktorem, lecz również robotnikiem fabrycznym, wiejskim wikarym i duszpasterzem młodzieży. Nade wszystko był jednak mistykiem – człowiekiem modlitwy i bezgranicznego zawierzenia, który zaufał Bogu do końca.

„Nie lękajcie się!" – tak brzmiały pierwsze słowa przesłania, jakie skierował do ludzkości nowo wybrany papież. Świat był wówczas podzielony na dwa bloki militarno-polityczne, straszące się nawzajem nuklearnymi arsenałami, których potencjał zdolny był zniszczyć kilkakrotnie życie na Ziemi. Milionom ludzi ów podział wydawał się trwały na dziesięciolecia, zwłaszcza zaś mieszkańcom krajów komunistycznych, którzy na co dzień żyli w strachu.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Przesłanie o przezwyciężeniu lęku skierowane było również do ludzi Kościoła, z których wielu przeżywało trudne chwile. Po Soborze Watykańskim II, zwłaszcza w krajach zachodnich, nastąpiło gwałtowne załamanie się religijności wśród katolików. Fałszywe interpretacje soborowe siały zamęt wśród wiernych. Świątynie pustoszały, księża i zakonnicy masowo porzucali kapłaństwo, nastąpiło zahamowanie powołań duchownych, zanikła praktyka sakramentów, zwłaszcza spowiedzi. Mnóstwo katolików odeszło od wiary, a w serca wielu z tych, którzy zostali, zaczął się wkradać strach o przyszłość Kościoła.

Papież mówił głośno, że zna lekarstwo na ten stan. Zaraz po słowach „Nie lękajcie się!" szły bowiem następne: „Otwórzcie drzwi Chrystusowi!". Jan Paweł II rozumiał, że największym problemem Kościoła jest kryzys tożsamości – że wielu katolików zatraciło samoświadomość własnej wiary. Dlatego postanowił z całą mocą powrócić do samego sedna chrześcijańskiego orędzia zbawczego – do prawdy o Jezusie, który jest Zbawicielem człowieka. Tym, który nadaje sens ludzkiemu życiu. Taki był wydźwięk jego pierwszej programowej encykliki „Redemptor hominis" („Odkupiciel człowieka").

To przesłanie chciał nieść wszystkim ludziom, dlatego nadał papiestwu nowy impuls duszpasterski. Nigdy wcześniej żaden biskup Rzymu nie podróżował tak wiele po świecie. Dzięki niezliczonym pielgrzymkom po całym globie stał się bliski mieszkańcom wszystkich kontynentów, niosąc im swe orędzie. Jeśli świat w XX w. stał się globalną wioską, to Jan Paweł II był jej proboszczem.

WIARA I ROZUM, PRAWDA I WOLNOŚĆ

Papież wywodzący się z uzależnionej od Sowietów Polski zmienił też politykę wschodnią Watykanu. Zaczął być głosem tych, którzy nie mogli mówić. Przemawiał w imieniu „Kościoła milczenia". Podczas pierwszej pielgrzymki do Polski w 1979 r. zakwestionował jałtański podział Europy, mówiąc o duchowej jedności kontynentu. W czasie gdy dla wszystkich przywódców świata mur berliński i żelazna kurtyna były nienaruszalnymi pewnikami, on pierwszy przerwał zmowę milczenia w tej sprawie.

Żaden człowiek nie miał większego wpływu na upadek komunizmu niż właśnie Jan Paweł II, co potwierdzali tacy świadkowie tamtych wydarzeń jak Ronald Reagan, Michaił Gorbaczow czy Helmut Kohl. Błędem byłoby jednak – jak czyni to dziś wielu publicystów – sprowadzanie zasług Karola Wojtyły jedynie do rozprawy z czerwonym totalitaryzmem. W swych pismach starał się odpowiedzieć także na inne wyzwania współczesności. Nigdy wcześniej w dziejach żaden papież nie wypowiadał się publicznie tak często i na tak wiele tematów. Zarazem jednak starał się je wszystkie umieścić w perspektywie duchowej.

> Kiedy w 1994 r. tygodnik „Time" przyznawał Janowi Pawłowi II tytuł Człowieka Roku, Paul Johnson w odredakcyjnym komentarzu pisał, że papież zażegnał największy kryzys Kościoła katolickiego od czasów reformacji

Jan Paweł II patrzył bowiem na rzeczywistość i odczytywał ją teologicznie. Nie oznaczało to wcale spirytualizmu ani ukierunkowania się wyłącznie na doskonalenie wewnętrzne. Wręcz przeciwnie, pokazywał, że wiara nie może się opierać jedynie na uczuciach i doznaniach, lecz musi mieć sojusznika również w rozumie. Wzywał zatem do „wiary rozumnej".

Powinna mieć ona zarazem wymiar wspólnotowy i przejawiać się w relacjach międzyludzkich. Dlatego tak dużą wagę przywiązywał do nauczania społecznego, które w jego ujęciu miało charakter antyutopijny i antyideologiczny. Jan Paweł II nie konstruował nowych systemów politycznych ani ekonomicznych, lecz starał się oceniać te, które istnieją, w świetle prawdy objawionej. Ważne było dla niego zwłaszcza to, jakie miejsce w życiu publicznym przeznacza się prawdzie, wolności i moralności.

Jego diagnozy i recepty opierały się na połączeniu teologii chrześcijańskiej i antropologii biblijnej ze zdobyczami współczesnej nauki. Najważniejsze przemyślenia zawierał w encyklikach, z których na pierwszy plan wysuwają się zwłaszcza „Veritatis splendor" (o konieczności dążenia do prawdy i podporządkowania się jej), „Evangelium vitae" (o godności i nienaruszalności ludzkiego życia) czy „Fides et ratio" (o zgodności wiary z rozumem).

Jako przykład kompleksowej odpowiedzi na wyzwania czasów niechaj posłuży wypracowana przez Karola Wojtyłę „teologia ciała", będąca remedium na postulaty rewolucji seksualnej. Nie jest ona rygorystycznym systemem zakazów, lecz całościową antropologiczną wizją ludzkiej cielesności, nie degradującą, ale afirmującą seksualność człowieka.

KRYZYS WSPÓŁCZESNOŚCI

Kiedy w 1994 r. tygodnik „Time" przyznawał Janowi Pawłowi II tytuł Człowieka Roku, Paul Johnson w odredakcyjnym komentarzu pisał, że papież zażegnał największy kryzys Kościoła katolickiego od czasów reformacji. Brytyjski historyk miał na myśli ów samodestrukcyjny trend, który tak mocno przygnębiał Pawła VI.

Czy kryzys rzeczywiście został przezwyciężony, trudno powiedzieć, obserwując zwłaszcza dzisiejszą sytuację w Kościele. Nie sposób jednak od jednego człowieka wymagać zahamowania wielkich procesów cywilizacyjnych i kulturowych. Na pewno Jan Paweł II je zdiagnozował i zostawił nam intelektualne, duszpasterskie oraz duchowe narzędzia radzenia sobie z pułapkami współczesności. Nie obiecywał życia łatwego, lecz sensowne. Nie odsłaniał przed nami bezkonfliktowego moralnego nieba już tu, na ziemi, ale zapowiadał duchową walkę. Do samego końca, tak jak było to w jego przypadku.

eprasa.pl 5f698ec8ce



Odpłyną białym okrętem

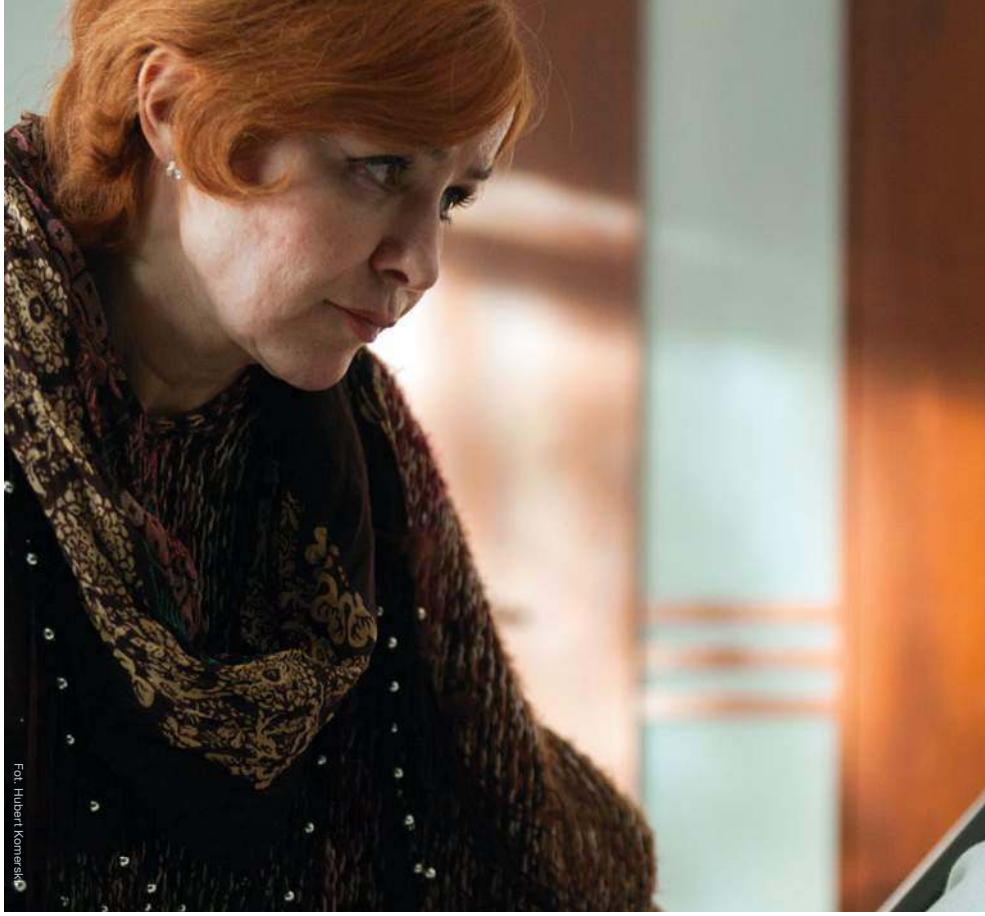
*Miała w filmie „Jak pies z kotem" zagrać siebie. W kinowym pożegnaniu z Andrzejem Kondratiukiem, którego ponad 45 lat kochała i twórczo wspierała, zastąpiła ją inna aktorka. **Aleksandra Konieczna** dostała za tę rolę nagrodę, a **Idze Cembrzyńskiej** zgotowano w Gdyni owację na stojąco*

Fot. Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl 5f698ec8ce



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Fot. Hubert Komersk

O ostatnim roku życia Andrzeja Kondratiuka, reżysera m.in. „Wniebowziętych", „Hydrozagadki" czy „Słonecznego zegara", opowiedział na ekranie jego młodszy brat Janusz. Ze swojej perspektywy (był też współautorem scenariusza) – balansując między dramatem a podszytym ironią humorem – pokazał czas odchodzenia. Obserwowany z bliska (bo Andrzej znalazł opiekę w jego domu), intensyfikujący niełatwą braterską relację i konfrontowany z codziennym zmaganiem z chorobą.

NIE MAM SIŁY, JANUSZKU

Z tej perspektywy przedstawiony też został ostatni etap wieloletniego, niezwykle intensywnego związku Andrzeja Kondratiuka i Igi Cembrzyńskiej. Etap, w którym kochająca i kochana kobieta, żona, artystka, muza, wierna towarzyszka autorskich wizji reżysera outsidera, przez kilkanaście lat wspierająca go w chorobie, nie jest w stanie wejść w najtrudniejszą, finalną fazę odchodzenia ukochanego człowieka.

Tę jej słabość, psychiczną ucieczkę przed tym, co fizjologiczne i w opiece nad chorym żmudne oraz trudne; to zaskakujące skupienie na sobie, gdy sytuacja wymaga działania, odczytuje się inaczej, pamiętając o tym, co było wcześniej (a czego w filmie nie ma). To „wcześniej" pozwala zrozumieć nie tylko rozchwianie ekranowej bohaterki, lecz i emocjonalną decyzję Igi Cembrzyńskiej, gdy po pierwszym dniu zrezygnowała z udziału w zdjęciach do filmu.

Dziś aktorka tak o tym mówi: – Powiedziałam: „Januszku, nie mam siły". To było na naszym podwórku. Tym, które widać też w filmie. „Ja nie mam po prostu siły grać w tej chwili". I on to zrozumiał.

Tłumaczy dalej: – Nie chciałam i nie mogłam grać, bo wciąż jeszcze widzę Andrzeja. Stale. Przechodzi jakiś facet, a ja myślę: „Boże, taki podobny do Jędrusia... Ale nie! Jednak niepodobny". I idę dalej. I za chwilę znów to samo. W naszym mieszkaniu też mi wszystko Jędrusia przypomina: nas, nasze życie. Tam się to toczyło. I w Gzowie. I nie wiedziałam, że tak to się skończy, bo człowiek tego nigdy nie wie...

TAKA MIŁOŚĆ SIĘ NIE ZDARZA

Kiedy się poznali, Iga Cembrzyńska była aktorką niezwykle popularną. Znaną ze sceny i ekranu (od dyplomu uzyskanego w 1962 r. w warszawskiej PWST wystąpiła w kilkunastu spektaklach teatralnych i kilku filmach telewizyjnych, zagrała w „Stawce większej niż życie", śpiewała u Jeremiego Przybory oraz w programie prowadzonym przez Lucjana Kydryńskiego; nie zabrakło jej też w takich kinowych produkcjach jak „Rękopis znaleziony w Saragossie" czy „Salto").

Od opolskiego festiwalu z 1964 r., na którym wprowadziła słuchaczy w „Intymny świat", a rok później, wraz z Bohdanem Łazuką, zabrała „W siną dal", znała ją cała Polska. Koncertowała też w Stanach Zjednoczonych i ZSRS. W 1965 r. przez dwa miesiące występowała w paryskiej Olimpii. To był jej wielki sukces.

Oczarowywała mężczyzn. Kobiety zazdrościły jej talentu, urody i seksapilu. Wtedy poznała intrygującego mężczyznę i oryginalnego reżysera Andrzeja Kondratiuka. Spotkali się w 1970 r. na planie jego filmu „Hydrozagadka". Byli wtedy jeszcze w innych związkach, ale już pod koniec następnego roku zamieszkali razem. 10 lat później wzięli ślub i od tamtego czasu żyli w uczuciowej oraz artystycznej symbiozie, nie zawsze łatwej do zrozumienia.

DLA UKOCHANEGO

Aktorka miała raptem 43 lata, gdy w „Gwiezdnym pyle" (1982) zagrała Starą, żyjącą gdzieś na prowincji, u boku swojego Starego (grał go Krzysztof Chamiec).

Dla ukochanego mężczyzny gotowa była zamieniać estradowy błysk na życie bez wygód. W domu wybudowanym ich własnymi rękami. Z dala od cywilizacji. Nad Narwią, koło Pułtuska, gdzie mieszkali otoczeni przyrodą, w towarzystwie przygarniętych zwierząt.

To w Gzowie Andrzej Kondratiuk wykreował i przełożył na ekran swój osobny – prywatny i twórczy – świat. Jego żona i muza w ten świat weszła, uczestnicząc

eprasa.pl 5f698ec8ce



Aleksandra Konieczna i Olgierd Łukaszewicz na planie filmu „Jak pies z kotem”

też (nie tylko jako aktorka) w powstawaniu kolejnych filmów (m.in. „Czterech pór roku” z 1984 r., „Wrzeciona czasu” z 1995 r. i „Zegara słonecznego” z 1997 r.). By móc je realizować, w latach 90. założyła firmę producencką Iga Film.

O ile jednak ucieczka od cywilizacji, potrzeba stworzenia azylu dającego poczucie niezależności, wydaje się zrozumiała w przypadku Kondratiuka (tłumaczy ją też klamra filmu „Jak pies z kotem”, przypominająca wojenne losy braci spędzone na wywózce w Kazachstanie), o tyle życiowa i artystyczna wolta, jaką wykonała Cembrzyńska, już taka oczywista nie jest.

W Gzowie mieszkali do 2005 r. Także po zdiagnozowanym u reżysera kilka lat wcześniej nowotworze (aktorka woziła męża do lekarzy, na chemioterapię; walczyli). Na dobre opuścili gzowskie ustronie po wylewie, jakiego doznał Kondratiuk.

Nie wrócił po nim do sprawności. Cembrzyńska ograniczyła zawodowe propozycje, by jak najwięcej czasu spędzać przy ukochanym Jędrusiu. Wygrali kilka lat. Załamała się, gdy przyszedł nawrót choroby nowotworowej. Opiekę nad Andrzejem przejął wtedy Janusz Kondratiuk. Reżyser zmarł 22 czerwca 2016 r., miesiąc przed 80. urodzinami.

OD LUDZKIEJ STRONY

W filmie „Jak pies z kotem”, który wchodzi właśnie do kin, w rolę Andrzeja wcielił się Olgierd Łukaszewicz, Janusza zagrał Robert Więckiewicz, a Igę Cembrzyńską Aleksandra Konieczna.

Aktorka tak komentowała swoją sytuację w tym projekcie: – Miałam bardzo mało czasu na przygotowanie tej roli, otrzymanej przecież w nagłym zastępstwie. Ale też, gdy dostałam propozycję od reżysera, po pierwsze, chciałam się spotkać z Igą Cembrzyńską, żeby zobaczyć, jak to wygląda od ludzkiej strony. Dlaczego sama nie podjęła się tego zadania i czy ja w związku z tym chcę w coś takiego wchodzić. Pewnie nie było jej łatwo, ale mnie zaakceptowała.

Iga Cembrzyńska pierwszy raz zobaczyła cały film podczas festiwalu w Gdyni: – To dla mnie mocno prawdziwe, a przez to bolesne – mówiła tuż po projekcji. Oceniała na gorąco: – Ten film jest tak dobrze przez Janusza zrobiony. Aleksandra Konieczna poradziła sobie znakomicie.

Pytana, czy rzeczywiście to ona wskazała właśnie tę aktorkę i dlaczego ją, odpowiedziała: – Uważałam, że jest odpowiednim człowiekiem. To wrażliwa osoba i zna się na sztuce.

Zapewniała, że patrząc na postać kreowaną przez Aleksandrę Konieczną i przejmujące sceny z jej udziałem, widziała nie siebie, lecz przede wszystkim bohaterkę. – Bo jak długo można przeżywać. Ale Jędruś jest cały czas w moich myślach. W sercu.



Film powstawał w naturalnych wnętrzach – w mieszkaniu na Ochocie, w którym „wszystko Andrzejka przypomina”, i w domu Janusza Kondratiuka.

Filmowy Andrzej Kondratiuk wypadł zdaniem Igi Cembrzyńskiej bardzo przekonująco, chociaż wielu widzów nie widzi fizycznego podobieństwa. – Łukaszewicz zagrał sedno, to, co było najważniejsze w Jędrusiu. Stworzył wspaniałą postać tego wspaniałego, mądrego człowieka, którym był Andrzej. Człowieka, który nie musiał wszędzie bywać, żeby być.

CIĄG DALSZY MIŁOŚCI

Aleksandra Konieczna wspomina, że w czasie pierwszej rozmowy Iga Cembrzyńska zapytała ją m.in., czy potrafi śpiewać. Jej: „Średnio, ale będę się starać” skwitowała: „Chyba nie ma pani kompleksów?”.

Piosenki, tak ważne w życiu i karierze Cembrzyńskiej, pojawiają się też w filmie. Bohaterka nuci „Intymny świat”, patrząc na ekran telewizora, gdzie właśnie odtwarzane jest archiwalne nagranie z festiwalu w Opolu z 1964 r.

– Bardzo lubię tę piosenkę, ale to Januszek ją wybrał – opowiada Cembrzyńska. – Zapytał, czy ją zaśpiewam, a ja na to: „Jest przecież nagrana. Weź ją sobie”. W filmie widzimy też przejmującą scenę, w której na pytanie, dlaczego przez wiele godzin nie zajęła się leżącym w pokoju obok mężem, Iga mówi z wyrzutem: „Całą noc byłam z nim. Napisałam dla Jędrusia piosenkę”. I nuci pierwszy wers.

W czasie naszej rozmowy Iga Cembrzyńska zaśpiewała mi cały ten utwór: „Jutro odpłynę białym okrętem / Jutro założę białą sukienkę / Jutro rozplotę białe warkocze / Jutro jabłoń kwitnącą przeskoczę.

Jutro w jaskółkę się przemienię / Porzucę na zawsze zieloną Ziemię / Gwiazdą zostanę na wieczornym niebie / I będę mrugać, i będę mrugać do ciebie, do ciebie...”. Jako autor słów podawany jest Andrzej Kondratiuk.

Pytana, co będzie dalej, czego można jej życzyć, mówi: – Dalszego ciągu wielkiej miłości. Żeby ona nigdy nie zasnęła.

eprasa.pl 5f698ec8ce



Zamilkła Montserrat Caballé

Fenomenalny głos słynnej Hiszpanki przez 60 lat podziwiali bywalcy opery. Wielomilionowa publiczność zaś pamięta ją z przeboju „Barcelona”, śpiewanego z gwiazdorem rocka Freddiem Mercurym



ADAM CIESIELSKI

Odchodzą nestorzy muzyki. 6 października 2018 r., niespełna tydzień po Charles'u Aznavourze, zmarła 85-letnia Montserrat Caballé – artystka obdarzona jednym z najpiękniejszych sopranów w historii. Porównywana do Marii Callas, Joan Sutherland, Elisabeth Schwarzkopf czy Renaty Tebaldi miała w repertuarze sto partii operowych, liczne dzieła oratoryjne i oraz ok. 800 pieśni. Wystąpiła na scenach 4 tys. razy, kilkakrotnie oklaskiwaliśmy ją w Polsce.

Maria de Montserrat Viviana Concepción Caballé i Folch urodziła się 12 kwietnia 1933 r. w Barcelonie. Miejscowe konserwatorium przy Gran Teatre del Liceu ukończyła w 1953 r. ze złotym medalem. Znakomici pedagodzy, wśród nich Eugenia Kemmeny i Napoleone Annovazzi, z którymi pracowała przez wiele lat, rozwinęli jej wrodzone warunki wokalne i przewidywali efektowną karierę uzdolnionej absolwentki.

Sukcesy jednak nie przyszły szybko. Debiutantka bez powodzenia próbowała zaistnieć we Włoszech. W Bazylei, gdzie się zaczepiła bez stałego angażu, grała zrazu role epizodyczne. W 1956 r. wykorzystała zastępstwo i zabłysła jako Mimi w „Cyganerii” Pucciniego. W następnych latach zaczęła grać partie pierwszoplanowe, m.in. Donnę Elvirę w „Don Giovannim” i Paminę w „Czarodziejskim flecie” Mozarta, „Tatianę” w „Eugeniuszu Onieginie” Czajkowskiego. Zainteresowały się nią teatry niemieckie, proponując jednak często role nie bardzo odpowiadające jej głosowi, m.in. w „Persifalu” Wagnera czy w „Salome” Richarda Straussa.

Występowała także w Wiedniu, Madrycie i Barcelonie. W klasztorze Montserrat, nieopodal rodzinnego miasta, w 1964 r. poślubiła tenora – Bernabé Martíego (w tym związku, którego owocem była dwójka dzieci, pozostała do końca życia).

Przełom w rozwoju kariery przyniósł rok 1965. W nowojorskiej Carnegie Hall, śpiewając tytułową rolę w zastępstwie niedysponowanej Marilyn Horne, okazała się rewelacją koncertowej wersji opery Donizettiego „Lukrecja Borgia”. Zaraz potem miała znakomite recenzje za kreację Małgorzaty w „Fauście” Gounoda na deskach Metropolitan Opera, sceny, z którą potem współpracowała całe lata.

Świat stanął otworem dla Montserrat Caballé, mogącej się wreszcie realizować w najlepszym dla niej repertuarze – włoskim belcanto. W dziełach Donizettiego i Belliniego, potem także Verdiego i Pucciniego w latach 70. i 80. XX w. podbiła sceny amerykańskie, europej-

eprasa.pl 5f698ec8ce



Fot. Richard Young/REX FEATURES

Ogromnym sukcesem Montserrat Caballé i Freddiego Mercurego okazało się wspólne wykonanie „Barcelony" w 1987 r.

skie. Wystarczało magiczne brzmienie jej głosu, krystalicznie czystego, z niezrównaną ekspresją nawet najcichszych nut. Bo aktorstwo nigdy nie było jej mocną stroną. Zasłuchana publiczność wybaczała jej wszystko. A wymagająca i kapryśna gwiazda bywała utrapieniem organizatorów. Także reżyserów, gdyż na scenie poruszała się niechętnie. Między innymi z powodu ogromnej tuszy, z którą – w przeciwieństwie np. do Marii Callas – nie myślała walczyć. To, co uchodziło jej bezkarnie w czasach szczytowej formy (np. na recitalu w warszawskim Teatrze Wielkim w latach 80. była jeszcze całkiem dziarska), stało się balastem u schyłku kariery. Gdy w 2011 r. pojawiła się w Poznaniu i Warszawie – na estradzie głównie siedziała w fotelu. A przecież występowała jeszcze przez kilka lat, niemal do ostatniej chwili...

Szczęśliwie mamy nagrania. Caballé pozostawiła po sobie kilkadziesiąt świetnych płyt, nagrywała operę po operze, wyjątkowy status pozwalał jej dobierać sobie najlepsze orkiestry i takichże partnerów. Wśród tych ostatnich sięgała nie tylko po głośne nazwiska, lecz odkrywała też nowe. W ukochanej Barcelonie znalazła młodszego o kilkanaście lat José Carrerasa. Współpraca z promotorką napędzała jego karierę i pozwalała niejedno podpatrzyć. Kto wie, czy rzucony przez niego pomysł pierwszego koncertu Trzech Tenorów w Rzymie w 1990 r. nie zrodził się z obserwacji sukcesu, jaki już w 1987 r. odniosła Montserrat Caballé, śpiewając w duecie z Freddiem Mercurym przebojową piosenkę „Barcelona".

Na teren show-biznesu otwarta na nowe doświadczenia Hiszpanka wkroczyła wcześniej od Carrerasa, Domingo i Pavarottiego! Sprawił to właśnie Mercury. Charyzmatyczny wokalista grupy Queen (zaliczyłem w 1986 r. koncert tej legendarnej formacji w Budapeszcie, jedyny za żelazną kurtyną) był fanem opery. Od dawna podziwiał Montserrat Caballé. Do spotkania gwiazd dwóch tak odmiennych światów muzyki doszło w lutym 1987 r. Gdy Barcelonie przyznano organizację letniej olimpiady w 1992 r., a władze katalońskie poprosiły artystkę o pomoc w przygotowaniu specjalnego utworu na przyszłe igrzyska, ta zwróciła się właśnie do Mercury'ego. Freddie zareagował z entuzjazmem. Piosenkę „Barcelona" napisał (wraz z Mike'em Moranem) błyskawicznie, bo już w 30 maja 1987 r. Mercury z Caballé wykonali ją na festiwalu Ibiza. Hit trafił od razu na ósme miejsce brytyjskiej listy singli, z czasem wspinając się na pozycję drugą. Singiel o kilka miesięcy uprzedził cały album „Barcelona" z aż ośmioma duetami. A promujący płytę występ Caballe' z Mecurym 8 października 1988 r. na festiwalu La Nit w Barcelonie z okazji powitania flagi olimpijskiej z Seulu okazał się dla Freddiego ostatnim koncertem na żywo. Artysta zmarł na AIDS w 1991 r. W 1992 r. na inauguracji igrzysk olimpijskich w stolicy Katalonii przebój „Barcelona" Montserrat Caballé wykonała więc już w duecie wirtualnym. Ona śpiewała naprawdę, a nagrany za życia Mercury partnerował jej z ekranu. Notabene nie był to jedyny szlagier barcelońskiej olimpiady. Drugi to „Amigos para siempre" wylansowany przez Sarah Brightman i José Carrerasa.

Odkryty kiedyś przez Montserrat Caballé i zawsze wdzięczny jej Carreras wziął udział w pogrzebie swej protektorki. Obok królowej Zofii, premiera Hiszpanii, władz Katalonii na cmentarzu w Barcelonie legendarną pieśniarkę żegnały rzesze fanów muzyki. Zarówno koneserów opery, znających wszystkie kreacje Wielkiej Damy, jak i zwykłych słuchaczy, których wciąż wzrusza piosenka „Barcelona" sprzed 30 lat.

eprasa.pl 5f698ec8ce



Stan posiadania

Agnieszka Glińska wystawia „Widok z mostu" Arthura Millera nieco wbrew sobie i wbrew przyzwyczajonym do jej teatru widzom

Fot. Krzysztof Bieliński



PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Na początku uderza nas jasna przestrzeń – dobrze oświetlona także przez to, że otacza ją biel ścian. Co prawda znajdujemy się w sali teatralnej, lecz jednocześnie jakby w miejscu przygotowanym na inną, specjalną okazję. Okrągły drewniany podest pośrodku, dookoła krzesła dla widzów; wygląda to, jakby za chwilę ktoś miał wygłosić wykład lub nawet stoczyć walkę, bo podwyższenie przypomina arenę albo i ring. Mogłoby to również być miejsce wyznaczone dla ważnego obiektu muzealnego. Właśnie słowo „obiekt" wydaje się istotne, bo Agnieszka Glińska tym razem nie stawia na realizm w scenografii ani dobrze skrojoną psychologię, czyli te wszystkie cechy, które stanowią o rozpoznawalności jej teatru, a i tym razem by się sprawdziły, bo „Widok z mostu" Millera to tekst w jej stylu.

Ale właśnie – obiekt na scenie, a dokładniej: aktorzy traktowani jak obiekty godne obserwacji. Widzowie muszą się czuć trochę jak w laboratorium, w którego centrum znajduje się człowiek. Wystawiony ostentacyjnie na pokaz, wrzucony między innych ludzi, by prowadzić z nimi agon. Niby to sztuka z wartkim tempem, jednak jest w niej coś niespodziewanego. Dziwna jest u autora dojmująca obecność quasi-narratora (adwokat Alfieri – Anna Moskal grająca mężczyznę, podkreślając umowność sytuacji), który komentuje działania postaci. Wie, jak wszystko się skończy, bo patrzy na tragedię z perspektywy i, można powiedzieć, opowiada ją ku przestrodze. Kto skojarzy to z antycznym chórem, będzie miał trochę racji, choć przecież ani u Millera, ani u Glińskiej nie ma przesadnej wagi problem winy i kary w sensie teologicznym. To rozgrywka pomiędzy takimi jak my i taka bardzo blisko życia, codzienna.

Napisany ponad 60 lat temu dramat jest przejrzysty. Eddie (świetny, kumulujący w sobie emocje do końca Łukasz Lewandowski) z żoną Beatrice (Agnieszka Roszkowska) za namową siostrzenicy Kate (Martyna Byczkowska), nad którą sprawuje opiekę, zgadza się, by w jego domu zamieszkali jej dwaj kuzyni, Marco (Marcin Sztabiński) i Rodolpho (Marcin Wojciechowski), imigranci z Sycylii marzący o pracy w Nowym Jorku. Sprawa ma wymiar szczególny, bo ich pobyt jest nielegalny. Eddie z początku chce pomóc. Zmienia się, gdy zaczyna przeczuwać, że między Kate a Rodolpho rodzi się uczucie.

Eddie usiłuje zachować Kate dla siebie. Z jakich powodów? W grę wchodzi i przekonanie o istnieniu niepisanych praw do Kate, i przywiązanie, i sens życia zamknięty w konieczności bycia dla kogoś ważnym. No i sugerowany podtekst erotyczny. A konflikt tragiczny tkwi w tym, że nikt nie ma tu racji. Trudno bowiem winić za uczucia. Najciekawsze pozostaje jednak to, jak daleko możemy w ich imię się posunąć, w zamian wmawiając wszystkim, że przecież jesteśmy tylko wierni dogmatom. Typowy ludzki kamuflaż.

Agnieszka Glińska wystawia spektakl, do którego kluczem są relacje. Psychologia, jeśli ukradkiem się pojawia, to jako próba zastosowania jednego ze sposobów na sceniczną obecność. Można patrzeć na zabieg Glińskiej czysto formalnie, ale na nic porównania np. z teatrem Anny Augustynowicz, w którym przybrał on postać radykalną. Glińska bada spór, sprawdza, w jakim ujęciu postać i jej osobowość dadzą się przyszpilić najmocniej.

Widz jest tu nad wyraz ważny: sam może się dowiedzieć, co trafia do niego najcelniej, i sam przyszpila każdego z osobna tak, jak chce. To zatem także podpatrywanie teatru, aktu jego konstruowania, lecz i obcowanie z przestrzenią, który uruchamiają aktorzy. Bo jeśli liczą się relacje, to ważne jest słowo, ustawienie postaci, to, jak między sobą rezonują na tej niewielkiej planszy zdarzeń. Liczy się przejście na drugą stronę okręgu (choć w kontekście okręgu, i to też jest tu niebagatelne, trudno mówić o drugiej stronie), nawiązanie kontaktu z widzem, przyjęcie charakterystycznej postawy jak przed początkiem walki, ataku. Całość tych zmagań ma u Glińskiej osobliwą lekkość, aktorzy noszą postacie w sobie ot tak, bez przesadnego zaangażowania, za to po to, by pokazać ich prawdy niczym lekcje do odrobienia.

Ostatnia scena, tak symboliczna i mocna, pokazuje zaś, jak bardzo prawdy te mogą być subiektywne. Aktorzy powtarzają te same działania, ale w czterech punktach okręgu; każdy z widzów otrzymuje własną repetycję. Oto przenikanie sensów, lecz i zachęta, by żonglować nimi we własnych głowach. To przecież zawsze skutek myślenia o człowieku.



Arthur Miller, „Widok z mostu"
reż. Agnieszka Glińska,
Teatr Dramatyczny
m.st. Warszawy
(Scena im. Haliny Mikołajskiej)
premiera: 28 września 2018 r.

eprasa.pl 5f698ec8ce

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Mogę polubić Pilcha?

Przyznam się bez bicia: nie gustowałem w prozie Jerzego Pilcha. Opinie słyszałem o nim skrajnie odmienne. Od głosów uznających go za proroka po lekceważenie błyskotliwego, ale jednak grafomana.

Mój wzrok ześlizgiwał się z jego książek. Znałem go wobec tego głównie z adaptacji – teatralnych i filmowych. I miałem za mistrza dygresji, który rzadko przechodzi do sedna. Nie wiem, czym jest to „sedno", ale wyczuwam je intuicyjnie. Pilch kojarzył mi się za to z powodziami słów. Na to gadulstwo nakładało się wykreowanie siebie charakterystycznymi kreskami: wódka, protestantyzm etc. Nie wymyślone to było, ale dla mnie jakoś nieautentyczne.

Do oglądania „Zabijania Władysława Gomułki", przedstawienia Teatru im. Modrzejewskiej z Legnicy, transmitowanego ze sceny dla TVP Kultura, zasiadłem więc sceptyczny. Znam reputację Jacka Głomba, który podczas 25 lat dyrektorowania wtopił swą placówkę w społeczność tego niełatwego przecież miasta. Ale na przykład jego „Ballada o Zakaczawiu" mnie trochę odrzuciła – nie czuję wielkiej mięty do złodziejskiej subkultury. Dlaczego miałby mnie porwać Pilchem?

Początkowo piętrowe tyrady potwierdzały obawy. A potem... Ta bajka o 1963 roku według „Tysiąca spokojnych miast" Pilcha, w której nie wiadomo, co dzieje się naprawdę, a co jest fantazją, marzeniem, po prostu mnie wzięła. Może bardziej nawet od konceptu pokonywania słowami szaroburej gomułkowskiej rzeczywistości (specjalność Polaków) wciągnął poetycki portret ewangelickiej (choć z katolickimi wsadami) społeczności z Wisły. Nie wiem, czy będąc ludźmi księgi, nasi ewangelicy mówili takim językiem. A czy bohaterowie mistrza Giuseppe Tornatore prowadzą do końca realne dialogi? Arcymajster Swaczyna, zawiadowczyni Ujejska, Elżunia Baptystka, komendant milicji Jeremiasz, pastor Potraffke – czy istnieli naprawdę?

To odszukiwanie prawdy bardziej elementarnej niż prawda realistyczna w czymś tak kruchym, lokalnym i niepowtarzalnym mnie wzruszyło. Ta lokalność pociągnęła Głomba i skojarzyła mu się z Legnicą. Powstała zgrabna i spójna opowieść, choć tak diablo wystylizowana, z pięknymi rolami aktorskimi. Kiedy Zbigniew Waleryś przemawiał rytualnymi paradoksami Józefa Trąby, nasączonego spirytusem mędrca organizującego zamach na I sekretarza KC PZPR, uwierzyłem, że Pilch, z pomocą adaptatora Roberta Urbańskiego, stał się przynajmniej tu polskim Hanochem Levinem, też realistą mocno magicznym, korzystającym ze skarbnicy retoryki innej niezwykłej zbiorowości, izraelskiej. Właściwie powinienem wymienić cały zespół. Bogdan Grzeszczak (naczelnik), Gabriela Fabian (naczelnikowa), Ewa Galusińska (anielica z Warszawy), Małgorzata Urbańska (zawiadowczyni), Robert Gulaczyk (Swaczyna), Paweł Palcat (komendant) czy Grzegorz Wojdon (pastor) swobodnie wędrują sobie od realizmu do poetyckiej groteski, a my nie chcemy się z nimi rozstać.



Nie wiem, czy to najlepszy zespół w Polsce, jak stwierdził aktor Waleryś w czasie spotkania z telewidzami po spektaklu. Wiem, że czuje się od nich dobrą atmosferę. Że opowiadają się za współtworzonym przez Głomba „kontrrewolucyjnym manifestem", apelującym o równowagę w polskim teatrze, o zachowanie w nim daru podstawowego, opowiadania o ludziach. A wszystko to podała mi TVP Kultura. Jakub Moroz rozmawiając z Głombem i aktorami, odegrał rolę dyskretnego przewodnika.

Piotr Zaremba



Powiedz, gdzie jest

Naoczni świadkowie zapamiętali, jak artysta usiłował jeszcze uchwycić dłonią mikrofon, a następnie upadł nieprzytomny



KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Chris Rea to jeden z najoryginalniejszych artystów ostatnich czterech dekad. Kilka miesięcy temu we wszystkich mediach pojawiła się dramatyczna wiadomość. Chris Rea w czasie swego kolejnego koncertu w Oxford Theatre upadł na scenę i zaczął się trząść. Natychmiast odwieziono go do szpitala. Wszystkie koncerty promujące ostatni album „Road Songs for Lovers" („Piosenki z drogi dla kochanków") zostały zdjęte z afisza.

Przypomnijmy: Chris Rea w ubiegłym roku przeszedł wylew, zaś w 2002 r., w wyniku wielogodzinnej operacji wycięto mu trzustkę, dwunastnicę i woreczek żółciowy. Mimo to, gdy tylko nieco doszedł do siebie, zaczął znowu komponować, aby wkrótce powrócić na trasę koncertową.

„Muzyka i każdy występ – zwierza się w wywiadach – są dla mnie niezbędne do życia, jak tlen i woda. To moja terapia. Na szczęście udało mi się po latach uporać z moim przekleństwem – takimi używkami jak alkohol i papierosy. Teraz moją trucizną jest tylko Ona – Muzyka!".

* * *

Po raz pierwszy zobaczyłem i usłyszałem Chrisa Rea na scenie w Rzymie podczas pierwszych tygodni mojej emigracji. Wystąpił w olbrzymim namiocie z recitalem promującym płytę „On the Beach", której to tytułowa ballada stała się wkrótce jego przebojem. Rzymski koncert zapamiętałem nie tylko dlatego, że Rea już wtedy był moim ulubieńcem, lecz przede wszystkim dlatego, że oczekiwałem na wylot do Kanady, do Montrealu, a będąc uchodźcą, mocno przeżywałem rozstanie z rodziną i krajem, w którym wyrosłem. Cały repertuar artysty był przepojony nostalgią i ową brylantowością dźwięków jego gitar. Chris Rea gra bowiem na 11 gitarach, które są jego oczkiem w głowie i które także maluje.

Jakie to dziwne, że dwóch nieznajomych sobie autorów napisało w tym samym roku (1986) piosenkę o plaży. Ja – „Już nie ma dzikich plaż", Chris – „On the Beach". Usiłowałem zdobyć w Rzymie jego autograf, lecz zmęczony występem Rea czmychnął do hotelu. Dopiero w 1989 r. podpisał mi swą płytę „Auberge" w katowickim Spodku. A następnie, w Sopocie, kolejne dwa albumy podczas kolejnego koncertu. Niezapomniane jest dla mnie jeszcze jedno spotkanie. Oto po półtoragodzinnym oczekiwaniu na artystę znalazłem się oko w oko najpierw z jego blondwłosą i nastoletnią wówczas córeczką Josephine, a chwilę potem z nim samym. W ten sposób w przepięknym albumie „A New Light Through Old Window" widnieją do dziś wszystkie autografy – z muzykami artysty włącznie.

* * *

Dwukrotnie w moim życiu udało mi się porozmawiać z Chrisem Rea. Oto fragmenty tych wywiadów.

Czy uważasz się za gwiazdę?
Chris Rea: Absolutnie nie.

To jak byś skomentował to, że na jednej z największych sal na świecie – na Wembley – masz zawsze sprzedane cztery koncerty?
To zasługa wszystkich muzyków.

Kto należy do twoich ulubionych instrumentalistów?
Gitarzysta amerykański Joe Walsh. Niezbyt znany, lecz często wykorzystywany jako muzyk sesyjny.

eprasa.pl 5f698ec8ce



Fot. Z archiwum autora

niebo

A wokalista?
Nigdy nie miałem ulubionego. Może Frank Sinatra...

Przez wiele lat byłeś także niezauważony. Jak wdrapałeś się na szczyt?
Zaczynałem w 1976 r. Wiele razy byłem w dołku. Przeżywałem wzloty i upadki. Dopiero ballada „If You Think It's Over" w jakimś stopniu przetarła mi szlak. Potem napisałem: „I Can Hear Your Heartbeat" i „On the Beach".

Kto Ciebie odkrył?
Moja mama [śmiech]. Znalazła mnie na dywanie.

Jeden z twoich pierwszych albumów nosi tytuł „Tennis". Czy sam grywasz w tenisa?
Gdy pisałem tę płytę, na świecie działy się straszne rzeczy. Wojna za wojną, głód w Afryce, wykorzystywanie dzieci. Ponieważ w telewizji mówiono ciągle o tenisie, postanowiłem zakpić sobie z tego.

Nazywają cię brytyjskim Springsteenem. Co ty na to?
Staram się mieć własny styl. Nie cierpię etykietek.

Ile czasu poświęcasz na pisanie?
Tak naprawdę cały czas komponuję i układam swoje strofy. Po prostu notuję pomysły w czasie tras oraz w domu. Przychodzi wreszcie moment, że trzeba to wszystko ułożyć. Wtedy się koncentruję. Zabiera mi to ok. trzech tygodni.

A twój szlagier „Road To Hell"? Zapewne opowiadałeś już o tym setki razy.
To prawda. Powiem jedno: to portret naszego chorego świata. Technologicznej cywilizacji. Czy jest jeszcze ktoś, kto może powiedzieć, że nie jest samotny? Że jest szczęśliwy? Dokąd zmierzamy? Gdy ląduję w twojej Warszawie, nie widzę żadnej różnicy. Zdaje mi się, że jestem w Amsterdamie, Paryżu, Berlinie.

Różnica tkwi w nas, Chris. W ludziach. Co nas odróżnia? Czy tylko mowa? A może historia? I to, czy potrafimy jeszcze z sobą rozmawiać, a nie narzekać lub po prostu uciekać donikąd.
Masz rację. To nie świat się zmienia i nie on jest winny. To człowiek go kreuje. Nie można ciągle zwalać winy na świat!

Masz niezwykle stresujący zawód, prawda?
Mimo wszystko to lekka praca. Sprawia mi mnóstwo radości. O wiele ciężej pracuje np. górnik w kopalni. Sam, o czym mało kto wie, pochodzę z górniczego miasta – z Middlesbrough, znanego również z produkcji stali. Czy pamiętamy o setkach tysięcy górników? Media plotą non stop o aktorach albo celebrytach.

Jakiej muzyki słuchasz?
Słucham jazzu, jazz bluesa.

Czy lubisz saksofon? Zauważyłem, że użyłeś go tylko na jednym albumie?
Trafne spostrzeżenie. Nie przepadam za saksofonem rockandrollowym. Uwielbiam to w jazzie. To frazy Stana Getza czy Jana Garbarka malują prawdziwy smutek. Prawdę o nas i o świecie. Moje piosenki opieram głównie na solowej gitarze i sekcji rytmicznej. Rzadko wprowadzam smyczki. Choć...

Użyłeś ich w przepięknej balladzie „Tell Me There's A Heaven?"
Też ją cenię. To opowieść o naszej pięknej i zarazem chorej planecie. Na której coraz mniej się rozumiemy, a miłość sprowadzona została do mechanicznej kopulacji.

Właśnie! Dlaczego ludzie nie mówią już „kochać", tylko „bzykać"? Gdzie się podziała duchowość człowieka? Żyjemy byle jak. Jemy byle co i zapominamy, że miłość i nasze króciutkie życie powinno być celebracją, a nie udręką.
Przyznam ci rację. Staram się o tym opowiadać. W balladzie „Just Passing Through" mówię o przemijaniu. Każdy z nas przemija i powolutku odchodzi. Pamiętajmy o tym.

* * *

Chris Rea, po dramatycznych przeżyciach ze swoim zdrowiem, zaszył się zapewne w swoim domu z rodziną i stara się odpoczywać z dala od zgiełku betonowej pustyni i wielkich metropolii. Przeleciał samolotami tysiące mil. Odbył setki tras koncertowych. Nagrał dziesiątki płyt, których sprzedał na całym świecie ponad 20 mln. Nigdy nie stroił min, nie przybierał póz, nie udawał kogoś innego, niż jest naprawdę – wspaniałym muzykiem, zrównoważonym, kochającym mężem i ojcem. Człowiekiem z duszą.

Gdy zapytałem go, dlaczego tak mało korzysta ze statusu gwiazdy, powiedział: „Nie interesuje mnie cyrk. Nie zależy mi, by tkwić po uszy w show-biznesie. Interesuje mnie tylko muzyka i tylko ona".

Zdrowia ci życzę, Chris. Trzymaj się! Oby twoja droga do nieba miała jeszcze parę zakrętów.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Powszechna historia zagłady

Marzenie o ludobójstwie zaczęło kołatać po głowach pod koniec wieku XVIII, jego spełnienie zaczęło być możliwe dopiero 100 lat później

Ta książka powinna była powstać choćby ze względu na gazetowych retorów żonglujących bez umiaru pojęciem „ludobójstwa" i ich wychowanków, uczestników dyskusji internetowych. To konsekwencja dominującej dziś w życiu publicznym strategii, nakazującej ukazywać siebie w roli ofiary w nadziei na zaskarbienie w ten sposób sympatii obserwatorów. A skoro tak, doświadczenie ludobójstwa staje się rodzajem mrocznego diademu, najwyższą, choć straszną, godnością, jaka może zostać przyznana narodowi. Dość spojrzeć na fora polskie, serbskie, indiańskie czy fińskie, by przekonać się, że prędzej czy później zostanie na nich podniesiony wątek zagłady (wyodrębnionej w czasie i miejscu, jak w przypadku rzezi wołyńskiej, albo trwającej przez wieki, jak upuszczanie krwi niezliczonym społecznościom Ameryk) własnej wspólnoty.

To fenomen znany skądinąd w przypadku innych wołających o pomstę do nieba zbrodni albo mylnie dotąd diagnozowanych chorób: trudno ocenić, czy wzrost liczby „zgłoszeń" w jednym i drugim przypadku wynika z tego, że takich przypadków rzeczywiście pojawia się współcześnie więcej, czy z tego, że można/wypada już o nich mówić, czy wreszcie za sprawą łatwiejszej, czasem wręcz zwodniczej rozpoznawalności. Kryminolodzy doświadczają takich rozterek w przypadku pedofilii czy gwałtów, epidemiolodzy – zachorowań na nowotwory lub depresję. Socjologom i historykom przyszło się zastanowić nad powszechnością i definicją ludobójstwa.



Wojciech Stanisławski

Refleksji nad tymi granicami podjął się Lech M. Nijakowski, od dawna poruszający się w swoich badaniach na pograniczu socjologii i historii, eksplorujący znaczenia „miejsc pamięci", a szerzej – retorycznym i symbolicznym wykorzystywaniem przez ludzi faktów historycznych. Jego „Ludobójstwo..." przywołuje w popularyzatorskiej, zwięzłej postaci dziesiątki masakr, rzezi, spustoszeń: od „kolumn śmierci" gen. Turreau maszerujących przez Wandeę po wygnanie ludu Herero na pustynię, od drobnego ściegu ospy na kocach rozdawanych Indianom po biały żwirek cyklonu B, od Zamojszczyzny i Srebrenicy po Hołodomor.

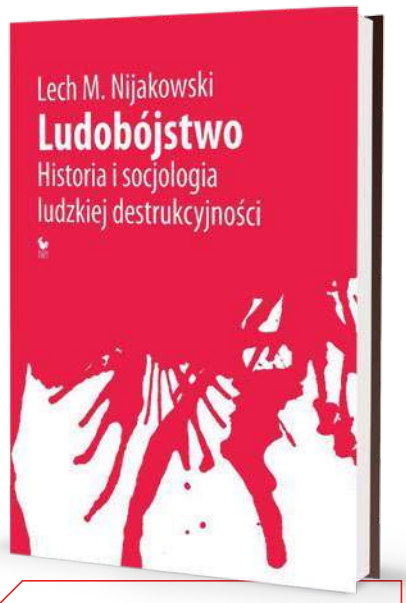
Ta talia zbrodni – czasem puchnących tysiącami świadectw, czasem zredukowanych do roli retorycznego otoczaka (kto, wzdychając nad „Hutu i Tutsi", naprawdę kojarzy szczegóły rwandyjskich „cyklów zemsty", powtarzających się od dziesięcioleci?), nieraz nieznanych niemal nikomu, jak masowe morderstwa w Gwatemali lat 80. – tasowana jest przez badacza, który stara się rozpoznać powtarzalność i wyjątkowość: kiedy mamy jeszcze do czynienia z pospolitą i powszechną ludzką krwiożerczością, od kiedy zaczyna się zagłada?

Szukając odpowiedzi, Nijakowski sięga naprawdę daleko, bo do ustaleń psychologii ewolucyjnej, rozważającej prapoczątki wojen, ich przerażającą, ale niewątpliwą, racjonalność: szympansy, człekokształtni ani prymitywne plemiona nie angażują się w zagłady, po zdobyciu odpowiedniej ilości łupów i samic nie ścigają pokonanych. Jedną z cech osiowych ludobójstwa jest przekroczenie tej „racjonalności bandytów", narażenie na szwank pomyślności własnej grupy, osłabienie państwa: najbardziej znanym przykładem jest przeciążenie sieci kolejowej III Rzeszy transportami zmierzającymi do obozów śmierci, ale również w przypadku zagłady Ormian czy czystek etnicznych uderza nieracjonalność sprawców.

Z innymi wyróżnikami ludobójstwa nie jest już tak łatwo, a Nijakowski mnoży i komplikuje tropy, dyskutując kolejne jego definicje. Już pierwsza historycznie, autorstwa naszego współobywatela, Rafała Lemkina, wydaje się aż zbyt rozbudowana w trosce o uwzględnienie wszystkiego: Lemkin pisał zresztą o „technikach ludobójczych", wyróżniając, prócz prostego zabijania, techniki polityczne, społeczne, kulturowe (zakaz używania języka), biologiczne, ba! – moralne, do

eprasa.pl 5f698ec8ce

ort ekstremalny



Lech M. Nijakowski, „Ludobójstwo. Historia i socjologia ludzkiej destrukcyjności", Iskry, 2018

których zaliczał „zachęcanie do oglądania pornografii i hazard". Sam autor książki definiuje kolejne graniczne cechy pozwalające mówić o ludobójstwie: żywioną przez sprawców chęć anihilacji kategorii społecznej postrzeganej jako „naturalna", niedyskryminacyjność ofiar (zabijanie wszystkich należących do napiętnowanej kategorii) oraz brak możliwości zmiany swojej przynależności czy uznania indywidualnych zasług ofiary: zniszczeni mają być wszyscy, wszyscy. Spaleni („Ha-Shoah"). Zdruzgotani („lokeli" – określa lud Mongo wymordowanie 10 mln mieszkańców Konga przez Belgów). Pożarci („porajmos" – romskie określenie zagłady lat II wojny).

Znamienne, że w kolejnych dyskutowanych przez Nijakowskiego definicjach coraz mniej mówi się o zabijaniu jednostek, coraz więcej o zniszczeniu społeczności. Według Helen Fein ludobójstwo to „nieprzerwane, celowe działania sprawcy zmierzające do fizycznej zagłady danej zbiorowości bezpośrednio lub pośrednio – poprzez zakaz reprodukcji biologicznej i społecznej". Christopher Powell pisze wręcz o „gwałtownym zatarciu pewnej tożsamości zbiorowej", o procesie, „w ramach którego destrukcji ulegają instytucje społeczne, które podtrzymują tożsamość zbiorową, a ponadto fizycznej zagładzie ulegają jednostki".

„Zatarcie tożsamości zbiorowej": przyjęcie takiej kategorii pozwala nam zrozumieć granicę między czystkami czy masakrami (które stają się z czasem składową budowanej przez ocalałych tożsamości) a ludobójstwem. A zarazem pojąć, o jaką stawkę (często nieuświadamianą) toczą się współczesne spory między obrońcami tożsamości a entuzjastami jej rozmywania.

Zaginął kot



Wojciech Niedzielko, „Zaginieni/Missing 2006–2017", Edition Haus Am Gern & Nieporęcka, 2018

W zgiełku miasta są jednocześnie wszechobecne i niedostrzegane, jak gołębie: ogłoszenia o zaginionych kluczach, torebkach, psach, kotach i ludziach. Jeśli nakleić je na słupie latarni, dolna część ogłoszenia, wystrzyżona w wąskie pionowe paski, żeby łatwiej było oderwać fragment z numerem telefonu, będzie się skręcać od wilgoci i szeleścić jak sukienka tutu. Jeśli zabezpieczyć zdjęcie (jak robi wielu) kawałkiem plastiku, po kilku dniach twarz za celofanowym całunem niebezpiecznie zajdzie mgłą. Jeśli nawet nie żałować kleju, prędzej czy później ludzka albo ptasia wrona oderwie pierwsze pojedyncze, ukośne pasmo.

Wojciech Niedzielko przez tuzin lat fotografował takie ogłoszenia: wołania o pomoc, o portfel, o psa, rozwieszane na przystankach i narożnikach ulic; proroctwa samotności, samą ziarnistą prawdę życia, która nie ma szans trafić do żadnych mediów na glansowanym papierze.

Można czytać jego album jak „dokument socjologiczny": opowieść o światłach i niebezpieczeństwach wielkiego miasta („wyszedł ze stacji metra Służew, ubrany był w czarną matową kurtkę"), o wierności („kot musi codziennie przyjmować kroplówki"), o tych, którzy zatrzymali się w czasie i dziś zagląda do nich już tylko pani z MOPS, sąsiadka, może ksiądz: „kobieta jest w pierwszej grupie niepełnosprawności, shizofremia, włosy po szyje czesane w kitkę". Entuzjaści „typo-polo", samorodnej grafiki użytkowej, będą mieli używanie: te wszystkie słowa pisane wersalikami, trzy wykrzykniki na końcu zdania, stare zdjęcia tracące w kolejnym kopiowaniu resztki konturów, taśma klejąca zwijająca się w brudne spirale, jak ironiczna aluzja do wstążki („wyszła w czarnych butach Nike z różowym błyszczącym znaczkiem, ma 19 lat i bardzo jasne blond włosy"). Zdania, które mogłyby rywalizować z legendarnym, niesłusznie przypisywanym Hemingwayowi „Na sprzedaż: dziecięce buciki, nieużywane" tylko są gorzej wystylizowane, bo nie wycięto przymiotników – może, żeby zachować kolory, które znikają na ksero.

Ale tak naprawdę ten album to po prostu lustro, w którym odbija się nasza bezradność. Wojciech Niedzielko, smutny król z aparatem fotograficznym, stawia je przed nami, żebyśmy przez chwilę odwrócili wzrok od billboardów sieci komórkowych oraz siłowni, które obiecują nam fałszywą wieczną młodość i zobaczyli: oto człowiek trzeci dzień szuka sznaucera o siwym pysku.

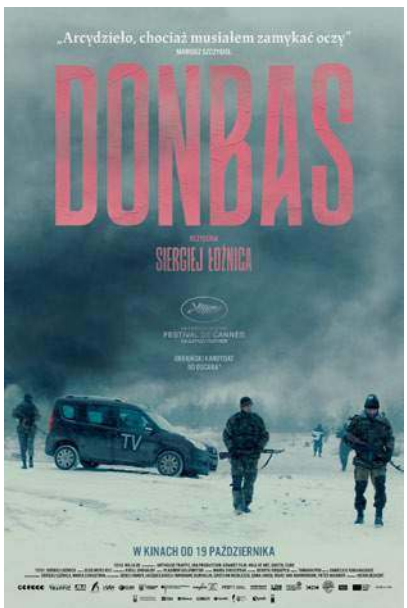
eprasa.pl 5f698ec8ce



Kino

Putinowskie piekło

Co wiemy o wojnie hybrydowej za naszą wschodnią granicą? W erze dyktatury YouTube, filmików na fejsie i insta wiemy tyle, ile pokażą nam jej naoczni uczestnicy. To oni, a nie korespondenci wojenni są dziś pierwszym przekaźnikiem informacji z rozpalonych rejonów świata. Ma to jedną wadę, która dotyczy każdego aspektu mediów społecznościowych. Czerpiemy informacje bez jakiegokolwiek kontekstu. Bez filtrów. Bez komentarza ekspertów. Wiemy tyle, ile pokazuje nam naoczny uczestnik. Powstaje chaos informacyjny, który wcale nie jest odporny na działanie fake newsów.



„Donbas" nie jest typowym filmem wojennym. Nakręcił go twórca przenikliwej i porażającej „Łagodnej", gdzie w groteskowy, a momentami liryczny sposób zlustrował demoralizację putinowskiego systemu. Tym razem wraca do surowej i dokumentalnej stylistyki. Siergiej Łoźnica nie ma wątpliwości, że zgniecenie putinowskim butem całej Ukrainy oznacza początek wojny z Europą. Nie jest Łoźnica filmowym publicystą. Nie jest też moralistą ani specem od batalistycznych scen. „Donbas" to mozaikowa opowieść o zwykłych ludziach. Jest to spojrzenie na wojnę za naszą wschodnią granicą oczami tych, których pewnie byśmy nigdy nie usłyszeli. Ten film jest uniwersalną opowieścią o zagubieniu się w postprawdzie, nieuwolnionej wcale przez media społecznościowe.

Nie ma „Donbas" jednego głównego bohatera. Łoźnica, co przyznał w wywiadzie, proponuje widzowi podróż przez poszczególne kręgi piekła. Nie spodziewajcie się jednak krwawych scen wyjętych z dzisiejszego kina wojennego. Łoźnicę interesuje demoralizacja na innym poziomie. Noworosja, czyli państwo widmo powołane przez separatystów wspieranych przez „zielone ludziki", to kraina zatopiona w jednej wielkiej iluzji. Z ust żołnierzy i urzędników padają ciągłe zapewnienia o potrzebie walki z faszyzmem. W imię tej wojny separatyści rekwirują mieszkańcom samochody, zmuszają do walki młodych ludzi pragnących tylko spokojnego życia. Korupcja przenika każdy aspekt życia. Państwowość putinowskiego przyczółku powstaje w uścisku bolszewickiej mentalności, z której Rosja wciąż się nie wyzwoliła.

Wstrząsająca jest scena ulicznego samosądu ludu przepojonego propagandą na schwytanym ukraińskim żołnierzu. Złowieszcze jest ujęcie stojącego w polu systemu rakietowego Buk, z którego, jak wiemy, wystrzelono pocisk w malezyjski samolot. Łoźnica doskonale operuje obrazem. Wbija go do głowy tak mocno, że trudno go się pozbyć. A jedocześnie jako wybitny dokumentalista pokazuje nam ludzi takimi, jakimi są. Weselnicy zrzucający na moment kałasznikowy z ramienia, zamożna damulka szukająca w ciemnych piwnicach swojej matki, groteskowy biurokrata wykorzystujący do swoich działań prawosławną symbolikę – Łoźnica utkał film z takich epizodów, dopiero w finale odsłaniając grozę tej wojny. Kolejne wspaniałe dzieło mieszkającego na obczyźnie rosyjskiego artysty, który dowodzi, że rosyjskim politykom nie udało się zgnieść piękna rosyjskiej sztuki.

„DONBAS", REŻ. SIERGIEJ ŁOŹNICA, DYSTR. AGAINST GRAVITY

Genialna satyra

Pozostając przy rosyjskich klimatach (choć tym razem z anglosaskimi buziami), przypominam, że na DVD pojawiła się jedna z najlepszych politycznych satyr ostatnich lat. Film Armando Iannaucciego to przykład doskonałej czarnej komedii, która obnaża jednocześnie prawdziwą grozę totalitarnego ustroju. Oparty na francuskim komiksie obraz został zakazany w putinowskiej Rosji za wyśmiewanie Stalina i jego świty bezbłędnie zagranych przez takich znakomitych aktorów, jak Steve Buscemi (Chruszczow), Simon Beale (Beria) czy członek Monty Pythona Michael Palin (Mołotow).

Reżyser kapitalnie odmalowuje rosnącą paranoję komunistycznego siepacza z wąsami, która utrzymywała się w powietrzu nawet po jego śmierci. Błyskotliwie rozgrywa walkę Berii z Chruszczowem o władzę (kapitalna scena ścigających się przez las komunistów, by złożyć kondolencje Swietłanie Stalin), bez litości obnaża funkcjonowanie politbiura i pokazuje też mentalności totalitarystów. Inteligentna, przenikliwa i zabawna satyra. Czapki z głów!

„ŚMIERĆ STALINA", REŻ. ARMANDO IANNAUCCI, DYSTR. KINO ŚWIAT



Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 5f698ec8ce

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza


DVD

Bryk z „Narcos”

Trudno po netflixowym „Narcos” opowiedzieć intrygującą i wciągającą historię kolumbijskiego króla kokainy Pabla Escobara. Brazylijczyk Wagner Moura stworzył tam pełnowymiarową rolę, doskonale podkreślając całą skomplikowaną osobowość tego nietuzinkowego człowieka. Bestialskiego gangstera, jak i kochanego przez masy Robin Hooda ze slumsów w Medellín. Serial w najróżniejszych odcieniach ukazał skorumpowanie kolumbijskiego systemu sprawiedliwości i amerykańską politykę walki z narkobiznesem ery Reagana, Busha i Clintona.

Miłośników „Narcos” nie zachęcam więc do wydawania pieniędzy na film Fernanda Leona de Aranoy. Dystrybutor reklamuje go jako „sensacyjną ekranizację bestsellerowego pamiętnika autorstwa Virginii Vallejo – kochanki Pabla Escobara”. Czy jednak jest to specjalnie sensacyjna ekranizacja, skoro cała historia postaci Vallejo została o wiele głębiej pokazana w „Narcos”?

Ci, którzy nie mieli styczności z serialem, będą jednak usatysfakcjonowani seansem. „Kochając Pabla, nienawidząc Escobara” to solidne, aczkolwiek schematyczne kino sensacyjne o złudnym szczęściu życia gangstera. Penélope Cruz w roli kolumbijskiej dziennikarki, która za romans z Escobarem zapłaciła ogromną cenę, i Javier Bardem (wielki szacun za fizyczne przeobrażenie się w otłuszczonego króla kokainy!) tworzą wiarygodny portret fatalnej miłości.

A raczej pożądania. Dla prostackiego i pretendującego do elit Escobara obecna na salonach gwiazda TV była trofeum. Ona, mogąca mieć każdego mężczyznę, poddała się zwierzęcemu instynktowi i pieniądzom. Kąpała się w bogactwie kartelu z Medellín, choć wiedziała o jego wyjątkowej brutalności. Oboje przegrali. Szkoda, że aż tyle jest w Cruz manieryzmów, a Bardem nie wychodzi ponad poziom kreacji Moury. W życiu prywatnym są parą i możliwe, że to naznaczyło ich ekranową chemię. Przyhamowaną, tłumioną i przez to nieemocjonującą. Oboje mają jednak swoje elektryzujące momenty. Szczególnie Bardem świetnie pokazujący miłość potwora do dzieci.

Dostajemy film będący kopią gangsterskich dzieł Scorsese (narrator z offu, który był również w „Narcos”), z przemocą godną „Scarface” i morałem utartym według przepisu duetu Stone/De Palma z tego filmu. Dla fanów gatunku będzie to odgrzewany kotlet, dla miłośników „Narcos” stracony czas, ale dla pozostałych widzów to solidnie opowiedziana historia ze specyficznej Ameryki Południowej. Dzikiej, szalonej, nieujarzmionej i spływającej krwią, mimo wszechobecnych krzyży. Dobrze, że tak paskudna osoba jak Escobar, który stał się gwiazdą popkultury, nie jest mitologizowana, co akurat Bardem wyjątkowo dobrze uwypukla. Ciekawe, jakby wypadł, dostając cały serial?

„KOCHAJĄC PABLA, NIENAWIDZĄC ESCOBARA”, REŻ. FERNANDO LEON DE ARANOA, DYSTR. KINO ŚWIAT


Kino

Manifest ideologiczny

Rodzi się w Polsce kino LGBT. „Płynące wieżowce”, „W imię”, a teraz „Nina” pokazują, że polscy filmowcy coraz chętniej sięgają po tę tematykę. Olga Chajdas robi to tym chętniej, że sama jest partnerką Kasi Adamik i opowiada o swoim naturalnym środowisku. „Nina” jest filmem zbudowanym jak rodzinny dramat, ale to film głęboko podszyty ideologią. Nina (Julia Kijowska) nie może ze swoim mężem Wojtkiem (Andrzej Konopka) mieć dzieci. Wydaje im się, że znaleźli idealną kandydatkę na surogatkę Magdę (Eliza Rycembel), która okazuje się lesbijką. Nina odkrywa w sobie pociąg do kobiety, co przemeblowuje całą relację między trójką bohaterów. Chajdas od początku gra zbyt wieloma znaczonymi kartami. Dużo w tym filmie jest banału (ile było już filmu o tłumionych frustracjach w małżeństwie?) i kiczowatej symboliki. Wszystko zatopione w sosie artystycznego kina ze zbyt wielką liczbą dziur w logice scenariusza. To szczery film, ale tak nieznośnie ideologiczny (mężczyzna wystarczy jako reproduktor), że odrzuci widza niezakochanego w tęczowej rewolucji.

„NINA”, REŻ. OLGA CHAJDAS, DYSTR. FILM IT

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 5f698ec8ce



Fot. Shutterstock | 171018/F

Kto ma być widzem TVP Polonia?

Wciąż nie wiadomo, ilu Polaków za granicą ogląda TVP Polonia. Przyczyny, jak to bywa w takich przypadkach, są złożone, choć pewne jest, że nikt nie bada oglądalności polskich kanałów poza granicami Polski. Pewne jest też, że widownia zmalała w wyniku kuriozalnej decyzji poprzednich władz TVP. I choć TVP Polonia to kanał dla Polaków mieszkających za granicą, a nie dla widzów w kraju i można by uznać, że problemu z badaniami nie ma, to jednak pytanie o zasięg polskiego programu pozostaje otwarte...

W 2015 r. spora część liczącej ok. 6 mln osób europejskiej Polonii została odcięta od kanałów TVP jednym ruchem. W wyniku decyzji władz TVP o rezygnacji z najpopularniejszego satelity mieszkający za granicą Polacy, chcący nadal odbierać polski kanał, w większości musieli zapłacić. Na ogół nie płacili i przestawali odbierać sygnał. Ówczesna premier Ewa Kopacz zbierała od Polonii listy protestacyjne, bo Polacy za granicą zostali odcięci od treści TVP. Wszystko dlatego, że ówczesne władze TVP zdecydowały o rezygnacji z wynajmu transpondera satelitarnego na pozycji Astra 19,2°E, który dystrybuował takie programy jak TVP Info, TVP Kultura czy TVP Polonia na terenie całej Europy. Od tamtej pory TVP Polonię można było odbierać drogą satelitarną, jednak tylko z nowej pozycji – Hot Bird 13°E, która wymagała przestrajania anten lub kupna nowych. Te programy TVP dostępne drogą satelitarną, jak TVP Kultura i TVP Historia, były zakodowane i niedostępne dla Polonii.

Obecnie TVP Polonia nadal nadawana jest z satelity Eutelsat Hot Bird 13°E, którego zasięg co prawda obejmuje Europę Zachodnią, ale jest to jedynie zasięg teoretyczny. To, co się naprawdę liczy, to liczba anten skierowanych na danego satelitę. Tymczasem mieszkańcy Europy Zachodniej, jak i Polacy mieszkający na Zachodzie (np. w Niemczech, Francji, Belgii, Holandii, Austrii, Szwajcarii) korzystają przeważnie z przekazu z satelity Astra 19,2°E. Obecnie sygnał satelitów Astra dociera do 118 mln gospodarstw domowych w całej Europie. W tych krajach jest to satelita dominujący.

PRZESTAW ANTENĘ LUB KUP NOWĄ

Większość Polaków poza krajem odbiera telewizję poprzez swoje indywidualne i zbiorcze anteny lub poprzez lokalne telewizje kablowe w kraju zamieszkania. Jeżeli chcieliby odbierać TVP Polonia, są de facto zmuszeni do zainwestowania w przeinstalowanie swojej indywidualnej anteny (jeżeli mieszkają w domu jednorodzinnym) lub, co dotyczy większości, do zakupu i zainstalowania na fasadzie wielorodzinnego budynku indywidualnej anteny do odbioru TVP Polonia.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Dodatkowo jest to fizycznie niemożliwe w dużych miastach zachodniej Europy, tj. Brukseli, Amsterdamie, Wiedniu, Madrycie czy Paryżu, ze względu na rozporządzenia budynkowe lub wiąże się z przechodzeniem przez uciążliwą procedurę administracyjną. W Niemczech za zamontowanie indywidualnej anteny pobierane są coroczne opłaty w wysokości 199 euro. Nierzadko również hotele i pensjonaty w całej Europie mają anteny skierowane tylko i wyłącznie na satelitę Astra, co może mieć znaczenie dla Polaków podróżujących służbowo.

– Polska jest w skali Europy dużym krajem, który w tej chwili nie ma kanału publicznego efektywnie transmitowanego przez satelitę na Zachód, do innych krajów Europy korzystających z pozycji Astra 19,2°E – komentuje Jacek Silski, prezes Polskiej Izby Radiodyfuzji Cyfrowej, działacz gospodarczy i współzałożyciel Stowarzyszenia Firm Branży Satelitarnej w Polsce. – Warto zauważyć, że w ramach Unii Europejskiej każdy kraj realizuje swoje cele narodowe, także z zakresu komunikacji, a Polska powinna należeć do tego grona. Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby TVP Polonia była transmitowana do możliwie najszerszego kręgu odbiorców za granicą np. z dwóch różnych pozycji satelitarnych. Ale w przypadku, gdy nie jest to możliwe, powinna postawić na pozycję wiodącą w Europie Zachodniej, która dociera do tych największych skupisk Polaków, np. w Niemczech, Francji czy w krajach Beneluksu. Bez wątpienia taką pozycją jest pozycja satelitarna Astra 19,2°E – dodaje.

DYSKOMFORT I ZAMIESZANIE

Jak ważne jest, by Polacy dowiadywali się o wydarzeniach w Polsce z polskich mediów, nie trzeba tłumaczyć. Kluczowe jest, aby TVP była łatwo dostępna dla mieszkańców Europy. Sprawnie działająca i spełniająca swój cel TVP Polonia – publiczny kanał informacyjny po polsku i w wersji anglojęzycznej – oraz możliwość odbioru za granicą TVP Info to rzecz strategiczna dla polskiej racji stanu.

„Zmiana satelity spowodowała dyskomfort, zamieszanie i brak możliwości odbioru TVP Polonia u części naszych widzów w Europie Zachodniej. Jednak nie oznacza to, że TVP Polonia jest zupełnie tam niedostępna" – odpowiada nam Biuro Prasowe TVP. „Jesteśmy dostępni poprzez operatorów kablowych. Blisko współpracujemy z różnymi organizacjami polonijnymi we Francji i Niemczech, więc jesteśmy świadomi tej kwestii, ale z drugiej strony – Polacy w Niemczech czy Francji oglądają nas, żywo reagują na program, przesyłają uwagi i opinie, a to świadczy o tym, że mogą nas odbierać" – czytamy dalej.

Przedstawiciele TVP argumentują, że obecnie program TVP Polonia dociera do wszystkich największych skupisk Polaków na świecie dzięki umowom licencyjnym na reemitowanie programu TVP Polonia z operatorami satelitarnymi i kablowymi z całego świata. TVP Polonia dociera do 4 mln odbiorców za granicą poprzez operatorów kablowych. Jak podkreślają nasi rozmówcy, zasięg satelitarny jest nieograniczony, jednak nieoficjalnie od osób bezpośrednio zaangażowanych w tę sprawę słyszymy „Konkretnie nie wiemy ile...". Strata po zmianie umowy na satelitę została znacząco odbudowana, ale dokładnych liczb nie można podać.

TO MOŻE INTERNET?

Pewne jest, że z roku na rok zasięg TVP Polonia zwiększa się dzięki podpisywaniu nowych umów na reemisję kanału w kolejnych krajach i na nowych polach eksploatacji. Np. od 11 listopada 2017 r. dostęp do transmisji on-line TVP Polonia jest możliwy z pozycji strony głównej polonia.tvp.pl za pośrednictwem przeglądarki internetowej. Usługa streamingu on-line programu TVP Polonia jest dostępna w Polsce i za granicą. Szkopuł w tym, że ustawodawca na TVP nakłada ustawowo obowiązek rozpowszechniania TVP Polonia drogą satelitarną.

Poprzedni zarząd Telewizji Polskiej podjął decyzję o niedzierżawieniu transponderów satelitarnych od 2015 r. Wcześniej nadawano sygnał podwójnie, płacąc też podwójnie. Koszty podwójnego nadawania sięgały kilkunastu milionów złotych. W TVP obecnie nikt nie chce jednoznacznie oceniać decyzji poprzedników.

– Decyzja była, jaka była. Musimy teraz ostrożnie opracować nowy plan dla TVP Polonia w oparciu o aktualne realia dostępnych technologii. Tak, by opracować najefektywniejszą strategię. Choć nie chodzi tu tylko o pieniądze, bo działalność misyjna, ma to być zrobione z głową. Problem w tym, że na temat odbioru: czy zasięgi spadły, czy się odbudowały, nie wiemy praktycznie nic. Nie ma telemetrii w tym zakresie, a ankiety są koszmarnie drogie – słyszymy od jednej z osób związanych z tym projektem.

Być może dobrym pomysłem byłoby zaangażowanie się Ministerstwa Spraw Zagranicznych w kwestie dystrybucji sygnału TVP Polonia. Choć Rządowy Program Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą na lata 2015–2020 jest już przyjęty, budżet zadaniowy zespołu MSZ jest elastyczny. To może się udać tym bardziej, że w pierwszej połowie przyszłego roku na Woronicza powinny zapaść decyzje dotyczące przyszłości sygnału dla Polonii. Być może wcześniej decyzje powinny zapaść także przy alei Szucha.

Maksymilian Wysocki

W Polsce mieszka blisko 39 mln Polaków, a ok. 21 mln Polaków i osób pochodzenia polskiego mieszka poza terytorium naszego kraju. 26 lat temu z myślą o nich powstała TVP Polonia. Jednak obecnie ogląda ten kanał przeciętnie… 8 935 widzów miesięcznie (dane KRRiT). Ma on udziały w rynku na poziomie 0,13 proc. (dane za I kw. 2018 r.) – najniższe ze wszystkim obecnie stacji badanych w zestawieniu KRRiT, mniejsze niż TVP Sport (0,33 proc.) czy TVP Kultura (0,41 proc.). Dla porównania kanał biznesowy TVN24 Biznes i Świat ogląda średnio 22 547 widzów, co daje mu 0,32 proc.

Dane te KRRiT otrzymuje od Nielsen Audience Measurement z badania „reprezentatywnej" próby ludności Polski powyżej 4. roku życia. Wart 1,6 mld zł rynek reklamy telewizyjnej opiera się na pomiarze jedynie 2 tys. gospodarstw domowych, co oznacza, że realna próba to mniej niż 0,005 proc. Polaków. Statystycznie rzecz ujmując, wybór dokonany przez jedną osobę z badania uchodzi wtedy za „wybór" 19 tys. osób. Jeśli np. TVP Polonia oglądać będą dwie osoby z panelu Nielsena, to popularność kanału w badaniu skacze aż do 38 tys. widzów miesięcznie.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Koniec Europy, jaką znamy

Próba sojuszu Niemiec z Rosją o charakterze cywilizacyjno-technologiczno-społecznym, bo to ma być realny sojusz, będzie próbą ponownego napisania historii roku 1945. Przy okazji Niemcy ryzykują całą Europę, by nie powiedzieć cały świat

Jacek Karnowski rozmawia z Józefem Orłem, komentatorem politycznym, szefem Klubu Ronina

Czy zbliżamy się do końca epoki Angeli Merkel? Pani kanclerz przegrywa kolejne polityczne bitwy, notowania jej partii oraz koalicyjnej SPD nie są najlepsze, AfD krok po kroku zyskuje coraz większe poparcie.

Józef Orzeł: Wszystko się kończy, więc i epoka kanclerz Merkel kiedyś dobiegnie końca. Ale na razie to sprawa drugorzędna wobec wyzwania dużo bardziej poważnego. Zbliżamy się bowiem do fundamentalnego zakrętu polityki europejskiej prowadzonej w trójkącie Berlin–Paryż–Bruksela. Jego istotą jest bardzo jednoznaczne zbliżenie się do Rosji, przy jednoczesnym oddaleniu się od Ameryki. Decyzje, które teraz zapadają, będą miały wpływ na całe stulecie, jeśli nie na dłużej. To będzie koniec Europy, jaką znamy, i narodziny czegoś nowego. Na pewno gorszego, mniej cywilizowanego.

Lepiej już było?

Tak. Sojusz Niemiec z Rosją to ostatnie konwulsje starej Europy. I sytuacja Niemiec ma tu kluczowe znaczenie. Bo my w Polsce patrzymy na Niemców jak na panów sytuacji wygrywających wszystko, co jest do wygrania. Tymczasem tak naprawdę Berlin jest w tragicznej sytuacji: jest bowiem liderem Europy, ale jednocześnie ta Europa powoli staje się peryferium świata.

Czy to aby nie przesada? Unia Europejska wciąż ma większe PKB niż Chiny, a same Niemcy są na czwartym miejscu na świecie.

Ważna jest dynamika. Europa przegrywa gospodarczo z Azją oraz Pacyfikiem i tego odwrócić już się nie da. Europa Zachodnia przegrywa także z powodów ideologicznych – neomarksizm, który tu panuje, wpływa na kulturę, ideologię, obyczaje i na politykę. Problemy demograficzne są wynikiem nie tylko dobrobytu, lecz także dominującej ideologii antyrodzinnej. To wszystko idzie w parze.

Śmierć Europy wieszczono już wiele razy. Europejczycy lubią wątpić w siebie.

Ale cywilizacje także umierają. Teraz przyszedł czas na Europę. To jest śmierć smutna, brzydka. Europa zasługuje na lepszy los, ale cóż zrobić, skoro sama dobija siebie, na własne życzenie aplikując sobie ideologię genderową i jej mutacje. A także porzucając demokrację na rzecz postkomunizmu odwołującego się do Antonia Gramsciego, opartego na rządach niewielkiej „oświeconej" warstwy inteligenckiej. To jest nawet dość optymistyczne, bo okazuje się, że można przebudować społeczeństwo od strony kulturowej, a nie poprzez rewolucję od bazy, przemysłu, proletariatu. Szkoda tylko, że kierunek jest tak fatalny.

Jaki to ma związek z Rosją?

Tylko jeden: niewyczerpane, tanie rosyjskie surowce. Ta stara, zdychająca Europa ma z kolei technologie, które mogą zostać wykorzystane do wydobycia i przerobu skarbów ziemi. Te puzzle naprawdę do siebie pasują! Dzięki taniej energii Europa może złapać „dopalanie", które przedłuży jej agonię, da jakiś oddech.

To jest myślenie elit niemieckich?

Tak. Elity niemieckie potrafią działać w sposób naprawdę wyrafinowany. Tak ustawiły całą konstrukcję, że zamieniły całe swoje otoczenie – i strefę euro, i Europę Środkowo-Wschodnią – w rodzaj półkolonii, z których czerpią wielkie zyski. Teraz wykonują kolejny krok, tym razem patrząc na Wschód. Ten sposób postępowania można od strony technicznej podziwiać.

Od strony technicznej można także podziwiać poprzednie niemieckie próby imperialne, zakończone tragicznie.

To prawda, ale fakt jest faktem: Niemcy działają metodycznie, precyzyjnie, w perspektywie kilku dziesięcioleci. Co więcej, potrafią budować piętrowe konstrukcje. Teraz np. robią wszystko, by mieć pretekst do współpracy z Rosją. Bo przecież teoretycznie państwo o takim potencjale jest w stanie samo wyprodukować tanią energię. Ale oni idą w drugą stronę: likwidują węgiel, zamykają elektrownie atomowe, a na samych wiatrakach nie pojadą. W takiej sytuacji rzeczywiście nie mają innego wyjścia niż sojusz (nie tylko gazowy) z Rosją. Ale to nie koniec: bo Niemcy od dawna rzeczywiście dużo inwestują w odnawialne źródła energii.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Zarówno w samą technologię, jak i ideologię.

Oczywiście. Gdy wykreowana przez nich na poziomie ideologicznym niechęć do tradycyjnych źródeł energii, poparta całym tym gadaniem o ociepleniu klimatu, weszła w fazę praktyczną, to jedynie oni mają technologie i wiedzę. Są kilka kroków naprzód, są światowym liderem. Zwróćmy uwagę: Niemcy narzucili światu zwrot energetyczny, mimo że nie chciały tego ani Stany Zjednoczone, ani Chiny, ani Rosja. Podjęli działania pozornie nieracjonalne, ale mające racjonalność przyszłości. I tak oto na placu boju zostały OZE i rosyjski gaz. To naprawdę duża klasa coś takiego przeprowadzić.

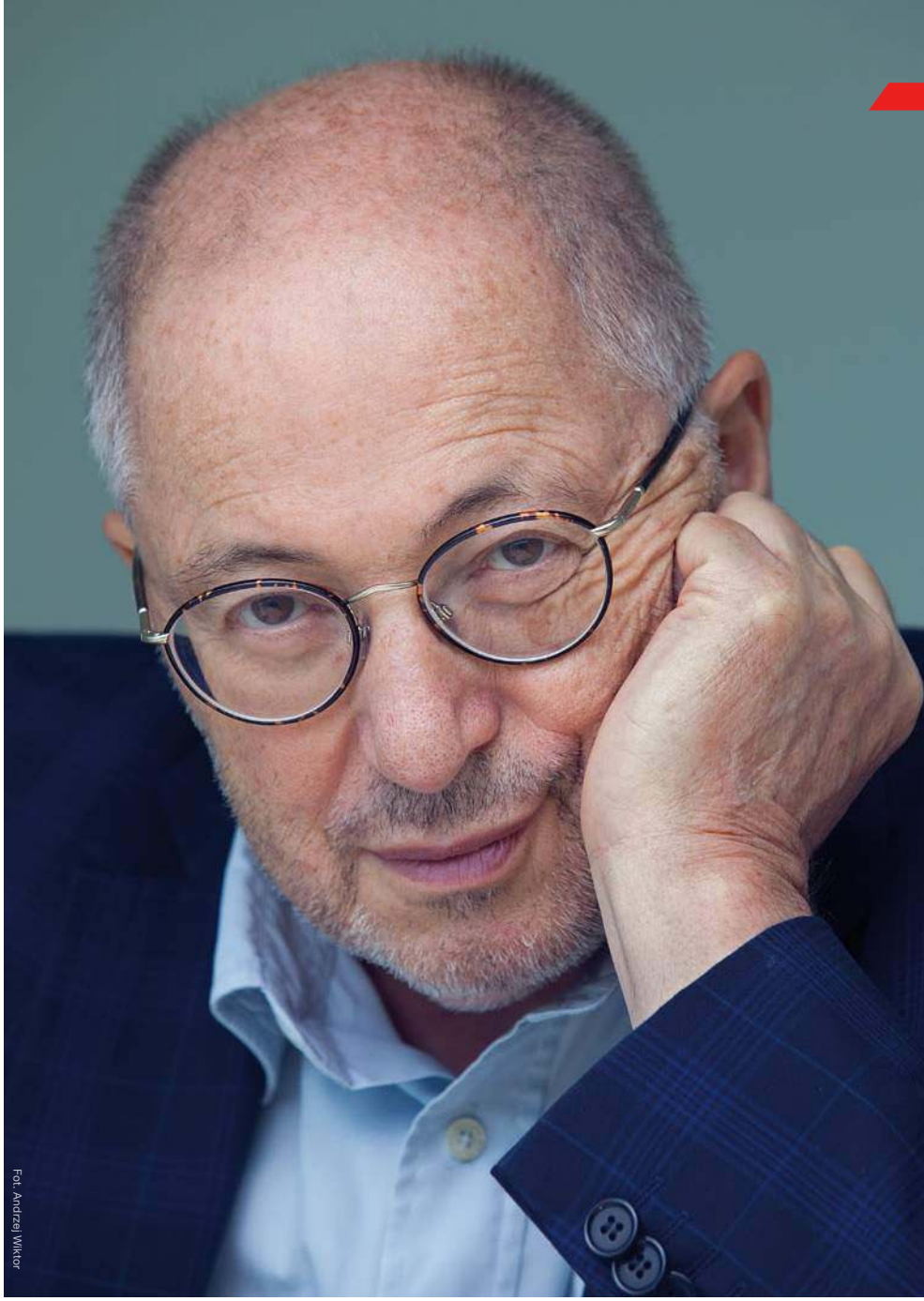
Można powiedzieć, że wrócił Bismarck, polityk bardzo cierpliwy, konsekwentny i jednocześnie sprytny.

Bismarck wiedział, że siłę buduje się na poziomie wielu pięter. Jeden ze współpracujących ze mną analityków ujął to bardzo celnie, stwierdzając, że Niemcy właśnie wygrały I wojnę światową, ale jeszcze nie wygrały II wojny. Próba sojuszu z Rosją o charakterze cywilizacyjno-technologiczno-społecznym, bo to ma być realny sojusz, będzie próbą ponownego napisania historii roku 1945. Przy okazji Niemcy ryzykują całą Europę, by nie powiedzieć cały świat.

Mogą nad tym wszystkim nie zapanować?

Wpuszczenie Rosji do porządku europejskiego jest bardzo dużym zagrożeniem, o czym kanclerz Merkel doskonale wie. Ona akurat próbowała trzymać Rosję na dystans, pozwalając tylko na rzeczy wedle niej precyzyjnie skanalizowane, np. Nord Stream2. Ale musiała ustąpić, ponieważ relacja siły między światem polityki i biznesu w Niemczech coraz bardziej przesuwa się w stronę biznesu. Wielkie firmy coraz skuteczniej wymuszają na politykach rozwiązania zmierzające ku sojuszowi z Rosją. Tego procesu nie nakręcają politycy.

A biznes często lekceważy zagrożenia, które dostrzegają politycy?



Fot. Andrzej Wiktor

Biznes uważa pewnie, że warto zaryzykować, bo można wejść na kolejną orbitę. Donald Trump ma rację: zarówno Nord Stream, jak i wszystkie inne niemiecko-rosyjskie inwestycje systemowe budują rosyjski imperializm. Pieniądze zewnętrzne nie budują Rosji, bo nie jest to potrzebne do utrzymania władzy. Kreml już dawno zrezygnował z działań modernizacyjnych czy prospołecznych. Uważa, że wystarczy trochę chleba i igrzyska (działania imperialne). Pieniądze są potrzebne elitom i siłowikom, czyli swoistej ramie państwowej o charakterze bezpieczniacko-wojskowej. Rosja jest imperium, które swoje problemy wewnętrzne rozwiązuje przez konflikty zewnętrzne.

Z tego, co pan mówi, wynika, że niemiecki biznes sądzi, iż uda mu się sztuka, która nie udała się Niemcom w ciągu ostatnich 200 lat.

Wpuszczenie Rosji do bogatej pod każdym względem Europy może się zakończyć systemową relacją korzystniejszą dla Rosji. Może przyjść moment, w którym Kreml uzna, że może sobie tę Europę po prostu wziąć. Już dziś Rosja ma potężne wpływy na Zachodzie (także w USA). Ingerowanie

eprasa.pl 5f698ec8ce

w kampanie wyborcze i inne manipulacje to już trwały element siły państwowej Moskwy. Co będzie, gdy Rosja będzie miała trzy, cztery razy więcej pieniędzy? Jedynym pocieszeniem mogą być polityka Trumpa i Chiny, które od wschodu ograniczają pole manewru Moskwy.

Jak na tle tej rozgrywki i tych planów wygląda nasza pozycja?

Polska jest Niemcom niepotrzebna jako czynnik polityczny, więc najchętniej nasz kraj kolonizują, mając u nas rządzącą ekipę, która nie sprawia kłopotów. Taki był rząd Tuska, ale to nie był precedens, bo już nawet Gierek pasował Niemcom. Jeśli to się nie udaje, jeśli do władzy dochodzi PiS, to wyjścia są dwa: albo trzeba złamać opór i podmiotowość tej ekipy, albo trzeba ją usunąć.

Złamać się nie udało, pozostaje więc usunięcie.

Takie próby były i będą podejmowane. Sytuacja jest dla Polski trudna, trzeba więc działać niestandardowo. Trzeba dobrze i w sposób przemyślany wybierać pola sporu. Trzeba podnosić spójność i poziom kompetencyjny ekipy rządzącej, a z tym nie jest dziś najlepiej. Miejmy nadzieję, że wygrane wybory parlamentarne pozwolą Prawu i Sprawiedliwości poprawić pracę rządu. Być może po tych wyborach aparat partyjny PiS będzie musiał się przekształcić w nieco inną siłę, bardziej zdolną do radzenia sobie z tymi wszystkimi wyzwaniami. Tu chodzi o wszystko: o języki, doświadczenie, wyobraźnię. Jeszcze ważniejsza jest spójność, także w sferze prowadzenia polityki. Dziś za sprawy zagraniczne odpowiadają przecież cztery ośrodki: MSZ, prezydent, premier i w jakiejś mierze Jarosław Kaczyński.

Ale jednak jest to polityka generalnie spójna.

Poprzeczkę trzeba sobie stawiać znacznie wyżej. Dziś znów wszystko zależy od determinacji Jarosława Kaczyńskiego: czy będzie on potrafił wprowadzić nowe pokolenie eksperckо-dyplomatyczno-polityczne najpierw do rządu, a później do partii. Bo PiS musi być partią nowoczesną, taką jak CDU, która stanowi nie tylko siłę polityczną, lecz i jeden z filarów rozwojowych państwa niemieckiego. Dziś PiS jest gwarantem suwerenności Polski i obrońcą interesów Polaków; to różni go w sposób zasadniczy od innych partii. To jest cenne, ale to już nie wystarcza, bo trzeba się zmierzyć ze światem.

> Europa Zachodnia nie chce naszego bezpieczeństwa. Myślę, że wcześniej czy później będzie usiłowała zawrzeć z Rosją jakiś „pakt dla Europy", nowe Rapallo czy pakt Ribbentrop-Mołotow

Co na to wszystko Stany Zjednoczone?

Ameryka potrafi być numerem jeden w świecie, który jest dwubiegunowy. W świecie wielobiegunowym (multilateralnym) Stany Zjednoczone nie bardzo sobie radzą. Trump próbuje bronić dominacji USA, co jest polityką najlepszą z punktu widzenia tego mocarstwa. W sytuacji rywalizacji z Chinami ważnym dla nas pytaniem jest, co Ameryka zrobi z Europą, która wymyka się jej z rąk, która jej ucieka. Poprzedni prezydenci pogodzili się z oddaniem polityki europejskiej Berlinowi, obecny próbuje cofnąć tę zgodę i zapobiec sojuszowi niemiecko-rosyjskiemu. Trump jest politykiem nietypowym, ale bardzo konsekwentnym. To taki niestandardowy Reagan.

Z doniesień z USA wynika, że ma duże szanse na reelekcję.

Oby. Ale pozostańmy jeszcze przy Europie. Bo dzień po artykule szefa MSZ Niemiec Heiko Maasa o konieczności zmiany polityki zagranicznej na bardziej prorosyjską Francja nie tylko wsparła Berlin, lecz oświadczyła, że „USA już nie zapewniają bezpieczeństwa militarnego Europie". To jest zdanie niesamowite. Bo przecież, po pierwsze, Europie Zachodniej nikt nie zagraża. A po drugie – w Niemczech, i nie tylko, wciąż są amerykańskie bazy. Zatem, po trzecie, Francji chodziło o coś zupełnie innego. To tak naprawdę następujący komunikat: Europa sobie nie życzy, by Ameryka zapewniała bezpieczeństwo militarne Europie Środkowo-Wschodniej przed Rosją. I wówczas zdanie staje się jasne. I przygnębiające.

Delikatnie mówiąc.

Europa Zachodnia nie chce naszego bezpieczeństwa. Myślę, że wcześniej czy później będzie usiłowała zawrzeć z Rosją jakiś „pakt dla Europy", nowe Rapallo czy pakt Ribbentrop-Mołotow. Oczywiście zasady tego porozumienia będą zupełnie inne. Wojna nie jest dziś nikomu potrzebna, poza tym każdy konflikt zbrojny w Europie ściągnie tu, wcześniej czy później, Amerykę. Berlin z Moskwą o tym wiedzą. Póki wojny nie ma, mogą sobie pozwolić na dużo. Znów: gdyby nie USA i Chiny, nie byłoby żadnych hamulców.

Ale przecież Chiny konfrontują się z USA, a nie z Rosją czy Europą.

Geopolitycznie Rosja chciałaby się z Chinami ułożyć. Ale Chiny mają własne plany wobec Europy i wcale nie chcą, by Europa stała się rosyjska. Pekin wolałby, by Europa stała się zależna od Chin. Pekin nie obawia się polityki Putina prowadzonej „po bandzie", ale nie lubi tego stylu. Pekin ma swój Krym na Tajwanie, a jednak działa spokojniej i na dłuższą metę. Pekin już dziś jest mocarstwem, ale ostatnio prezydent Chin mówił, że jego kraj potrzebuje 50 lat spokoju (by stać się mocarstwem nr 1?). Nie jest w interesie Chin wzmacnianie Rosji europejską technologią ani kapitałem. Chiny są tym czynnikiem, który może uniemożliwić plan rosyjsko-niemiecki.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Mieszkanie+ przyspiesza.
Tam, gdzie współpracują samorządy

Mieszkańcy pierwszych oddanych do użytku inwestycji: w Białej Podlaskiej, Kępnie i gminie Jarocin, już urządzają się we własnych czterech kątach. Zgodnie ze swoją decyzją otrzymali lokale wykończone pod klucz lub w stanie deweloperskim do własnej aranżacji. Każda z tych rodzin mieszkających we własnym domu jest kolejnym dowodem na to, że warto było ten program rozpocząć, że należy go kontynuować, bo chętnych jeszcze długo nie zabraknie



12/1018/F

W Białej Podlaskiej w ramach programu Mieszkanie+ wybudowano 186 mieszkań, które oddano do użytku w maju br.

Dlatego program przyspiesza. W realizacji jest obecnie następnych 27 projektów na 10 tys. mieszkań o wartości ponad 2,4 mld zł. Wejście BGKN do Grupy PFR pozwala rozpocząć kolejnych 69 projektów na prawie 30 tys. mieszkań o wartości ok. 8,7 mld zł jeszcze w tym roku. To nie koniec: trwają analizy 406 projektów na 117 tys. mieszkań o wartości 33,7 mld zł.

Mieszkanie+ to program rządowy, którego działania zmierzają do zwiększenia inwestycji w dostępne cenowo dla Polaków mieszkania. Istotnym elementem programu są zmiany w prawie służące usprawnieniu realizacji inwestycji mieszkaniowych, zwiększeniu dostępności gruntów pod budowę mieszkań i pozyskaniu przez inwestorów dodatkowego kapitału. Oczekuje się, że te działania rozruszają polski rynek nieruchomości z korzyścią dla wszystkich stron.

– Naszą rolą jest pokazać, udowodnić rynkowi, że na wynajmie cenowo dostępnych mieszkań można zarobić. Zachęcamy do włączenia się do projektu cały rynek, wszystkich interesariuszy: inwestorów prywatnych, deweloperów – wyjaśnia Mirosław Barszcz, koordynator Rady Mieszkalnictwa przy prezesie Rady Ministrów.

Do realizacji programu z takim rozmachem mogło dojść jedynie przy dobrej współpracy z lokalnymi samorządami. Bez nich Mieszkanie+ miałoby nikłe szanse na powodzenie.

Doskonale widać to na przykładzie inwestycji w Białej Podlaskiej. Do jej realizacji samorząd przystąpił, uprzedzając uchwalenie wielu ustaw warunkujących działanie programu. Zanim weszła w życie ustawa pozwalająca spółkom skarbu państwa przeznaczać własne tereny na potrzeby programu, gmina przekazała grunt pod budowę.

– Bez samorządów ten program byłoby trudno zrealizować. To one przecież najlepiej znają miejscowe potrzeby lokalowe. Jedynie one są w stanie sprofilować program tak, aby mógł te potrzeby zaspokoić. Często bywa tak, że to samorząd posiada grunty, które może wykorzystać. Tak było u nas: mieliśmy teren gotowy, z pozwoleniem na budowę, z projektem budowlanym, który trzeba było tylko dostosować do wymogów programu, zastępując kawalerki lokalami dla rodzin z dziećmi. Również całe przeprowadzenie programu spoczęło na barkach samorządu: od zbierania wniosków w imieniu BGKN, poprzez promocję, jaką robiliśmy w naszym mieście, chcąc pokazać mieszkańcom, że mają wybór i dzięki współpracy miasta z rządem mogą mieć własne mieszkania – opisuje rolę samorządu Dariusz Stefaniuk, prezydent Białej Podlaskiej.

Ponadto miasto zyskało nie tylko lokale dla swoich mieszkańców. 20 mln zł, które zainwestował w realizację osiedla BGKN, zostało na miejscu: przetargi na budowę wygrały trzy lokalne firmy.

Niezrozumiałe jest więc to, dlaczego niektóre z samorządów bronią się przed wejściem we współpracę w programie. Polityczne animozje między samorządem a rządem stają się niestety powodem odrzucenia cennego dla miasta, dla jego mieszkańców wsparcia.

– Niechęć do współpracy z rządem, niechęć do pozyskiwania funduszy i środków na rozwój swoich miast jest całkowitą aberracją samorządności. Dla mnie – jako prezydenta miasta – nie ma znaczenia, kto rządzi w państwie czy w Unii Europejskiej. Na tym stanowisku zależy mi, aby moje miasto jak najwięcej czerpało z rządowych projektów czy z projektów unijnych – podkreśla Dariusz Stefaniuk.

Anna Raciniewska

eprasa.pl 5f698ec8ce

Geopolityka bez fasady

Po ewentualnym korzystnym dla Polski wyniku wyborów do Parlamentu Europejskiego może się okazać, że wprawdzie przycichną albo wręcz ustaną nieżyczliwe pouczenia kierowane do nas z tamtej strony, ale objawi się, i to z całą mocą, nowe, o wiele poważniejsze zagrożenie



PIOTR WIERZBICKI

Tym zagrożeniem jest realna perspektywa geopolitycznych wstrząsów rujnujących światowy system bezpieczeństwa, na których końcu rysuje się strategiczna oś Niemcy–Rosja z tradycyjną rolą Polski jako przeszkody, wręcz zakały w rozwiązywaniu problemów Europy.

PRELUDIUM

To oczywiste, że bardziej pluralistyczny, zróżnicowany skład organów kierowniczych Unii – po wyborach do Parlamentu Europejskiego – mógłby przynieść ulgę i nam, i Węgrom, i paru innym krajom członkowskim. Tylko że Niemcy i Francja przyzwyczaiły się traktować tę organizację jako swoje podwórko, zaś jej organy kierownicze jako poręczny parawanik, za którym stoją ich własne narodowe interesy. Co się stanie, gdy parawanik przestanie spełniać swoją funkcję? Ruszy geopolityka bez fasady.

ORBÁNOWSKA DIAGNOZA

Nie tak dawno bez echa przeszła u nas pewna wypowiedź premiera Orbána. Bez echa, bo, jak należy rozumieć, nie pasowała nikomu – ani wrogom tego polityka, ani fanom. A nie pasowała nie bez powodu. Nigdy czegoś podobnego nie słyszano. Orbán powiedział ni mniej, ni więcej, że Rosja zagraża jedynie państwom bałtyckim, Ukrainie i Polsce, słowem Węgrom i pozostałym krajom nie zagraża, mogą sobie zatem z nią handlować. Powiedzą zaraz: prorosyjski. No nie bardziej niż niektórzy inni, to zdaje się jednak nie on szykuje właśnie Europie koszmarny gazociąg. Chodzi o to, że przynajmniej w pierwszej, głównej części wypowiedzi (bo co do handlu można się spierać) Orbán powiedział prawdę. Oczywiście, że Rosja nie zagraża Niemcom, Francji, Włochom, Hiszpanii i pozostałym ani myśli ich podbijać, marzy jej się za to owocna, na wszystkich polach, współpraca. Zagraża tym, które zalicza do swej strefy wpływów i które zarazem mają istotne znaczenie strategiczne (tu właśnie różnica między pozycją Polski a statusem Węgier, Słowacji, Czech – my mamy nieszczęście mieć istotne znaczenie strategiczne, oni nie).

Diagnoza Orbána aż prosi się o tylko jedno jeszcze niezbędne dopełnienie.



To istotne, że na tych z Zachodu nikt nie dybie, ale jeszcze istotniejsze, że oni to wiedzą, mają tego całkiem jasną świadomość. A skąd niby u kanclerz Merkel tak niechętna, wręcz wroga reakcja na apel amerykańskiego prezydenta o zwiększenie wydatków na obronę? Przecież ona ma po prostu w głowie, że te pieniądze pójdą w błoto! A skąd jawny niemiecki bojkot europejskiej polityki energetycznej, chóralne ataki europejskiego establishmentu na prezydenta Trumpa, kwestionowanie amerykańskiego przywództwa w NATO, zauroczenie Rosją całej klasy politycznej nad Sekwaną? No przecież stąd, że pomruki ze Wschodu i strachy na Lachy mogą kogoś tam dotyczyć, ale z pewnością nie ich, Niemców, Francuzów i kompanii.

Pokusa wydaje się oczywista i nieuchronna: wypchnąć Stany Zjednoczone z kontynentu, zacieśnić współpracę z Rosją, po czym wciągnąć ją do nowego europejskiego systemu bezpieczeństwa.

SKRUPUŁY

Jest wszakże pewien szkopuł: Ukraina. Warto sobie przynajmniej na chwilę uświadomić, że gdyby nie kijowski Majdan, patriotyczne odrodzenie i brutalna rosyjska napaść, trwałby w najlepsze tu w Europie i Stanach Zjednoczonych odwilżowy reset i w jakim stadium tej sielanki znajdowalibyśmy się dziś, wręcz nie sposób

eprasa.pl 5f698ec8ce



Fot. photoosmos1/Shutterstock.com

sobie wyobrazić. No, ale się stało, Majdan wybuchł, Rosja zaatakowała, reset trzeba było przerwać.

Ukraina ma pod jednym względem szczęście: światowa społeczność lubi rewolucje (niestety także te nieszczęsne, jak sławetna kairska, z obaleniem prezydenta Mubaraka, „arabską wiosną", podpaleniem Bliskiego Wschodu i urodzeniem Państwa Islamskiego). Skutek: Ukraina zyskała zbawienną powszechną sympatię i przynajmniej niektórym głupio byłoby teraz oddawać ją znowu na pastwę Rosji, stąd przedłużanie sankcji (które są zresztą tylko listkiem figowym przykrywającym bezsilność świata). Jak wolno mniemać, tak właśnie może odczuwać tę sytuację kanclerz Merkel. Ale niemieccy socjaldemokraci i ci z Alternatywy dla Niemiec już raczej nie mieliby tych skrupułów. Nie manifestuje ich też Francja. Nie sposób wykluczyć, że jakieś ustępstwo prezydenta Putina w sprawie ukraińskiej (np. trwałe zaprzestanie ataków w Donbasie) przedstawione jako dyplomatyczny sukces Zachodu, da zielone światło do zniesienia sankcji, reset będzie można wznowić, a nawet pójść dalej.

SCENARIUSZE

Nie odgadniemy przyszłości. Zbyt wiele jest możliwych scenariuszy. Ale nie odwracajmy oczu od tego najgorszego, w którym w miejsce dzisiejszych utarczek słownych między Polską a urzędnikami z Brukseli i Strasburga pojawi się twarda, jakże dobrze nam znana rzeczywistość: my, mniej lub bardziej samotni, między Niemcami a Rosją, związanymi sojuszem, być może nawet militarnym, oczywiście ze wszelkimi dla nas „gwarancjami" i obowiązującym terminarzem „konsultacji". Rzecz jasna rozbiór kraju nie wchodzi w grę. Ale okrajanie terytorialne – czemu nie, naturalnie „zgodne z wolą ludności", potwierdzoną plebiscytem przeprowadzonym pod kontrolą niezależnych organizacji międzynarodowych. Tutejsze osoby publiczne deklarujące otwarcie i ochoczo zgodę na powstanie państwa „Europa" po uprzednim wysadzeniu w powietrze Polski z pewnością będą zachwycone.

Nie miejmy złudzeń: nawet skrajnie łagodny wariant tego scenariusza oznaczać musi nieuchronnie wstrząs wewnętrzny, wyjdzie z podziemia partia rosyjska, dostanie wiatru w żagle partia niemiecka i zaroi się od wszelkiego autoramentu „realistów" biegłych w wychwalaniu jednego postronka, co to ma nas uchronić od drugiego.

POLE MANEWRU

Cóż dziś może uczynić Polska? Nie ma wątpliwości: gdyby ziścił się scenariusz najgorszy, nasz wpływ na bieg wydarzeń będzie ograniczony, a gdyby to się miało zacząć od jakiegoś rozdającego karty w Europie sabatu na szczycie, może przypaść nam wręcz rola pionka w cudzej grze, tak jak się to stało na kongresie wiedeńskim i w Jałcie, a szczęśliwie się nie stało w Wersalu.

Pozostaje nam, po pierwsze, zbroić się, i to nie według wskaźników 2 proc. dochodu narodowego czy 2,5, tylko według potrzeb, które są gigantyczne, niewyobrażalne i którym się sprosta jedynie pod warunkiem, że społeczeństwo, dziś w konsumpcyjnej gorączce, zgodzi się na niezbędne wyrzeczenia.

Pozostaje nam, po drugie, stać twardo za NATO, za Ameryką, tak jak stajemy, ale pod żadnym pozorem nie przykładać rąk do działań, których przypuszczalną intencją, a z pewnością skutkiem może być tylko zniechęcenie Stanów Zjednoczonych do kontynuowania militarnej obecności w Europie. Ponad wszelką wątpliwość ma taki właśnie czysto destrukcyjny charakter inicjatywa powołania usytuowanych poza strukturami NATO „wojsk europejskich" i wypada wyrazić zdumienie zgodą rządu na udział Polski w tym projekcie. To prawda: z zastrzeżeniem „o ile nie będzie kolizji z NATO", ale to przecież tak, jakby powiedzieć: „Zabij go, ale byleby nie stracił życia". A jaki miałby być cel tego wojska, poza oczywistym kolejnym radykalnym ograniczeniem suwerenności państw członkowskich Unii i położeniem łapy przez brukselskich komisarzy na przemysłach obronnych i strategiach tych państw? A do kogo mieliby strzelać ci żołnierze, skoro, jak się okazuje, Rosja już Zachodowi nie zagraża? Czy to nie mają być przypadkiem siły porządkowe do dyscyplinowania krnąbrnych członków wspólnoty?

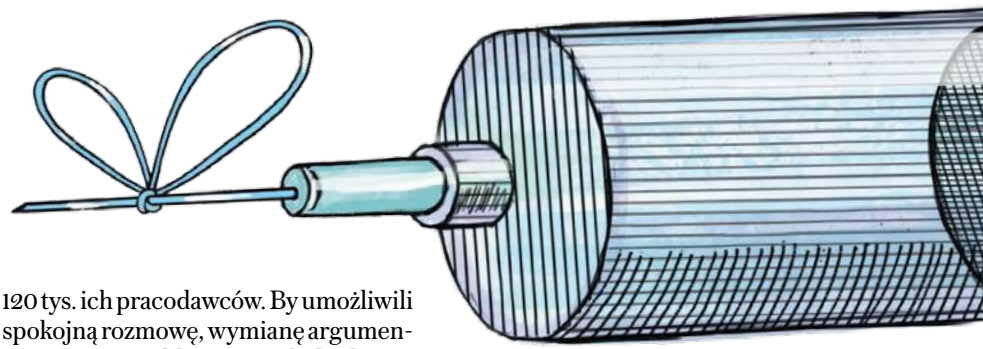
Pozostaje nam, po trzecie, czynić wszystko, co w naszej mocy, by ocalić niepodległą Ukrainę, a to oznacza również powstrzymać się – póki trwa rosyjska agresja – od bezsensownych zaczepek historycznych, w których tak się ostatnio lubują nasi „patrioci ostatniej godziny", bo to ładnie wygląda i nic nie kosztuje. Wprawdzie, jak już zostało wspomniane, pewne zaklajstrowanie ukraińskiego problemu (rosyjskie ustępstwo) mogłoby zostać potraktowane przez Zachód jako pretekst do odblokowania sankcji i wznowienia resetu, jednak wizja najgorszego scenariusza (powtórki naszej geopolitycznej sytuacji z lat 30. minionego wieku) staje się zdecydowanie mniej realna, gdy wyobrazić sobie, że u wschodniej granicy mamy silną, niepodległą, zaprzyjaźnioną z nami Ukrainę.

I po czwarte, pozostaje nam patrzeć prawdzie w oczy (zamiast wymyślać Niemcom albo – powołując się na solidarność, wspólnotę itp. – błagać ich, by poczuli zagrożenie, którego właśnie, że nie czują, i to w imię bardzo konkretnych interesów), przyjąć do wiadomości rzeczywistość: nasze interesy są rozbieżne, trzymając się Unii Europejskiej, póki się da (i póki ona trwa), myśleć po swojemu i szykować się na nadchodzące z pewnością ciekawe, a być może również trudne czasy. Piłsudski i Dmowski nie czekali na koniec wielkiej wojny: zaczęli wcześniej.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Skąd ta pogarda?

Antyszczepionkowcy to wy! Wy, co liżecie łapy komiwojażerom cudzego zysku, odmawiając Polakom wiedzy, bezpieczeństwa i opieki





MACIEJ PAWLICKI

Antyszczepionkowcy to wy, którzy pogardliwymi wrzaskami próbujecie utrzymać dla Polaków system feudalnej podległości koncernom farmaceutycznym, bez upowszechniania wiedzy o możliwych powikłaniach, za to z bezprawnym, ale faktycznie funkcjonującym w Polsce zakazem raportowania powikłań poszczepiennych i represjami za próby ich raportowania. Antyszczepionkowcy to wy, którzy blokujecie powstanie systemu odszkodowań dla ofiar powikłań poszczepiennych w cywilizowanym świecie finansowanego z gigantycznych zysków producentów szczepionek.

Bardzo dobrze się stało, że klub Prawa i Sprawiedliwości razem z posłami Kukiz'15 zdecydował o skierowaniu obywatelskiego projektu do pracy w komisjach. Nie jest to żaden „flirt z ekstremistami", ale uczciwa procedura, do jakiej moralnie zobowiązany jest każdy poseł. Nie wiem, czy ten projekt jest dobry, ale chcę, by posłowie pochylili się nad tym, co podpisało 120 tys. ich pracodawców. By umożliwili spokojną rozmowę, wymianę argumentów zamiast wykluczania, obelg i histerycznego unikania wiedzy o faktach.

Szczepionki nie są obowiązkowe m.in. w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Holandii, Hiszpanii, Portugalii, Austrii, Danii, Norwegii, Szwecji, Finlandii, Estonii, na Litwie, w Rumunii, Finlandii, Islandii, Irlandii... A tam, gdzie są obowiązkowe, zazwyczaj jest ich kilka. W Polsce obowiązkowych szczepionek jest... 41, z czego 29 tylko w pierwszych dwóch latach życia dziecka. Cóż za wspaniały „rynek"!

BLUZG I PAŁA

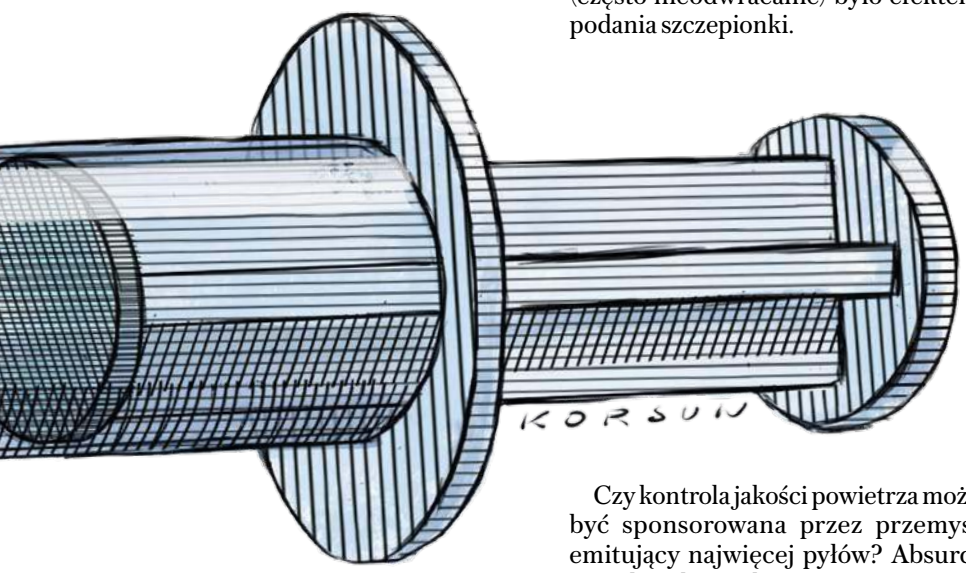
Nie dziwię się, że bluzgnęli pogardą („czas idiotów!", „głupota!", „debilizm!") pałkarze przyzwyczajeni do traktowania Polaków jak motłochu, który należy batożyć i decydować o jego życiu bez pytania go o zdanie. Ale dziwię się, że także po stronie – nazwijmy ją – republikańskiej publicyści i politycy pohukują w tonie pogardliwym, autorytatywnie wypowiadając się o problemie, o którym wiedzą sto razy mniej niż zrozpaczeni i bezradni rodzice tysięcy dzieci. Tak, widziałem w Warszawie wielotysięczną, przerażającą demonstrację, w której szły niemal wyłącznie rodziny z małymi dziećmi, często na wózkach, często z licznymi, poważnymi chorobami, które pojawiły się po szczepieniach.

Ale pytanie nie brzmi dziś: szczepić czy nie szczepić? Pytanie brzmi: szczepić jak bezwolne stado kurczaków, bez zachowania standardów bezpieczeństwa istniejących w niemal całej Europie, czy też szczepić tak, jak szczepią Niemcy, Brytyjczycy, Francuzi, Skandynawowie, Czesi, Węgrzy etc.? To znaczy z zachowaniem mechanizmów, które pozwalają mieć nadzieję, że szczepionki są bezpieczne i podawane naszym dzieciom w bezpiecznym dla nich momencie.

W Polsce nie ma systemu, jaki istnieje w cywilizowanych krajach. Podstawą bezpieczeństwa szczepionek i szczepień jest poczucie, że państwo ma władzę i kontrolę nad producentami. Że priorytetem nie jest maksymalizacja zysku, ale zdrowie szczepionych. Niezawodna w poniżaniu Polaków „Gazeta Wyborcza" pisze wprost: „dobrowolność nie dla Polaków", jako że jesteśmy ciemni, brudni („Polacy nie myją rąk") i nieodpowiedzialni. Nie możemy być więc traktowani jak dorośli, jak Brytyjczycy, Belgowie, Niemcy czy Skandynawowie, którym można zaufać, że chcą dobra swoich dzieci. My, Polacy, musimy być szczepieni przymusowo, bośmy durnie.

W społeczeństwach cywilizowanych i państwach podmiotowych stosowane są kary dla lekarzy, pielęgniarek, szpitali za ukrywanie powikłań po szczepieniach (zwanych NOP – niepożądanym odczynem poszczepiennym). W Polsce teoretycznie istnieje obowiązek raportowania NOP, ale w praktyce jest dokładnie odwrotnie – istnieje blokada

eprasa.pl 5f698ec8ce



raportowania powikłań oraz są szykany dla tych, którzy próbują raportować problemy zdrowotne u dzieci następujące bezpośrednio po szczepieniu. Te szykany są bezprawne i skandaliczne, ale powszechne i skuteczne. Dlaczego? Bo prawdziwa liczba powikłań poszczepiennych mogłaby sprawić konieczność kontroli szczepionki oraz systemu jej podawania.

W cywilizowanym świecie system jest jasny: nie wolno szczepić dziecka chorego, dziecka o zespole obniżonej odporności i dziecka uczulonego na dany rodzaj szczepionki. W Polsce szczepi się dzieci wszystkie i natychmiast, często także te z podwyższoną temperaturą. Jako jedyni w Europie (obok Bułgarii) szczepimy dzieci w pierwszej dobie po urodzeniu, gdy nie ma szans na diagnozę, czy noworodek nie ma zespołu obniżonej odporności i czy nie jest uczulony na dany rodzaj szczepionki. Dlaczego?

W pierwszej dobie szczepimy niemowlęta szczepionką BCG – przeciw gruźlicy, w Niemczech wycofaną 20 lat temu ze względu na bardzo wysoką liczbę powikłań. Ale w Polsce powikłań nie ma... Gdy zaś rodzice z chorym po NOP dzieckiem zgłaszają się do lekarza, ten szeptem diagnozuje, że to efekt szczepionki, ale nie wolno tego mówić. Przełożeni i urzędy odrzucają supozycje, jakoby pogorszenie zdrowia dziecka (często nieodwracalne) było efektem podania szczepionki.

Czy kontrola jakości powietrza może być sponsorowana przez przemysł emitujący najwięcej pyłów? Absurd, prawda? Ale w Polsce – mimo że sprawa dotyczy najsłabszych i bezbronnych dzieci – nie istnieje system kontroli szczepionek, który byłby niezależny od producentów tychże szczepionek, niefinansowany przez nich. Badania wykonują koncerny, a oceniają eksperci, którzy nie muszą składać oświadczeń o braku konfliktu interesów, co jest standardem np. w Niemczech. Dla rodziców te badania są w Polsce tajne.

CIERPIENIE I WIEDZA

Ale rodzice już nie zgadzają się być ciemnym motłochem czy stadem brojlerów. Chcą wiedzieć, że ich państwo pilnuje jakości szczepionek i systemu ich stosowania. Gdy widzą, że tak się nie dzieje, tracą do państwa zaufanie, czują, że muszą brać swe dzieci w obronę przed patologiami i bezwzględną chciwością, skoro urzędnicy nie chcą tego zrobić.

W cywilizowanym świecie istnieją fundusze, z jakich opłaca się leczenie dzieci, które zachorowały wskutek podania szczepionki. Między innymi w Niemczech (od 1961 r.), we Francji (od 1960 r.), w Wielkiej Brytanii, Austrii, Szwecji, Szwajcarii, we Włoszech, w Finlandii, Norwegii, Danii, Japonii, Tajwanie, USA, Kanadzie, Czechach, Słowenii, na Węgrzech... Fundusze owe finansowane są z zysków koncernów farmaceutycznych. Koncerny owe, wiedząc, że muszą płacić za leczenie ofiar, przykładają szczególną wagę do jakości szczepionek oraz są żywotnie zainteresowane właściwymi warunkami dokonywania szczepień. Maksymalizacja zysku firmy produkującej nie jest sprzeczna ze zdrowiem szczepionych, a nawet jest z nim zbieżna. W Polsce dokładnie odwrotnie: nie ma takiego funduszu, koncerny nie muszą nań łożyć, ich maksymalizacja zysku polega więc na największej sprzedaży, szczepieniu wszystkich dzieci jak najwcześniej, także szczepionkami dawno wycofanymi z innych rynków ze względu na wysokie ryzyko powikłań. W Polsce wolno, bo Polacy powikłania ukrywają, więc powikłań nie ma. Polaków szczepi się hurtowo, bo jak jest problem, to Jacek Żakowski i inni poganiacze niewolników zawrzasną o „idiotach", urzędnicy się skulą ze strachu, zastraszą lekarzy i kasa popłynie. A koncerny przyznają hojne granty na badania, organizują konferencje na cudownych wyspach i dają do mediów reklamy. W Polsce cywilizowane standardy niepotrzebne, wystarczy, że huknie się na rodziców, że są „wyznawcami płaskiej ziemi", a na pediatrów, że mają siedzieć cicho, bo stracą prawo wykonywania zawodu.

Ale polscy rodzice coraz częściej i coraz wyraźniej widzą, że brak właściwej kontroli nad systemem szczepień jest zagrożeniem dla ich dzieci. Setki, tysiące przypadków blokowania raportów o niepożądanym odczynie poszczepiennym i brak funduszu dla jego ofiar to działania prawdziwych antyszczepionkowców.

Wierzę, że dobra zmiana wreszcie dojrzy skandal, jaki trwa w systemie – kosztem polskich dzieci. Poprzedni ministrowie nie mieli na to ochoty, ale nowy, mówiąc o konieczności szczepień, rozumie też konieczność poważnego traktowania powikłań i – jak słyszę – jest zwolennikiem powołania funduszu, który finansował będzie leczenie dzieci z powikłaniami poszczepiennymi. Bo nie wrzaski o idiotach i zastraszanie rodziców oraz lekarzy zapobiegną spadkowi zaufania do sensu szczepień, ale właściwa reakcja naszego państwa. Czekamy na nią.

eprasa.pl 5f698ec8ce

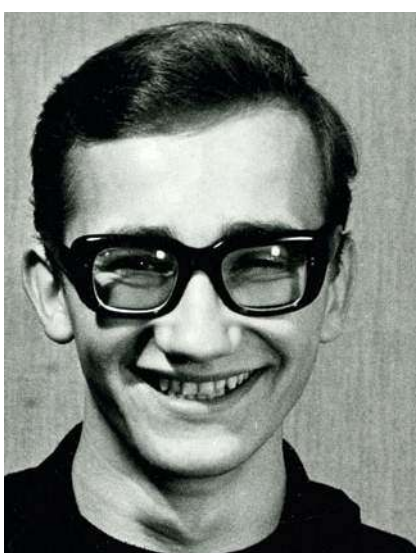
Wierzę, że afera FOZZ zostanie wyjaśniona

Dla każdego dziecka utrata rodzica to koszmar i potworny szok, w który trudno uwierzyć. Brzemię tego zdarzenia ciągnęło się za mną przez lata – mówi w rozmowie z Tomaszem Plaskotą ***Zuzanna Falzmann***, córka Michała Falzmanna, inspektora Najwyższej Izby Kontroli, który ujawnił aferę FOZZ, korespondentka TVP w Stanach Zjednoczonych

Pani tata Michał Falzmann ujawnił i opisał aferę Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Zmarł nagle 18 lipca 1991 r. Jako korespondentka TVP w USA relacjonowała pani ekstradycję Dariusza Przywieczerskiego do kraju. Co pani poczuła, kiedy się dowiedziała, że człowiek uważany za mózg afery FOZZ po kilkunastu latach ukrywania się przed wymiarem sprawiedliwości trafi do więzienia w Polsce?

Zuzanna Falzmann: Pomyślałam, że sprawiedliwość jednak istnieje. Ale przypomniałam sobie, że pan Przywieczerski jest skazany na skromny wyrok – dwa i pół roku więzienia. Wyrok za okradanie państwa polskiego powinien być chyba jednak wyższy. Pan Przywieczerski szybko wyjdzie na wolność i będzie żył z pieniędzy, których dorobił się na FOZZ. Jego ekstradycja ma więc dla mnie słodko-gorzki smak. Zastanawiam się, czy zdecyduje się współpracować ze śledczymi i ujawni fakty, które przez lata ukrywał, czy też będzie strategicznie milczał.

Sądzi pani, że zdecyduje się na taki, prawdopodobnie ryzykowny dla niego, krok? Chyba nie opłaca mu się nikogo obciążać. Jak pani zauważyła – otrzymał skromny wyrok. W 2005 r. po 14-letnim śledztwie i procesie został skazany na 3,5 roku więzienia za wyprowadzenie z FOZZ około 1,5 mln dolarów. Rok później, mimo że uciekł z kraju po rozpoczęciu procesu, sąd apelacyjny zmniejszył mu karę do 2,5 roku więzienia. Były dyrektor FOZZ Grzegorz Żemek został skazany przez sąd pierwszej instancji na 9 lat więzienia i 720 tys. zł. grzywny. Również dla niego sąd apelacyjny był łaskawy. Obniżył mu wyrok do 8 lat więzienia i 5 tys. zł.



Michał Falzmann

To inteligentny człowiek, więc doskonale zdaje sobie sprawę, jakie ryzyko wiąże się ze zdradzaniem tajemnic, które dotyczą niezwykle wpływowych i majętnych ludzi. Wiele osób obawia się jednak, że zacznie podawać nazwiska i dzielić się swoją wiedzą z prokuraturą. Długoletni proces doprowadził do przedawnienia. Sędzia Barbara Piwnik zajmowała się sprawą całymi miesiącami. Kiedy została powołana na funkcję ministra sprawiedliwości w rządzie SLD, sprawę przejął sędzia Andrzej Kryże. Był w niezwykle trudnej sytuacji. Musiał się zapoznać z wieloma tomami akt nad wyraz skomplikowanej afery. Opóźnianie śledztwa było celowym działaniem, żeby sprawa się przedawniła i nie można było skazać winnych.

Rozmawiała pani zapewne ze swoimi amerykańskimi przyjaciółmi i znajomymi o sprawie FOZZ. Jak reagowali? Co mówili?

Nie mogli uwierzyć, że mogło dojść do tak gigantycznego rabunku finansów państwa. Zdumiewa ich, że można ukraść ogromne pieniądze i ukrywać się przez kilkanaście lat. Dziwią się, że niektórzy nigdy nie stanęli przed wymiarem sprawiedliwości i do dzisiaj żyją ze skradzionych pieniędzy. Prawdopodobnie część pieniędzy wyprowadzonych z FOZZ nadal jest ukryta w egzotycznych krajach. Szokuje ich, że w demokratycznym państwie nikt nie próbuje wyjaśnić afery. Warto wrócić do wyjaśnienia sprawy FOZZ, bo mnóstwo ludzi, którzy wzbogacili się na tej aferze, nigdy nie stanęło przed wymiarem sprawiedliwości.

Rodzice rozmawiali o aferze FOZZ?

Mama wielokrotnie prosiła tatę, żeby przestał zajmować się tą sprawą.

eprasa.pl 5f698ec8ce



Fot. Ze zbiorów Zuzanny Falzmann (x3)

„To jest koszmarnie niebezpieczne" – mówiła. Tata jednak dążył do wyjaśnienia prawdy i nagłośnienia afery. Przypłacił to życiem.

Co pani pamięta z wydarzeń, które działy się wokół waszej rodziny w latach 1990–1991?

Od kiedy tata zajął się sprawą FOZZ, spotykało nas mnóstwo przedziwnych sytuacji. Tata dostawał pogróżki. Czasami nie chodziliśmy z rodzeństwem do szkoły, bo rodzice obawiali się o nasze bezpieczeństwo. Wracaliśmy z wyjazdów do mieszkania i okazywało się, że było włamanie. Zwykle z domu nic nie ginęło. Raz zginął stary, nic niewarty magnetowid.

Skąd wiedzieliście, że doszło do włamania? Jak włamywacze dostawali się do mieszkania?

Drzwi nie były wyłamywane, otwierano je dorobionym kluczem lub wytrychem, a po włamaniu zamykano. O tym, że ktoś był w mieszkaniu podczas naszej nieobecności, świadczyły porozrzucane dokumenty i książki. Pamiętam poobcinane wtyczki od telewizora, lampy, telefonu. Te szokujące obrazy mam do dziś w pamięci. Starano się zastraszyć tatę, żeby zostawił sprawę FOZZ.

Pamięta pani 18 lipca 1991 r., dzień, w którym umarł tata?

Pamiętam, jakby wydarzył się wczoraj. Takie rzeczy zostają w pamięci na zawsze... Byłam z mamą w szpitalu na ul. Poznańskiej w Warszawie, kiedy lekarz powiedział nam, że tata nie żyje. Mama od razu zaczęła się domagać sekcji zwłok. Lekarz powiedział, że sekcja nic nie wykryje, ponieważ są środki powodujące zawał, które po kilku godzinach bez śladu znikają z organizmu.

Zwykle to rodzina nie zgadza się na sekcję zwłok, a nie lekarze. Dlaczego mama domagała się przeprowadzenia sekcji?

Wiedziała, w jakim niebezpieczeństwie był tata. Nie wierzyła, że miał zawał. Miała świadomość, że ktoś przyczynił się do jego śmierci. Tata miał 38 lat, był zdrowym, silnym i energicznym mężczyzną.

Miała pani 13 lat, kiedy straciła pani ojca. Co pani czuła?

Dla każdego dziecka utrata rodzica to koszmar i potworny szok, w który trudno uwierzyć. Brzemię tego zdarzenia ciągnęło się za nami przez lata. Mieliśmy świadomość, że mama zostaje z naszą piątką sama i będzie musiała sobie poradzić. Najstarsza była Joanna, miała 15 lat, ja miałam 13 lat, Patryk 11, Ania 9, Marysia 2 lata. Najmłodsza siostra nie pamięta taty. Ma tylko migawki z przeszłości. Pamięta, jak tata nosił ją na rękach. Wtedy jeszcze nie rozumiała, co się stało. My rozumieliśmy. To było straszne przeżycie. Nie wyobrażam sobie sytuacji, żebym została tak, jak mama, z dnia na dzień sama z piątką dzieci. Nagle trzeba samemu zająć się wszystkim, iść do pracy, zarabiać na dom, wychowywać dzieci, gotować im.

Jak mama sobie poradziła?

Było jej ciężko, ale dała sobie radę. Stanęła na wysokości zadania w niezwykle trudnej sytuacji. Wszyscy skończyliśmy szkoły, pracujemy. Mama zawsze będzie moją bohaterką. Wielokrotnie słyszałam od sąsiadów, od pani w kiosku, od przyjaciół, że jest supermenką.

Co mamie pomogło przetrwać w trudnych chwilach? Wiara katolicka?

Wiara na pewno pomogła. Ale mama jest silnym człowiekiem, ma twardy charakter. Młodzieńcze lata spędziła na wyścigach na Służewcu. Wstawała o 4 czy 5 rano, żeby opiekować się końmi i ścigać się na nich. Znajdowała na to czas, robiąc dwa fakultety. Tata mamy, dziadek Julian Brodacki, był w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz. To ją wzmocniło. Tak jak mnie wzmocniła śmierć taty. Bardzo wcześnie poszłam do pracy, bo chciałam zarabiać pieniądze, żeby odciążyć mamę. Widziałam, jak każdego dnia boryka się z trudnościami.

Czy trauma po tak dramatycznym wydarzeniu, jak utrata ojca w dzieciństwie, kiedykolwiek się kończy?

eprasa.pl 5f698ec8ce



Izabela Brodacka-Falzmann (po lewej), Michał Falzmann (po prawej)

Musieliśmy z rodzeństwem twardo stanąć na nogi. Życie przynosi zdarzenia, z którymi nie potrafimy się pogodzić. Trzeba wziąć swój krzyż i iść. Wyszłam z założenia, że nie można się poddać czy załamać. Sądzę, że moje rodzeństwo myślało podobnie. Chciałabym mieć tatę dzisiaj. Chciałam dorastać, mając tatę w domu. Gdyby tata żył, byłoby nam wszystkim dużo łatwiej, ale życie postawiło nas właśnie w takiej sytuacji. Musieliśmy jej sprostać i sprostaliśmy. Nie było i nie jest łatwo. Trauma zostaje na zawsze i wraca jak bumerang. Ilekroć jestem w Polsce, zawsze staram się jechać na grób taty. Zazwyczaj jeżdżę tam z bratem Patrykiem. To są trudne chwile, mimo że od śmierci taty minęło 27 lat.

Wierzy pani, że śmierć taty zostanie wyjaśniona?

Chciałabym, żeby tak się stało. Dla nas, czyli dla dzieci i dla naszej mamy, zamknie to sprawę. Wciąż nam tego brakuje. Minęło prawie 30 lat i nadal nie wiemy, co się stało. Przecież można przeprowadzić dochodzenie, zbadać sprawę jeszcze raz i odpowiedzieć na pytania, na które nikt jeszcze nie znalazł odpowiedzi.

Na jakie pytania trzeba znaleźć odpowiedź?

Należy ustalić, jak tata zginął. W jaki sposób do tego doszło? Kto za tym stoi? Nie wiem, na ile realna jest odpowiedź na te pytania po latach. Ale chciałabym, żeby ktoś pochylił się nad tą sprawą i na nie odpowiedział. Głęboko wierzę, że prawda w końcu wyjdzie na jaw i poznamy okoliczności śmierci taty.

Ma pani nadzieję, że zagadka afery FOZZ zostanie wyjaśniona, a winni zostaną postawieni przed sądem?

Chciałabym, żeby pieniądze zostały odnalezione, a osoby, które stoją za aferą FOZZ, zostały postawione przed sądem i żeby pociągnięto je do odpowiedzialności.

> Pan Przywieczerski szybko wyjdzie na wolność i będzie żył z pieniędzy, których dorobił się na FOZZ. Jego ekstradycja ma więc dla mnie słodko-gorzki smak

Kiedy przygotowywałem się do naszej rozmowy, szukałem w Bibliotece Narodowej egzemplarza pisma „CDN Wolny Robotnik" z września 1990 r., w którym pani tata napisał pierwszy tekst o FOZZ. Nie było tego egzemplarza.

Ciekawe.

Ale może to być przypadek.

Może. Ale w tej sprawie było wiele przypadków. Kiedy zgłaszaliśmy w naszym domu włamania, przychodziła policja i pytała, co zginęło. Mówimy: „Magnetowid". „No widzi pani, czyli to był napad rabunkowy" – odpowiadali funkcjonariusze policji. Tylko, że magnetowid był wart 30 zł...

Pani mama mówiła, że włamania ustały, kiedy dokumenty po tacie przekazała historykom.

Tak. Włamania były przed i po śmierci taty. Wiele osób było zainteresowanych tym, co tata zostawił w notatkach. Mama w pewnym momencie zdecydowała, że nie będzie przechowywała zapisków w domu. Po przekazaniu dokumentów historykom nikt już niczego w naszym mieszkaniu nie szukał.

Sprawa notatek pani taty do dziś budzi zainteresowanie.

Dwa czy trzy lata temu pojawił się u mamy tajemniczy pan.

I poprosił o poszukanie w notatkach po mężu kont numerycznych, które mają się znajdować w Szwajcarii.

Ale mama dosyć dosadnie powiedziała mu, co o tym myśli i szybko go pożegnała. Ciekawe, że po tylu latach ludzie uważają, że pieniądze z FOZZ są gdzieś ukryte i – być może – są notatki, które mogą do nich doprowadzić.

Trudno się dziwić, w FOZZ były ogromne pieniądze. W 1989 r. na konto FOZZ wpłynęła znaczna suma, według obecnego przelicznika był to 1 mld zł. Z tej sumy fundusz wykupił około 300 mln dolarów polskiego długu, a na podejrzanych operacjach finansowych stracił 354 mln zł. Nie wiadomo jednak, co się stało z resztą pieniędzy. Czy będąc dziennikarką, starała się pani wyjaśnić przyczyny śmierci taty? Czy badała pani sprawę FOZZ?

Nie. Chciałam się zająć tematem śmierci taty, ale mama powiedziała, żebym zostawiła tę sprawę, bo jest zbyt niebezpieczna. Dodała, że za dużo naprawdę wpływowych osób wzbogaciło się na niej. „Tata nie żyje, nie chcę stracić jeszcze ciebie" – powiedziała mi mama. Nie zajmuję się aferą FOZZ. Ekstradycję Dariusza Przywieczerskiego relacjonowałam w TVP z racji bycia korespondentką tej stacji w Stanach Zjednoczonych.

eprasa.pl 5f698ec8ce



British American Tobacco (BAT) wprowadził na polski rynek glo – innowacyjne urządzenie podgrzewające tytoń. Dla glo zostały zaprojektowane wkłady neo zawierające specjalną mieszankę wyselekcjonowanego tytoniu przeznaczoną wyłącznie do podgrzewania

BAT inwestuje w innowacyjne produkty

Powszechna jest już wiedza, że większość szkód związanych z paleniem tytoniu jest spowodowana wdychaniem szkodliwych substancji znajdujących się w dymie. – Dlatego zajmujemy się intensywnie rozwojem wielu produktów potencjalnie zmniejszonego ryzyka, które oddają doświadczenie palenia bez procesu spalania tytoniu – wyjaśnia Dragos Constantinescu, dyrektor zarządzający British American Tobacco Polska.

Jak wiadomo, to głównie substancje toksyczne występujące w dymie papierosowym, a nie nikotyna, powodują choroby związane z paleniem. W urządzeniu glo tytoń podgrzewany jest do ok. 240°C, nie dochodzi do procesu jego spalania, dzięki czemu emisja substancji toksycznych została zmniejszona o 90–95 proc. w porównaniu z tradycyjnymi papierosami. Dodatkowo glo nie zostawia popiołu i generuje mniej zapachu niż tradycyjne papierosy.

Urządzenie można nabyć od 250 zł, a wkłady neo kosztują tyle, ile średnio paczka papierosów, czyli 15 zł. Jak podaje producent, jedno ładowanie baterii wystarcza średnio na 30 sesji. Oczywiście w zależności od intensywności użytkowania bateria powinna starczyć średnio na jeden dzień.

– W prace nad urządzeniem glo zostało zaangażowanych ponad 100 ekspertów z pięciu kontynentów. Ta inwestycja wynika z naszego przekonania, że konsumenci nie są tacy sami. BAT na polskim rynku oferuje najszerszy wachlarz wyrobów o potencjalnie obniżonym ryzyku. To jednak dopiero początek. Aby przeprowadzić transformację rynku tytoniowego, musimy wygrać wyścig technologiczny, więc nasze inwestycje w badania i rozwój, kierowane przez setki naukowców z całego świata, koncentrują się głównie na rozwijaniu naszych produktów potencjalnie zmniejszonego ryzyka – mówi Dragos Constantinescu.

Należą do nich produkty następnej generacji obejmujące produkty do podgrzewania tytoniu jak glo oraz papierosy elektroniczne czy inne produkty nikotynowe niezawierające tytoniu. – Od 2012 r. Grupa British American Tobacco zainwestowała ok. 2,5 mld dol. w rozwój i badania nad tymi produktami. Naszym priorytetem jest tworzenie szerokiej gamy innowacyjnych produktów o wysokiej jakości, tak szeroko dostępnej, jak to możliwe, aby sprostać różnorodnym preferencjom naszych klientów – dodaje Constantinescu.

Jego zdaniem na zmianach mogą wygrać wszyscy. – Nasi konsumenci będą mieli wybór potencjalnie bezpieczniejszych produktów, społeczeństwo szansę ograniczenia szkodliwych skutków palenia tytoniu, a nasi akcjonariusze będą prowadzić jeszcze bardziej zrównoważony biznes – podsumowuje dyrektor zarządzający w BAT Polska.

BAT jest obecny w naszym kraju od 1991 r., kiedy zainwestował w fabrykę tytoniu w Augustowie. Łączne dotychczasowe inwestycje firmy w Polsce przekroczyły 2,5 mld zł i planowane są kolejne. Obecnie BAT ma 28-procentowy udział w polskim rynku papierosów i jest liderem rynku w segmencie papierosów elektronicznych. Fabryka w Augustowie eksportuje wyroby tytoniowe do większości krajów europejskich.

W ciągu ostatnich pięciu lat BAT zwiększył zatrudnienie w Polsce od 1,1 do 3,6 tys. pracowników i wniósł ok. 28 mld zł podatków do budżetu państwa (głównie podatku akcyzowego i VAT).

JM

eprasa.pl 5f698ec8ce

Długi cień Monachium



Układ monachijski doprowadził do przyłączenia części terytoriów Czechosłowacji do Rzeszy Niemieckiej. Jak na to tragiczne wydarzenie zareagowali tamtejsi ludzie kultury? Dlaczego we wrześniu 1938 r. było to w ogóle możliwe?

„Wieczorem w towarzystwie niezapomnianego prof. Františka Chudoby czekaliśmy z drżeniem serca na ów fatalny komunikat radia praskiego. Było gorzej, niż się spodziewaliśmy. Wyrok w Monachium został przyjęty. Po chwili grobowej ciszy jako pierwszy odezwał się Arne Novák: »To jest gorsze niż Biała Góra«. Zawładnął nami smutek jak po śmierci najdroższej osoby."

Tę dramatyczną reakcję na układ monachijski opisał przed laty jeden z uczestników spotkania w gronie przyjaciół, Josef Svítil-Kárník, a przytacza ją w swojej książce pt. „Literární život ve stínu Mnichova, 1938–1939" („Życie literackie w cieniu Monachium 1938–1939", Academia, Praha 2010, s. 340) zmarły w lutym tego roku historyk literatury, krytyk i eseista, Jaroslav Med. Jego publikacja to imponujące kompendium wiedzy na temat tzw. Drugiej Republiki Czechosłowackiej, obejmującej okres od października 1938 do marca 1939 r. Med, na podstawie dogłębnej analizy życia literackiego (nie tylko literatury pięknej, lecz przede wszystkim publicystyki!), odsłania źródła wielu problemów, które ze szczególną siłą ujawniły się w momencie „narodowej katastrofy".

Pierwszą publicystyczną reakcją cytowanego na wstępie historyka sztuki i literatury, profesora uniwersytetu w Brnie Arne Nováka (1880–1939) na dyktat monachijski był artykuł zatytułowany „Rozpacz i wiara" („Lidové noviny", 7.10.1938). Rozpacz z powodu narodowego poniżenia przeplata się tu z ukazywaniem niewyczerpalnych źródeł siły, które naród musi wykorzystać, by przezwyciężyć jeden z najtrudniejszych momentów w swej nowożytnej historii. Również artykuł wstępny w magazynie „Lumír" z 30 listopada 1938 r. pióra tego samego autora zatytułowany „Utracone ziemie" zawiera krytyczny oścień skierowany przeciwko „samolubnym majakom naszych oficjalnych humanistów i demokratów, uśpionych optymistycznymi marzeniami i dziecinną wręcz wiarą w kolektywne bezpieczeństwo Europy".

ATMOSFERA TUŻ PRZED KAPITULACJĄ

„Dramatyczne wydarzenia tamtych dni – zauważa w swojej książce Jaroslav Med – znalazły naturalnie swoje odbicie w życiu literackim, w którym doszło w końcu do zjednoczenia zdecydowanej większości pisarzy i publicystów – od komunistycznej lewicy po integralnych katolików – w obronie narodowego interesu".

To skądinąd szlachetne, choć niepozbawione naiwnej wiary, poczucie jedności wszystkich sił w obronie republiki najdobitniej chyba na płaszczyźnie politycznej wyraził Ladislav Rašín, jeden z najważniejszych członków Komitetu Obrony Republiki, reprezentant narodowej prawicy: „Ja, syn ministra Rašína, zastrzelonego przez komunistę, oświadczam, że teraz nie ma różnicy między mną a komunistami i że wszyscy jesteśmy jedno".

Jedność ta, akceptowana wtedy przez wszystkich bez wyjątku, przejawiała się nie tylko bojowymi wierszami wybitnych poetów Holana, Halasa, Hory i innych, lecz przede wszystkim apelatywną publicystyką, która starała się szukać politycznego rozwiązania oraz podtrzymywać spokojną stanowczość narodu. Walka przeciwko nazizmowi stawała się częścią walki o narodowy byt, co znajdowało swój wyraz m.in. na łamach „Lidových novin", „Přítomnosti", „Práva lidu" czy „Krtitického měsíčníku".

eprasa.pl 5f698ec8ce



GŁOS PISARZA KARELA ČAPKA

Podobnie jak w pierwszych miesiącach roku 1938, tak i w dramatycznych dniach wrześniowych czołową pozycję w walce o narodową niezależność zajmował Karel Čapek. Pogarszająca się międzynarodowa sytuacja polityczna, z niejasnym dążeniem Anglii i Francji do uniknięcia wojny za wszelką cenę, skłoniła Čapka do napisania artykułu „List do Niemców sudeckich", w którym reagował na zaistniałą sytuację i z niezwykłą stanowczością uświadamiał Niemcom absurdalność konfliktu wojennego. Następnego dnia po opublikowaniu „Listu..." (19 września) Čapek miał niezwykle emocjonalne i patetyczne wystąpienie w radiu, skierowane głównie do obywateli czechosłowackich, by nie tracili wiary w ostateczne zwycięstwo i przyszłość narodu.

Rząd czechosłowacki został w końcu zmuszony do przyjęcia poniżającego ultimatum, które wywołało w społeczeństwie wielkie rozgoryczenie. Čapek na ten akt zareagował artykułem „Modlitwa tego wieczoru". W ujęciu pisarza jest to modlitwa mocno zeświecczona, adresowana przede wszystkim do obywateli Czechosłowacji: „Boże, nie prosimy Cię, abyś nas pomścił; ale prosimy Cię, abyś w każdego z nas tchnął ducha wiary i abyś nikomu nie pozwolił nadaremnie rozpaczać, ale już teraz szukać, w czym może być użyteczny dla przyszłych zadań wiecznego narodu. Desperatów nam nie trzeba. Potrzebujemy wiary. Potrzebujemy czynnej miłości, która nas zdziesięciokrotni. Kraj, który nie pozwoli się zachwiać w swej wierze w przyszłość i w pracy dla swego lepszego jutra, nigdy nie będzie mały".

W kluczowych, przedmonachijskich dniach Karel Čapek nie zna wytchnienia: komentuje wydarzenia w radiu, wspiera na wszelkie sposoby prezydenta Beneša w jego decyzjach, demaskuje w prasie i radiu kłamstwa

Strach przed wojną

29–30 września tego roku minęła 80. rocznica podpisania układu w Monachium. Porozumienie to, zawarte podczas konferencji w stolicy Bawarii i dotyczące przyłączenia części terytoriów Czechosłowacji do Rzeszy Niemieckiej, podpisały Niemcy, Włochy, Wielka Brytania i Francja, pod nieobecność przedstawiciela Czechosłowacji, mimo że jej terytorium państwowe i suwerenność były przedmiotem konferencji.

Po upadku monarchii austro-węgierskiej ponad 3 mln rdzennych Niemców mieszkało na terenach nowo utworzonej Pierwszej Republiki Czechosłowackiej. Adolf Hitler prowadził w tym czasie politykę ekspansji terytorialnej. Pozostałe mocarstwa zachodnie – Francja i Wielka Brytania – wybrały politykę ustępstw wobec Hitlera, aby przede wszystkim nie dopuścić do wybuchu nowej wojny.

Konferencja dotyczyła głównie sprawy Sudetendeutsche, czyli Niemców Sudeckich, którzy od zakończenia I wojny światowej mieszkali w granicach ówczesnej Czechosłowacji. Głosem ich przywódcy Konrada Henleina domagali się oni przyłączenia całego terenu Kraju Sudeckiego (zamieszkanego głównie przez Niemców) do Rzeszy Niemieckiej. Teren zamieszkany był w 85 proc. przez ludność niemiecką, a równocześnie stanowił 40 proc. potencjału ekonomicznego całej Czechosłowacji i – ze względu na ukształtowanie powierzchni oraz istniejące umocnienia – był dogodną linią obrony kraju w razie niemieckiej agresji.

Dla Adolfa Hitlera Sudety stały się kolejnym polem walki o niemiecki Lebensraum. Pogranicze stanowiło więc punkt zapalny, grożący wybuchem kolejnej wojny o trudnych do przewidzenia rozmiarach. Liga Narodów w takich sytuacjach jak zwykle się nie sprawdzała. Zwołując konferencję państw zachodnich, liczyła na pokojowe zażegnanie sporu, Niemcy zaś na prawne usankcjonowanie aneksji.

Jedną z najciekawszych prób wnikliwego opisania atmosfery społeczno-politycznej panującej w tamtym okresie w Czechosłowacji jest wydana przed dziesięciu laty książka Jaroslava Meda, która stała się kanwą mojego artykułu.

eprasa.pl 5f698ec8ce

niemieckiej propagandy i w sugestywnej „Modlitwie o prawdę" apeluje do sumienia świata. Ostatnim przedmonachijskim tekstem Čapka był krótki artykulik „Przed decyzją", w którym wyrażał swoją solidarność z Benešem, w momencie kiedy decydowała się przyszłość państwa. Wydarzenia, niestety, narastały z taką prędkością, że jego tekst ukazał się dopiero po podpisaniu układu w Monachium, gdzie wszystko zostało już rozstrzygnięte.

DOMINUJĄCA LEWICOWOŚĆ PIERWSZEJ REPUBLIKI

Narodowa tragedia sprawiła, że jej politycznych i kulturowych przyczyn zaczęto się nagle doszukiwać w samym charakterze i funkcjonowaniu organizmu państwowego. Zdecydowana większość literatury wspomnieniowej opisującej z perspektywy lat atmosferę po pierwszej wojnie światowej i powstaniu Republiki Czechosłowackiej zauważa nie tylko znaczny rozpad tradycyjnych wartości i rozerwanie wielopokoleniowych więzi, lecz także inwazję nowoczesności, likwidującą tradycyjny obraz kultury. Nowoczesność niesiona była falą rewolucyjności, podgrzewaną zwłaszcza wyidealizowanym wyobrażeniem o wyzwalającej sile rewolucji październikowej, bo tylko ona jedna, wedle lewicowych opinii, mogła zainicjować powstanie nowego społeczeństwa.

„W ramach nowoczesności – zauważa Jaroslav Med – patriotyzm stał się bez mała anachronizmem, kapitał jedności i narodowych ideałów jak gdyby się wyczerpał, a społeczno-kulturowe vacuum zaczęła wypełniać hałaśliwa doktryna kultury proletariackiej i twórczości rewolucyjnej, która chciała się stać treścią nowej sztuki, zwłaszcza literatury. Fakt ten, a przede wszystkim wyobrażenie, że komunizm zjednoczy naukę z moralnością i dialektycznie scali dotychczasowe twórcze i społeczne konflikty, w zasadniczy sposób wpłynął na znaczną część życia literackiego; marzenie o ponadindywidualnych wartościach i chęć współkształtowania nowego świata ogarnęły wielu pisarzy bez różnicy wieku".

Antonín Sova w czasopiśmie „Červen" w roku 1919 nie zawahał się napisać w wierszu „Strofy dla pisarzy": „Chcę, aby nasz sztandar czerwienią płonął...".



Przybycie do Monachium premiera Francji Edouarda Daladiera (pierwszy z prawej)

Charakteryzując rok 1919, Ferdinad Peroutka w artykule „Budování státu" („Budowanie państwa") mówi o „nerwowym narodzie", w którym panowała „powszechna bezradność", ponieważ wszystko mierzono „oczami politycznej partyjności, a partyjność uświęca każdą niemożność". Jeszcze ostrzej oceniał upartyjnienie nowego państwa Jan Patočka. Dla niego było ono „zgubą, blamażem całej politycznej edukacji" i dlatego mógł zadać sobie pytanie: „Czy w ogóle istniała jakaś wspólna ideowa koncepcja Pierwszej Republiki, czy ktokolwiek rzeczywistość tego różnorodnego, bogatego i wręcz kipiącego możliwościami tworu poważnie brał pod uwagę i przemyślał go bez fantazjowania i iluzji, tak jak potrafili to robić nasi ludzie przed rokiem 1918?".

Nawet na lewicy, która wręcz programowo walczyła o nową socjalistyczną moralność, nie sposób nie zauważyć głosu Vladislava Vančury: „W partii komunistycznej robotniczy charakter, fachowość i styl w ogóle się nie liczą, podobnie jak gdzie indziej u nas panuje hałaśliwa wiara. Na skutek tej wiary i jakiejś prawiedzy, jawiącej się sekretarzom, wszystkie sprawy stają się proste i jasne. [...] Dobrą wolę niedouków można uszanować, ale jeśli ludzie ci wystawiają swoje wady na pokaz i jeszcze rządzą, to trzeba ich nazwać tak, jak na to zasługują".

„Jeśli ówczesny minister spraw zagranicznych Edvard Beneš" – stwierdza w swojej książce Jaroslav Med – „określał Republikę Czechosłowacką jako »państwo małego człowieka«, a T.G. Masaryk zwracał uwagę, że świat musi przyzwyczaić się do »naszego socjalizmu«, ponieważ rozwój w jego mniemaniu zmierza na lewo, to nie można się dziwić, że cała atmosfera kulturowa pierwszej republiki, a zwłaszcza życie literackie, przesycona była »mitem lewicowości«".

KRYTYKA ÓWCZESNEJ WŁADZY

Ideowe vacuum na prawicy w życiu literackim wypełnił przede wszystkim Viktor Dyk swoją ideą integralnego nacjonalizmu, którego niewątpliwą „wielką kartą" było pojęcie państwa narodowego. Zamiast partykularyzmu partii politycznych – jedność, zamiast benešowskiego aliansu dyplomacji – obronność, zamiast spoglądania na Paryż czy Moskwę – kultywowanie świadomości narodowej, zamiast masarykowskiego pseudohumanizmu – raczej siła uzbrojenia i niepoleganie na nikim. Na czele państwa należy postawić człowieka czynu, ponieważ nie ma większego nieszczęścia dla narodu, kiedy przewodzi mu filozof szukający bardziej prawdy niż siły.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Prawicowy nurt życia literackiego oprócz pryncypium narodowego miał jeszcze jeden punkt programu: walkę z „Hradem" (Zamkiem – siedzibą prezydenta), co oznaczało stałą konfrontację z polityczną linią T.G. Masaryka i Edvarda Beneša. Spór pisarza Viktora Dyka z Masarykiem osiągnął swe apogeum w broszurze „Ad usum pana presidenta republiky" z wiosny 1920 r., w którym podsumował swoje wieloletnie zastrzeżenia wobec Masaryka, a zwłaszcza wobec ministra spraw zagranicznych Beneša. Zasadność tych zastrzeżeń potwierdził na koniec układ w Monachium.

W swojej krytyce lewicowej awangardy Viktor Dyk nie był osamotniony. Przeciwko lewicowemu utopizmowi, destrukcji społeczeństwa i pogardzie dla czeskości występowali m.in. Rudolf Medek, Jaroslva Kolman-Cassius, a zwłaszcza bliski przyjaciel Dyka – wspomniany już Arne Novák, którego zniechęcał awangardowy internacjonalizm i lekceważenie narodowych, głównie odrodzeniowych tradycji. Lewicowemu kosmopolityzmowi pisarzy Nezvala i Teigego literacka prawica przeciwstawiała dewizę „być Czechem to więcej niż być Europejczykiem", jednoznacznie odrzucała też materializm i kolektywizm w literaturze, ponieważ „strasznie jest duchowi bez skrzydeł!".

KATOLICKA ALTERNATYWA

Czescy katoliccy intelektualiści i pisarze wkraczali w rzeczywistość nowo powstałego państwa z niepewnością i z poczuciem winy za postawę Kościoła przed pierwszą wojną światową i podczas niej. Arcybiskup praski i prymas Czech hrabia Huyn po październiku 1918 r. po prostu uciekł z Pragi i nigdy już do niej nie wrócił. Arcybiskup ołomuniecki Lev Skrbenský, mianowany na stolicę w czasie wojny pod naciskiem rządu austriackiego, zrezygnował dopiero w roku 1920.

Hasło „Precz od Rzymu!", główny wyznacznik walki z Kościołem katolickim, wzmocniony został dodatkowo przez antykatolickie hasła prezydenta Masaryka o tym, że „Tábor jest naszym programem" i „Rzym musi zostać osądzony i potępiony". Doprowadziło to do swego rodzaju „wojny kulturowej", w której Kościół katolicki miał zostać sprowadzony do statusu nic nieznaczącej mniejszości z wątłym potencjałem kulturalno-intelektualnym. W tę atmosferę, która w sposób oczywisty mocno wpływała na życie literackie lat 20., wkrótce jednak wkracza „nowa" katolickość, wolna od brzemienia sojuszu „tronu z ołtarzem" i odwołująca się wyłącznie do źródeł dwutysiącletniej tradycji kulturowej i artystycznej. Fakt ten odegra po latach bardzo pozytywną rolę. Katolickość jako zasada życiowa zaczyna być reprezentowana w literaturze połowy lat 20. przez dwa główne nurty: edytorskie inicjatywy Josefa Floriana ze Starej Říšy oraz publicystykę i twórczość literacką Jaroslava Durycha, głównego protagonisty powojennej czeskiej literatury katolickiej, z drugiej strony.

Krąg „Starej Říšy", do którego w latach 20.należał m.in. Bohuslav Reynek i w pewnej mierze także wieczny samotnik Jakub Deml, stanowił w życiu literackim jakiś podskórny nurt, oddziałujący na literaturę współczesną nie przy pomocy apologetyczno-wojującej publicystyki, ale przede wszystkim poprzez niezwykłe walory estetyczne, wnoszone do literatury za pośrednictwem oryginalnych dzieł ideowo bliskich sobie twórców bądź też znakomitych przekładów. I chociaż Jakub Deml przywitał powstanie nowego państwa z egzaltowanym zachwytem („Gdy dowiedziałem się, że proklamowane zostało wolne Czechosłowackie państwo, uciekłem na górę do swego pokoiku, padłem na kolana i łzy trysnęły mi z oczu, gdyż modliłem się takimi oto słowy: Boże, otocz nas granicami wielkości swej!"), to Josef Florian nie miał zbytniego zaufania do republikańskiej liberalnej demokracji, a na współczesność patrzył de facto przez pryzmat apokalipsy.

Podobną postawę zajmował poeta Bohuslav Reynek. Bardzo wyraźnie ilustruje to na przykład jego list z 8 sierpnia 1919 r. do Josefa Floriana: „[...] byłbym ciekaw, co sądzi pan o dzisiejszej »sytuacji«. Mnie się wydaje (a właściwie widzę), że już nie można w taki sposób istnieć na ziemi, że jest konieczne, by przemieniła się ona niejako w pustynię, zgodnie z Objawieniami w La Salette. Presja tego, co tak powszechnie nazywa się życiem, jest nie do zniesienia. Jeśli nie umrze świat [...], to ja sam chciałbym umrzeć. Przyroda dyszy żądzą zemsty na ludziach i drży w oczekiwaniu tego, co ma nastąpić".

Te indywidualne przeczucia czeskich twórców wcieliły się w intensywną fascynację ekspresjonizmem, dla którego znamienną cechą była właśnie apokaliptyczność. Pod wpływem owej fascynacji literackim i plastycznym ekspresjonizmem publikacje „Starej Říšy" z dekady 1910–1920 odnotowały wszystko, co najważniejsze. Poprzez zmianę norm estetycznych zmieniło się całe życie literackie lat 30.

Wiodącą postacią czeskiego katolicyzmu w życiu literackim lat 20. był bez wątpienia Jaroslav Durych. Przywitał on wprawdzie z entuzjazmem powstanie państwa czechosłowackiego, ale już wkrótce stał się jego nieubłaganym krytykiem. „Odrodzenie czeskiego państwa było wyjściem z matni, natomiast zburzenie kolumny mariackiej było ocknięciem się z porewolucyjnego spokoju".

Krytyczne spojrzenie na postępowość i na masarykowski realizm musiało rzecz jasna wpłynąć także na stosunek Durycha do prezydenta Masaryka. I chociaż od początku Durych patrzył bardzo krytycznie na Masarykowe pojmowanie humanizmu – było ono dla niego synonimem słabości i miałkiego antybohaterstwa – to jednak samą osobę prezydenta traktował w owym czasie z szacunkiem i respektem. „Los Masaryka jest wspaniałym misterium [...] T.G. Masaryk ma w sobie coś czarującego i dostojnego. [...] Widziałem go w towarzystwie, które zdecydowanie przerastał. Na tle innych ludzi z jego obozu politycznego wyróżnia się niewątpliwie swoją powagą i jakąś ojcowską łagodnością [...] wychodzi ludziom naprzeciw, czego inni nie robią". Ten szacunek nie przeszkadzał mu jednak w dystansowaniu się od niego: „Jako katolik wyznaję inny światopogląd niż prezydent Masaryk" – stwierdzał Durych. Nie przestawał jednak śledzić filozoficznego i politycznego rozwoju relacji Masaryka do katolicyzmu, który, jak uważał, coraz wyraźniej identyfikował się z nowym państwem.

Andrzej Babuchowski

eprasa.pl 5f698ec8ce



„Trumpinho” sięga po władzę

Ogromna część Brazylijczyków chce tylko jednego: zerwania z dotychczasowym establishmentem, który nie tylko kradł, lecz nie potrafił też wyprowadzić kraju z kryzysu. Kraju, który wraz z partnerami z grupy BRICS miał jeszcze kilka lat temu rzucić wyzwanie Ameryce. Dlatego stawiają na 63-letniego Jaira Bolsonara (na zdj.), który zdobył w I turze wyborów prezydenckich aż 46 proc. głosów



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

26-letnia Sara Winter zawsze miała wyraziste poglądy. Założycielka brazylijskiego oddziału Femen i stowarzyszenia biseksualistów Bastardxs przez lata przykuwała się półnaga łańcuchami do ogrodzeń w proteście przeciwko szowinizmowi i przemocy seksualnej. W 2014 r. stała się znana w całej Brazylii, gdy całowała się z drugą działaczką Femen przed wejściem do katedry Notre-Dame de la Candelaria w Rio de Janeiro. Winter ma platynowe blond włosy, liczne tatuaże i wciąż lubi zwracać na siebie uwagę. Tyle że nie jest już feministką. A na szyi nosi krzyż. Sześć lat po aborcji, która pozostawiła– jak przyznała w rozmowie z „BBC” – wyraźny ślad w jej psychice, ponownie zaszła w ciążę, urodziła dziecko i odzyskała wiarę w Boga. „Ćpałam, wygadywałam głupoty o aborcji, legalizacji narkotyków i komunizmie. Nie zrobiłam w tym czasie niczego dobrego dla kobiet” – twierdzi nowa, konserwatywna Sara. Może ona posłużyć jako symbol zmian zachodzących w piątym co do wielkości krajów świata.

eprasa.pl 5f698ec8ce



Fot. Antonio Scorza/Shutterstock.com

KORUPCJA I BEZPRAWIE

Przez ostatnie 15 lat Brazylia była rządzona przez lewicę. Były prezydent Luiz Inácio Lula da Silva, który doszedł do władzy w 2003 r., dziś siedzi w areszcie. Grozi mu 12 lat więzienia za korupcję. Jego następczyni Dilma Rousseff straciła stanowisko wskutek procedury impeachmentu. Kraj tkwi w poważnym kryzysie gospodarczym, a rozwarstwienie społeczne, które Lula chciał powstrzymać (co mu się zresztą po części udało), pogłębia się, bo władz w Brasílii nie stać już na drogie programy socjalne. Część tych, którzy dźwignęli się z biedy, znów w nią popada. A wraz z rozwarstwieniem rośnie przestępczość. W slumsach na obrębach miast, zwanych favelami, panuje bezprawie. 67 tys. zabójstw w ubiegłym roku to nowy rekord.

Prokuratorskie śledztwa prowadzone w ostatnich latach ujawniły jednocześnie szeroki system korupcyjny na szczytach władzy. To w połączeniu z recesją spowodowało, że w Rio de Janeiro policji brakuje dziś środków, by kupić benzynę do wozów patrolowych. Brazylijczycy, szczególnie ci młodzi, są głęboko rozczarowani i boją się o swoją przyszłość. Dlatego wielu z nich pokłada nadzieję w człowieku o przydomku „Trumpinho" – mały Trump.

63-letni Jair Bolsonaro zdobył w I turze wyborów prezydenckich 8 października aż 46 proc. głosów i wszystko wskazuje na to, że także w II turze 28 października pokona swojego głównego rywala, kandydata Partii Pracujących Fernanda Haddada (29 proc.), byłego burmistrza São Paulo. Sukces przy urnach mało znanego dotąd kongresmena z Partii Socjalliberalnej (PSL) zaskoczył nie tylko brazylijską lewicę, lecz także zachodnie media, które zaczęły zarzucać mu „nacjonalizm", „populizm" i autokratyczne ciągoty. Bolsonaro w końcu nie ukrywa ani swych konserwatywnych poglądów (jest zaciętym przeciwnikiem aborcji), przywiązania do wiary, ani pewnej nostalgii za dyktaturą wojskową. Na ścianach jego skromnego biura w brazylijskim kongresie – jak pisze magazyn „Time" – wiszą portrety generałów, którzy rządzili krajem w latach 1964–1985.

Tyle że również społeczeństwo zaczęło tęsknić za czasami słusznie minionymi, gdy na ulicach panował porządek, a brazylijska gospodarka rozwijała się dynamicznie. I trudno się temu dziwić. W złożonym i dość młodym systemie politycznym Brazylii (utworzonym po 1989 r.) niełatwo dziś znaleźć polityków, którzy nie brali łapówek. Zarzuty korupcyjne ciążą także na głównym rywalu Bolsonara, Fernandzie Haddadzie. Śledztwo ws. korupcji w państwowym koncernie naftowym Petrobras, który Partia Pracujących Luli traktowała jako osobistą skarbonkę, ostatecznie zniszczyło zaufanie do klasy rządzącej. Ogromna część Brazylijczyków chce jednego: zerwania z dotychczasowym establishmentem, który nie tylko kradł, lecz nie potrafił wyprowadzić kraju z kryzysu. Kraju, który wraz z partnerami z grupy BRICS miał jeszcze kilka lat temu rzucić wyzwanie Ameryce.

Jak wynika z sondaży, 7 na 10 Brazylijczyków „nie ufa dziś żadnej partii politycznej". A były kapitan brazylijskiej armii wydaje się wręcz stworzony do tego, by wyciągnąć kraj z marazmu i zaprowadzić w nim porządek. Po pierwsze, jest politycznym outsiderem. Wprawdzie jest posłem od 1991 r., ale nigdy nie odniósł żadnego znaczącego sukcesu. Po drugie, pochodzi z niezbyt zamożnej rodziny i mówi językiem zrozumiałym dla ludzi. I w przeciwieństwie do prezydenta USA, do którego jest porównywany, żyje skromnie. To czyni go wiarygodnym, gdy krytykuje skorumpowanych polityków i związane z nimi media. Brazylijczycy nie mają zresztą zbyt wielkiego wyboru. Albo „Trumpinho", albo powtórka z tego samego.

ZWOLENNIK DEMOKRACJI?

Bolsonaro zresztą znacznie złagodniał. Przez pierwszą dekadę po zakończeniu dyktatury wojskowej (koniecznej jego zdaniem, by powstrzymać zapędy komunistów w okresie zimnej wojny) lobbował za jej przywróceniem, doszukiwał się zalet w rządach chilijskiego przywódcy Augusta Pinocheta i mówił w wywiadach, że „nie byłby w stanie kochać swojego syna, gdyby ten okazał się homoseksualistą". „Wolałbym, by umarł" – podkreślał. Przy innej okazji zaznaczył, że kobiety „słusznie zarabiają mniej niż mężczyźni". Do posłanki Marii do Rosário rzucił podczas debaty w kongresie, że „nie zgwałciłby jej, bo jest za brzydka". Te i inne wypowiedzi czyniły go politykiem mocno kontrowersyjnym i mało popularnym. Jeszcze kilka miesięcy temu nikt nie postawiłby na niego choćby grosza.

Rozpoczynając kampanię prezydencką, był zasadniczo sam. Dziś popierają go wielki biznes, policjanci, wojskowi,

eprasa.pl 5f698ec8ce

młodzież, ale także wiele kobiet, a on sam twierdzi, że jest zdecydowanym przeciwnikiem dyktatury, gotowym bronić „z całych sił" młodej brazylijskiej demokracji. Ten zwrot w retoryce Bolsonara w połączeniu z uporem Luli, który chciał startować w wyborach, będąc w areszcie, spowodował znaczny wzrost poparcia dla kongresmena. Gdy miesiąc przed I turą okazało się, że start Luli nie będzie możliwy, na jego miejsce wskoczył Haddad. Wtedy kampania toczyła się już jednak w pełni, a Brazylijczycy byli zniesmaczeni „arogancją" Luli, który najwyraźniej myślał, że uniknie wyroku i wyjdzie z aresztu.

Bolsonaro tymczasem stawia na prawo i porządek. Niektórym przypomina prezydenta Filipin Rodriga Duterte, bo obiecuje zliberalizować przepisy dotyczące broni, użyć armii, by spacyfikować favele, i zaostrzyć kary za przemoc wobec kobiet. Wizerunek szeryfa o konserwatywnych wartościach powiązanego z ruchem ewangelikalnym (sekty ewangelikalne w Brazylii rozwijają się niezwykle dynamicznie, masowo odbierając wiernych Kościołowi katolickiemu) uzupełnia liberalnym programem odbudowy gospodarki. Obiecuje m.in. sprywatyzować Banco do Brasil oraz przeżarty korupcją koncern państwowy Petrobras, zmniejszyć dług publiczny i uprościć przepisy podatkowe. Bolsonaro dąży także do zawarcia umowy handlowej z USA na wzór Kanady i Meksyku. Jego przeciwnicy twierdzą, że to wszystko jest tylko na pokaz, by zmylić opinię publiczną, a po dojściu do władzy Bolsonaro pokaże swoją prawdziwą „dyktatorską twarz".

7 września chory umysłowo zwolennik lewicy na jednym z wieców wbił kandydatowi na prezydenta nóż w brzuch. Bolsonaro stracił 40 proc. krwi i musiał przerwać kampanię. Gdy powrócił, okazało się, że poparcie dla niego gwałtownie wzrosło. Dlatego nikt nie ma wątpliwości, że zwycięży także w II turze. Jest bowiem mało prawdopodobne, by Haddadowi udało się przeciągnąć na swoją stronę wyborców innych kandydatów lewicowych partii, którzy odpadli z wyścigu. Niektórzy z nich zresztą popierają Bolsonara, jak były mer São Paulo Geraldo Alckmin, polityk Partii Socjaldemokratycznej (PSDB). Na domiar złego mieszkańcy faveli, zmęczeni przemocą, również pokładają nadzieję w nowym szeryfie.

SKRĘT W PRAWO

Tymczasem liberalne zachodnie media mają nadzieję, że nawet jeśli Bolsonaro wygra, to nie uda mu się utworzyć większości w kongresie, by móc efektywnie rządzić. To nie jest jednak wcale takie pewne. Wraz z I turą wyborów prezydenckich odbyły się wybory parlamentarne, z których partia Bolsonara wyszła jako największa siła polityczna kraju (51 mandatów w 513-osobowym parlamencie). A tradycyjne partie poniosły w nich miażdżącą porażkę. Z 32 senatorów ubiegających się o reelekcję 24 zostało pokonanych. Jednym z nich była eksprezydent Dilma Rousseff, która jeszcze w 2014 r. podczas wyborów prezydenckich zgromadziła 43 mln głosów. A wielu z nowo wybranych polityków zawdzięcza swoje miejsce w kongresie rodzinie Bolsonara i jemu samemu. Wybrani zostali m.in. synowie Bolsonara, Eduardo i Flavio. Jeden do senatu, a drugi do izby reprezentantów.

> Histeria zachodnich mediów, że wybór Bolsonara musi się zakończyć odejściem Brazylii od demokracji, a wręcz wprowadzeniem czegoś w rodzaju autokracji, wydaje się nieco przesadzona. Brazylijczycy bowiem, jak przekonują niektórzy miejscowi eksperci, są silnie przywiązani do demokracji

Brazylia skręca więc wyraźnie w prawo, wzorem innych krajów latynoamerykańskich. Jak mówiła dr Joanna Gocłowska-Bolek z Uniwersytetu Warszawskiego w telewizji wPolsce.pl, jeszcze dekadę temu w regionie „większość krajów kierowana była przez przywódców lewicowych bądź centrolewicowych kontestujących konsens waszyngtoński". Nazywano to zjawisko różową falą. Jednak – jak przekonywała ekspert – w ostatnich latach konserwatyści wprowadzili się do pałaców prezydenckich w Buenos Aires, Limie, Brasílii i Asunción, a wenezuelska rewolucja boliwariańska zakończyła się gospodarczą katastrofą. Nowa fala prawicowa to odpowiedź na nierówności społeczne, korupcję i rozczarowanie lewicowym politycznym establishmentem. Prawica jawi się tu jako jedyna właściwa odpowiedź na trudne czasy. Gospodarczo i społecznie.

Histeria zachodnich mediów, że wybór Bolsonara siłą rzeczy musi się zakończyć odejściem Brazylii od demokracji, a wręcz wprowadzeniem czegoś w rodzaju autokracji, wydaje się przy tym nieco przesadzona. Brazylijczycy bowiem, jak przekonują niektórzy miejscowi eksperci, są silnie przywiązani do demokracji, podobnie jak wojsko, które w niczym już nie przypomina tego z lat 60. i 70. Według sondaży 56 proc. obywateli uważa, że demokracja to „najlepsza forma rządów".

Nie wszystkich to jednak przekonuje. Były sędzia Sądu Najwyższego Brazylii Joaquim Barbosa ostrzega przed możliwością wojskowego przewrotu. Czy takie ryzyko istnieje? Kandydat na prezydenta Demokratycznej Partii Pracy Ciro Gomes uważa, że tak. „Jesteśmy w końcu w Ameryce Łacińskiej" – przekonuje.

Sary Winter krytyka jej ulubionego kandydata nie wzrusza. Także w II turze zamierza oddać na niego głos. „Każda kobieta w Brazylii powinna zrobić to samo, co ja. Zakochać się w nim! On chce wprowadzić kastrację chemiczną dla gwałcicieli! Dlaczego nikt wcześniej o tym nie pomyślał?" – zastanawia się była feministka w rozmowie z BBC.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Czas odblasków. Pora pomyśleć o innych

Coraz wcześniej zapada zmrok, nierzadko pada albo mgła ogranicza widoczność – jesień to nie jest dobry czas na polskich drogach. Właśnie teraz rośnie liczba śmiertelnych wypadków z udziałem pieszych. Pora to zmienić – mówią organizatorzy akcji „Dobrze Cię widzieć"

W ciągu ostatnich 10 lat liczba wypadków drogowych w Polsce spadła o ponad 30 proc., jednak od 2015 r. znów zaczęła rosnąć. Niepokoi – odnotowany w zeszłym roku – ponadsześcioprocentowy wzrost liczby ofiar śmiertelnych wypadków z udziałem pieszych. Chociaż w zdecydowanej większości winę za te zdarzenia ponoszą kierowcy, to prawie 0,5 tys. osób zginęło, a ponad 2 tys. zostało rannych w wyniku wypadków, których sprawcami byli właśnie piesi.

Teraz, w trudnych jesiennych warunkach, na nieoświetlonych drogach piesi stają się mniej widoczni dla kierowców. Jeśli dodamy do tego złe nawyki jednych i drugich: brak ostrożności pieszych oraz niefrasobliwość i brawurę kierowców, nietrudno o tragedię.

– Na drodze najgorszy jest brak odpowiedzialności. Nieodpowiedzialni są kierowcy jeżdżący bez poszanowania innych, ale też piesi czy rowerzyści, którzy mimo kiepskich warunków na drodze nie zakładają kamizelki odblaskowej – mówi Jacek Sapa, prezes Fundacji Narodowego Dnia Życia, organizator rozpoczynającej się kampanii „Dobrze Cię widzieć". – Dbanie o bezpieczeństwo swoje i innych to nawyk wynikający ze świadomego i odpowiedzialnego podejścia do otoczenia. Nawyk, który można wypracować, dlatego będziemy zachęcać do uważności – dodaje Sapa. I wyjaśnia, że zaplanowana przez fundację ogólnopolska akcja potrwa do końca roku, a dzięki swojej skali obejmie odbiorców w każdym wieku.

Do najmłodszych kampania docierać będzie przez szkoły. Pomoże w tym Jacek – jeden z bohaterów animowanej opowieści zrealizowanej w ramach projektu. Kreskówka językiem przystępnym dla uczniów zachęcać będzie do tego, aby zawsze być widocznym na drodze i nosić odblaski. O zasadach przypominać będą też ulotki i inne materiały informacyjne. Dlaczego to takie ważne? Dlatego, że dzieci również bywają sprawcami niebezpiecznych sytuacji na drogach. Pozostawione bez opieki lub nieświadome zasad bezpiecznego



1/1018/F

zachowania przechodzą przez ulicę na czerwonym świetle albo w niedozwolonych miejscach, chodzą nieodpowiednią stroną drogi lub wybiegają na jezdnię. Bez względu na to, w jaki sposób dziecko porusza się po drodze – jako pieszy, rowerzysta czy pasażer – powinno być widoczne dla pozostałych uczestników ruchu. W ostatnim roku w Polsce doszło do niemal 3 tys. wypadków drogowych z udziałem dzieci do 14. roku życia. W zdarzeniach tych zginęło 56 dzieci, a ponad 3 tys. doznało obrażeń.

Do dorosłych organizatorzy kampanii chcą trafić inaczej. O wsparcie poprosili Cezarego Pazurę. Ambasador akcji wystąpił w spocie informacyjnym „Dobrze Cię widzieć", który już wkrótce trafi na małe ekrany i do sieci. Zobaczymy go również na billboardach w całej Polsce.

– Wszystko po to, by przypomnieć Polakom, że ruch drogowy to nie tylko zbiór przepisów regulujących zasady poruszania się po drodze, chodniku czy ścieżce rowerowej. Oprócz znajomości prawa istotna, a może najważniejsza, jest uważność na innego człowieka i świadomość konsekwencji naszych zachowań – podkreślają organizatorzy akcji.

FUNDACJA NARODOWEGO DNIA ŻYCIA

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

DOBRZE CIĘ WIDZIEĆ

eprasa.pl 5f698ec8ce

Coś w Rosji pęka, coś się kończy

Rozmaite sygnały, dotyczące różnych spraw, bywają oznakami tego samego – głębokiego kryzysu całego organizmu. Ten organizm to może być państwo albo panujący w nim system. Na przykład putinowski





PIOTR SKWIECIŃSKI

Rosyjski opozycyjny portal Meduza kilka dni temu stworzył i opublikował u siebie nową grę on-line. Opisuje ją tak: „Meduza zdecydowała uratować honor kraju i proponuje swoim czytelnikom zatrzymać totalnie głupich szpiegów. O co chodzi w grze? Jeśli widzicie pracownika GRU – zabierzcie mu dokumenty, wtedy nie da on rady wyjechać za granicę w celu wykonania rozkazu. Ważne! Jeśli utracicie z pola widzenia człowieka z legitymacją oficera GRU – gra się kończy".

O co chodzi szydercom z Meduzy?

GEJOWSKA BRANSOLETKA

Wojskowy wywiad GRU jeszcze od głębokich czasów radzieckich cieszył się reputacją chyba najgroźniejszej służby specjalnej świata. Ta opinia być może była przesadzona; w dużej mierze wykreował ją w swoich sensacyjnych parawspomnieniach były oficer owej formacji – Wiktor Suworow (Władimir Riezun). Niezależnie jednak od ewentualnej przesady była to służba wysoce profesjonalna i efektywna, w świecie fascynatów „mrocznego świata cichego frontu" mająca zakamieniałych wielbicieli. Ci, kiedy usłyszeli np., że na Ukrainie aresztowano dwóch oficerów GRU, gotowi byli mentalnie niemal na wszystko, żeby tylko móc uznać, iż byli to funkcjonariusze jakiejkolwiek innej służby rosyjskiej. Byle nie GRU – no bo schwytanie tych nadludzi przecież po prostu nie jest fizycznie możliwe...

I choć zarówno sam Władimir Putin, jak i gros jego współpracowników nie wywodzą się bynajmniej ze służb wojskowych, tylko z „cywilnego" KGB (i to ono, a obecnie jego następca – FSB – zawsze zapewniało kontrwywiadowczą osłonę armii i samego GRU), to właśnie służba rozsławiona przez Suworowa stała się w powszechnym odczuciu wizytówką Rosji, która „wstała z kolan". Jej najostrzejszym mieczem.

Dziś ta wizytówka została widowiskowo podarta. A najostrzejszy miecz okazał się bardziej czymś w rodzaju tępego, przerdzewiałego i w dodatku wyszczerbionego noża. Przy czym spektakularnie wykazał to nie jeden zdumiewający epizod, ale cała ich seria.

A więc najpierw w Anglii nastąpił zamach na Siergieja Skripala. Zamach, podkreślmy to, nieudany, bo ofiara przeżyła.

Potem Anglicy, po kilku miesiącach mozolnych analiz danych z kamer ulicznych, dworców i portów lotniczych, zidentyfikowali dwóch prawdopodobnych zamachowców – jako funkcjonariuszy GRU właśnie. Następnie obaj ci dżentelmeni wystąpili w propagandowej telewizji Sputnik w operetkowym wywiadzie. Ubrani w dziwaczne dresy i swetry (za to jeden z plastikową, kolorową bransoletką, przypominającą te popularne w rosyjskich środowiskach gejowskich – według niektórych analityków był to chytry zabieg, mający uzasadnić w oczach obserwatorów wersję, według której dwóch samotnych trzydziestoparolatków udało się razem na dziwną wycieczkę do prowincjonalnego angielskiego miasteczka...) deklamowali całkowicie sztucznie brzmiące

eprasa.pl 5f698ec8ce



Rys. Michał Korsun

zdania, jak to pojechali do Salisbury, żeby zwiedzić miejscową średniowieczną katedrę. I monotonnym głosem recytowali wyuczone na pamięć z Wikipedii opisy mające wykazać, jak atrakcyjne dla nich są tamtejsze zabytki...

A jeszcze potem petersburski opozycyjny portal Fontanka w jakiś sposób pozyskał dane obywateli rosyjskich, którzy otrzymali paszporty w tym samym czasie, co domniemani mordercy. Chodzi o paszporty z tej samej serii, których numery odróżniają się od dokumentów wyżej wymienionych jedynie pojedynczymi cyframi końcówki. Otóż wszyscy ci obywatele podali, jako swój adres, to samo miejsce – Moskwa, Szosa Choroszewska 76B. To adres... centrali GRU. Należy zaznaczyć, że rosyjskie przepisy pozwalają wojskowym podawać do danych, potrzebnych dla uzyskania paszportu, adres nie miejsca zamieszkania, tylko służby.

Fontanka uzyskała też dane dotyczące wyjazdów za granicę posiadaczy tych paszportów. Dziwnym przypadkiem czas i kierunek tych wyjazdów dotyczy miejsc, gdzie dzieją się ważne dla Rosji wydarzenia. I tak na przykład niejacy Andriejew i Potiomkin, których numery paszportów różnią się pojedynczymi cyframi od tych niedoszłych zabójców Skripala, jesienią 2016 r. polecieli do Serbii. Był to moment, kiedy w sąsiedniej Czarnogórze rosyjskie służby usiłowały zorganizować pucz. Nawiasem mówiąc, również numer sławetnego (wydalonego niegdyś z Polski za szpiegostwo) Eduarda Szyrokowa (prawdziwe nazwisko – Sziszmakow), który organizował wówczas zamach na premiera tego kraju, różni się od numerów paszportów wszystkich innych „mieszkańców domu numer 76B na Szosie Choroszewskiej" tylko jedną cyferką.

Inny posiadacz analogicznego paszportu, nazwiskiem Tarasow, był w Stambule między 24 kwietnia a 4 maja 2017 r. Wtedy właśnie wizytę w Turcji składał Władimir Putin.

To, że dopuszczono do tego, aby nawet w zamkniętym zbiorze danych rosyjskiej Federalnej Służby Migracyjnej znajdowały się informacje uszeregowane tak, iż po prostu muszą wzbudzić zainteresowanie i refleksję nawet kogoś przypadkowego, kto uzyska do nich wgląd, jest znamienny. Bo przecież, patrząc z punktu widzenia rosyjskiego kontrwywiadu, nie sposób wykluczyć, że dostęp do danych mógłby w jakichś okolicznościach mieć obcy agent. Dlaczego więc nie zabezpieczono się przed taką ewentualnością?

Nawiasem dodajmy, że wszyscy posiadacze takich paszportów to osoby niemal nieistniejące w jakichkolwiek rosyjskich zbiorach danych dotyczących obywateli. Nie mają też kont w sieciach społecznościowych.

Potem ustalono prawdziwe dane i przebieg służby jednego z „salisburczyków" (pułkownik GRU, odznaczony przez Putina tytułem Bohatera Rosji – zapewne za dowodzenie akcją ewakuacji Janukowycza z Ukrainy, gdy zwyciężał Majdan), wreszcie – drugiego, który okazał się lekarzem w GRU.

PO HADZE W BUDIONOWKACH

I jakby tego wszystkiego było mało, w innym zachodnim kraju – w odróżnieniu od Wielkiej Brytanii niecieszącym się opinią potęgi w dziedzinie służb specjalnych – w Holandii ministerstwo obrony poinformowało, że jeszcze w kwietniu deportowano do Rosji czterech oficerów GRU, przybyłych w celu dokonania ataku informatycznego na mającą siedzibę w Hadze międzynarodową Organizację ds. Zakazu Broni Chemicznej (uczestniczącą m.in. w badaniu zamachu na Skripala dokonanego za pomocą chemicznego środka nowiczok). Przy czym przy jednym z nich znaleziono rachunek za taksówkę z gmachu ministerstwa obrony na lotnisko Szeremietiewo. Pewnie trzymał, bo chciał tę taksówkę rozliczyć...

Holenderski kontrwywiad nie miał skądinąd trudnego zadania. Operacja GRU była skazana na fiasko, bo po prostu dowodzący nią, działający pod przykryciem dyplomaty pułkownik tej służby Konstantin Bachtin, kontaktował się z jej moskiewską centralą za pomocą zwykłego telefonu i tą drogą otwarcie uzgadniał szczegóły akcji... Zresztą i przerzuceni do Hagi cyberdywersanci łączyli się z sobą za pomocą rosyjskich komórek o moskiewskich numerach.

Podobno po tym wszystkim w głównym gmachu GRU, znanym pod upowszechnionym przez Suworowa kryptonimem Akwarium, odbyła się narada, w której trakcie najłagodniejszym słowem, użytym wobec wszystkich zaangażowanych w operację, było „debile". Podobno mówiono, że jeszcze gorzej mogli się oni zachować tylko w jeden sposób: gdyby paradowali po Hadze w budionowkach. Podobno szef GRU generał Igor Korobow po wyjściu od prezydenta Putina był w stanie przedzawałowym i podobno niebawem utraci stanowisko.

Przede wszystkim jednak zwracają uwagę dwa aspekty sprawy. Oczywiście gigantyczna i wielopłaszczyznowa

eprasa.pl 5f698ec8ce

kompromitacja rosyjskich służb (nie tylko samego GRU, bo np. za jego kontrwywiadowcze zabezpieczenie odpowiada FSB...). Ale też zdumiewające oberwanie chmur z tajnymi informacjami, które spadły na media. I te rosyjskie rządowe, i te rosyjskie opozycyjne, i emigracyjne, i zachodnie.

Oczywiście widać w tym rękę samych zachodnich służb; ewidentnie na Zachodzie zapadła decyzja, by w ten sposób uderzyć w Rosjan, rodzaj ciosu i miejsce uderzenia wybrano tak, że jest ono bardzo bolesne, o czym niżej. Ale to prawda niepełna, bo przecieki, dotyczące wewnętrznych, tajnych akt rosyjskich urzędów trudno wytłumaczyć inaczej niż grą jakichś grup wewnątrz moskiewskiego aparatu władzy i wewnątrz samych służb (FSB lub Służba Wywiadu Zagranicznego przeciw GRU, ale rzeczywistość może być znacznie bardziej skomplikowana – kogoś przeciw całej armii?). Ktoś chce kogoś skompromitować, więc dokonuje przecieków, nie zważając – zauważmy – na to, że efekt tego posunięcia uderza nie tylko w konkurencję, lecz także w cały putinowski system. I szerzej – w całe rosyjskie państwo.

W rosyjskie państwo, które zostało ośmieszone akurat w punkcie, w jego piarze dotąd i najmocniejszym, i chyba najważniejszym – w przekonaniu o potędze służb specjalnych będących najcenniejszym klejnotem w czapce Monomacha. To przekonanie oddziaływało dotąd hamująco na zewnętrznych przeciwników Rosji. A zwykłych Rosjan napawało dumą – bo Rosjanie fascynują się swoimi służbami jak żaden chyba inny naród świata i jak żaden inny czerpią satysfakcję z przekonania o ich mocy. To bardzo ważny element przeżywanej przez nich świadomości potęgi własnego państwa i grozy, wywoływanej przez nie na całej reszcie planety. A istnienie lub nieistnienie tego poczucia mocy jest bardzo ważną składową legitymacji, którą w oczach narodu ma albo której nie ma każda kolejna kremlowska ekipa.

Z tego punktu widzenia patrząc, świat po Skripalu i Hadze staje się dla Władimira Putina miejscem znacznie mniej niż dotąd komfortowym.

SYSTEM SIĘ ZAWIESZA

Ale ten komfort jest zagrożony z jeszcze innego powodu. Oto w serii przedterminowych wyborów gubernatorów nieoczekiwanie zaczęli przegrywać kandydaci (z reguły już zajmujący te stanowiska) z rządzącej partii Jedna Rosja.

Zaczęli przegrywać nie na rzecz liberalnej opozycji oczywiście – ta jest i zbyt kulturowo odległa dla zwykłych Rosjan, i zbyt stłamszona przez stosowane przez rządzących środki tzw. resursu administracyjnego, żeby mogła zaistnieć w wyborach. Na rzecz bytów całkowicie czy niemal całkowicie systemowych, czyli partii reglamentowanej opozycji – komunistów, nacjonalistów Żyrinowskiego czy lewicowej Sprawiedliwej Rosji.

Te przegrane (w niektórych miejscach, jak w nadpacyficznym Kraju Przymorskim, poniesione w specyficznych okolicznościach – w ostatniej chwili usiłowano tam rzutem na taśmę wybory sfałszować, ale sytuacja była tak oczywista, że nawet centralna komisja wyborcza w Moskwie musiała się uznać za zobowiązaną do unieważnienia ich i rozpisania nowych) mają jedną podstawową przyczynę. Jest nią ogromne rozczarowanie zdecydowanej większości Rosjan, wywołane podwyższeniem wieku emerytalnego – dla żyjących w kiepskich warunkach, za to krótko obywateli Federacji perspektywa spędzenia choć kilku lat na emeryturze jest bardzo ważnym elementem sensu życia i poczucia sprawiedliwości. Głosowanie na „każdego, byle nie jednorosa" było więc teraz dla wielu sposobem zamanifestowania swej niezgody na tę operację.

Oczywiście, samo zwycięstwo reglamentowanej opozycji w kilku obłastiach nie jest dla Kremla żadnym końcem świata. Ale po pierwsze, grozi niekontrolowanymi zmianami w elicie władzy dzielącej między siebie tort kurczący się na skutek niskich cen surowców energetycznych i zachodnich sankcji.

> Uderzenie w prestiż służb specjalnych jest potężnym ciosem dla rosyjskich władz. Bo przekonanie o sprawności tych służb i strachu, wywieranym przez nie na całym świecie, jest ważnym elementem społecznej legitymizacji każdej ekipy z Kremla

Po drugie, w przyszłym roku jesienią nastąpią wybory aż 14 gubernatorów i gdyby wtedy rządzący przegrali, mogłoby to oznaczać skutki destrukcyjne już dla całego systemu. Feralne dla putinowców (ich przypomnienie wciąż budzi w nich trwogę) wydarzenia lat 2011/2012 zaczęły się przecież od tego, że niespodziewanie wielu Rosjan, na wezwanie opozycyjnego blogera Aleksieja Nawalnego, zagłosowało w wyborach do Dumy na kandydatów koncesjonowanej opozycji – by pozbawić Jedną Rosję legitymacji. Gdyby system osłabł, a nastroje antykremlowskie się wzmacniały (z fali popularności Putina, wywołanej przez zajęcie Krymu, nie zostało już zgoła nic), trudno byłoby wykluczyć próby wyemancypowania się koncesjonowanej opozycji, wręcz jakiegoś dogadywania się jej części z opozycją pozasystemową.

* * *

Przede wszystkim jednak nie należy tracić z oczu najważniejszego. Otóż niespodziewane porażki kandydatów, którzy przecież mieli wygrać, pokazują, że rosyjskie państwo i jego aparat z tych czy innych przyczyn przestają być sterowne. Machina się psuje, zaczyna buksować. System się zawiesza. Kompromitacja służb specjalnych miała oczywiście inną naturę i przyczyny, ale zarazem jest przejawem tego samego zjawiska.

Coś w Rosji pęka, coś się kończy, by strawestować pewnego klasyka.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Nowe dworce w Wielkopolsce

Program Inwestycji Dworcowych PKP S.A. nabiera tempa. W Wielkopolsce zaczął się od budowy dworca Poznań Garbary, następny był Dworzec Zachodni w Poznaniu. Programem objęto w województwie w sumie 13 obiektów, wśród nich m.in. dworce w Biskupicach Wielkopolskich, Kobylnicy, Nowym Tomyślu czy Opalenicy

Budowa dworca Poznań Garbary skończyła się we wrześniu. Powstał on w miejscu starego budynku, który został wyburzony. Nowy jest większy, nowoczesny i funkcjonalny, ma tablice dotykowe, a także udogodnienia dla osób niewidomych i niedowidzących. Na zewnątrz znalazła się dodatkowa przestrzeń dla podróżnych, powstały miejsca parkingowe. Zamontowano także wiatę rowerową.

O ile Poznań Garbary jest całkiem nowym budynkiem, o tyle Dworzec Zachodni to obiekt zmodernizowany, który po przebudowie zachował cenne walory historyczne, otrzymując dodatkowo funkcje związane z nowoczesną obsługą pasażerów. Dworzec Zachodni w Poznaniu został otwarty dla podróżnych 5 października.

Podczas remontu odkryto m.in. zamurowane okienko, które poddano renowacji, historyczny gzyms w holu oraz fragment starego bruku. Został on odpowiednio wyeksponowany. Odrestaurowano również kolumny przed wejściem, wykonane z lastriko.

Podczas remontu wykonano instalację sanitarną, elektryczną i teletechniczną, przebudowano pomieszczenia, dostosowując je do nowych funkcji. Po modernizacji dworzec stał się przyjazny dla osób o ograniczonej mobilności, zlikwidowano bariery architektoniczne, wykonano tablice multisensoryczne, ścieżki dla osób niedowidzących, oznakowania w alfabecie Braille'a, pętle indukcyjne. Powstało oddzielne pomieszczenie dla osób podróżujących z małymi dziećmi.

Jedna i druga inwestycja – Dworzec Poznań Garbary i Dworzec Zachodni w Poznaniu – zostały sfinansowane ze środków budżetu państwa i środków własnych PKP S.A. Koszt pierwszej wyniósł ok. 4 mln zł netto, a drugiej – 7,4 mln zł netto.



fot. PKP | 21/0818/F

Podczas otwarcia Dworca Zachodniego prezes PKP S.A. Krzysztof Mamiński przekazał mieszkańcom Poznania wiadomość, na którą od dawna czekali. Zapowiedział modernizację dawnego dworca Poznań Główny i przywrócenie tam funkcji pasażerskich.

– Dworzec Poznań Główny będzie miał przywróconą swoją świetność: na poziomie parteru nowe kasy, nowe pomieszczenia obsługi podróżnych, w tym osób z niepełnosprawnościami. Na antresoli przewidujemy pomieszczenia handlowe, poczekalnie, miejsca do wypoczynku. To już nie obietnica, to nie koncepcja – to decyzja – dodał.

– Realizujemy obecnie wielki program modernizacji polskiej kolei, na rekordową skalę. Łącznie w linie kolejowe, dworce i tabor zainwestujemy ok. 100 mld zł, a województwo wielkopolskie jest jednym z tych, które już mogą się cieszyć pierwszymi efektami prac. Ten program to rezultat nowego myślenia o transporcie kolejowym i przywrócenia mu przez polski rząd należnej roli. Przez wiele lat kolej w Polsce „zwijano", zapominając, że jest ona jednym z kół zamachowych całej narodowej gospodarki. Obecnie, po długim czasie niedoinwestowania, kolej wreszcie przeżywa renesans – mówi Andrzej Adamczyk, minister infrastruktury.

– Po raz pierwszy od wielu lat o inwestycjach na kolei myśli się kompleksowo. Powstaje spójna, wysokiej jakości oferta dla pasażerów obejmująca wszystkie etapy podróży. Jednym z wielu beneficjentów tego programu jest właśnie województwo wielkopolskie – mówi Andrzej Bittel, wiceminister infrastruktury.

st

eprasa.pl 5f698ec8ce

Promocja Polski w USA, czyli co Amerykanie wiedzą o naszym kraju



Prezes PZU SA Paweł Surówka podczas spotkania z inwestorami w Nowym Jorku

Fot. Mat. prasowe PZU/Jason H. Kim

Na początku października w Nowym Jorku odbyło się jedno z największych spotkań liderów polskiej gospodarki z przedstawicielami amerykańskiego biznesu, w którym wzięło udział kilkudziesięciu prezesów najważniejszych polskich spółek. Gościem honorowym wydarzenia był premier Mateusz Morawiecki, a inicjatorem przedsięwzięcia – PZU

eprasa.pl 5f698ec8ce

Wrześniowy awans Polski do prestiżowego grona rynków rozwiniętych, a także stulecie odzyskania niepodległości stworzyły kontekst do rozmów o perspektywach stojących przed Polską i potencjale intelektualnym oraz gospodarczym, który tkwi w Polakach i polskich firmach.

Mimo wielu sukcesów Polski i Polaków osiągniętych po 1989 r. potrzeba konkretnych działań, aby przekonać o tym międzynarodową opinię publiczną. Według badania Harris Poll aż 89 proc. Amerykanów nie wierzy, że Polska plasuje się w czołówce 40 najbardziej innowacyjnych krajów na świecie, 64 proc. uważa, że nasza gospodarka opiera się na rolnictwie, a 47 proc. sądzi, że w Polsce nie ma zbyt wielu możliwości zatrudnienia ani rozwoju zawodowego. Dlatego PZU zorganizował w Nowym Jorku konferencję #PolandCanDoNation.

„W ostatnich latach w Polsce dokonała się rewolucja, zarówno pod względem technologicznym, jak i przemysłowym. Towarzyszył jej rozwój technologii finansowych i informatycznych, a także wysokiej klasy usług biznesowych oraz działalności badawczo-rozwojowej" – podkreślił podczas konferencji w Nowym Jorku Paweł Surówka, prezes PZU. „Skutkiem tego boomu był nie tylko wyraźny wzrost gospodarczy, lecz również wzrost zatrudnienia oraz zagranicznych inwestycji. Większość obywateli Stanów Zjednoczonych nie jest świadoma tego faktu, dlatego postanowiliśmy działać i jesteśmy zdeterminowani, aby zmienić opinie o Polsce" – powiedział Paweł Surówka.

Gościem honorowym konferencji #PolandCanDoNation był premier Mateusz Morawiecki, który w swoim przemówieniu odniósł się do niedawnego włączenia Polski przez globalną agencję indeksową FTSE Russel do grona rynków rozwiniętych, podkreślając, że to przełomowa decyzja, która jednak nie stanowi zaskoczenia, ponieważ Polska spełnia wiele rygorystycznych kryteriów, na podstawie których dokonywana jest klasyfikacja. Mateusz Morawiecki dodał także, że Polska jest pełnoprawnym członkiem tej elitarnej grupy państw, z prawdziwie społeczną i konkurencyjną gospodarką.

Podczas konferencji Paweł Surówka wraz z Christianem Ketelsem, głównym ekonomistą BCG, zapowiedzieli także rozpoczęcie specjalnego programu mentoringowego dla studentów najlepszych amerykańskich uczelni, który pozwoli im obserwować pracę prezesów czołowych polskich firm oraz uczyć się od liderów innowacyjnego polskiego biznesu.

„Każdy, kto choć trochę zna historię, z pewnością wie, że bez pomocy Stanów Zjednoczonych zarówno w 1918, jak i 1989 r. Polska nie byłaby w stanie odzyskać swojej suwerenności. Dlatego korzystając z okazji, jaką daje to spotkanie, chcielibyśmy podziękować za nieustające wsparcie ze strony Stanów Zjednoczonych, a także chociaż częściowo spłacić ten dług, dzieląc się historią naszego sukcesu oraz zdobytym przez ostatnie 28 lat doświadczeniem" – powiedział Paweł Surówka.

„Historia sukcesu gospodarczego Polski, który dla wielu stanowił zaskoczenie, jest naprawdę niezwykła. Łatwo zapomnieć, gdy już osiągnęło się sukces, że na początku nie wydawał się on tak oczywisty. To tym bardziej istotne, że dla wielu krajów w dalszym ciągu pozostaje on poza zasięgiem" – podkreślił Christian Ketels. Jednocześnie zapowiedział przygotowanie case study dotyczącego Polski: „Unexpected champion – what next for Poland".

W trakcie konferencji #PolandCanDoNation Enrique Rueda-Sabater, starszy doradca w BCG, przedstawił najnowszy raport SEDA („Ocena Zrównoważonego Rozwoju Gospodarczego"/„Sustainable Economic Development Assessment"). Celem SEDA jest dostarczenie informacji dotyczących stopnia rozwoju poszczególnych krajów, które wykraczają poza kwestie czysto gospodarcze, a skupiają się także na jakości życia obywateli. Raporty SEDA świadczą o tym, że traktowanie dobra obywateli jako najwyższego priorytetu można łączyć z intensywnym rozwojem gospodarczym oraz promocją zrównoważonego rozwoju. Polska uplasowała się na pierwszym miejscu pod względem liczby wskaźników SEDA, wśród których zanotowano wzrost.

W ostatnim dziesięcioleciu, w stosunku do innych państw, sytuacja w Polsce pod wieloma względami uległa znacznej poprawie. W szczególności odnosi się to do infrastruktury, poziomu zatrudnienia, ochrony środowiska i zarobków. Co więcej, Polska wypada znacznie lepiej w takich obszarach jak stabilność gospodarcza i oświata. Nasz kraj znajduje się na drugim miejscu wśród krajów Unii Europejskiej, których pozycja w rankingu SEDA najbardziej wzrosła. Ponadto plasuje się w czołówce, jeśli chodzi o stopień przełożenia bogactwa kraju na dobrobyt obywateli – współczynnik stosunku bogactwa do jakości życia w Polsce w 2018 r. wynosił 1,22 – znacznie powyżej średniej światowej, a nawet niektórych krajów Unii Europejskiej. W światowym indeksie SEDA Polska plasuje się na 32. pozycji.

„Czynnik biznesowy oraz element ludzki, a także rosnący poziom życia sprawiają, że Polska jest idealnym miejscem do realizacji inwestycji oraz prowadzenia działalności gospodarczej. Panuje tu bezpieczna i przyjazna atmosfera, a ludzie są otwarci na innowacje i nowe wyzwania" – podkreślił Paweł Surówka. „W naszej historii zdarzały się niepowodzenia, jednak to tylko wzmocniło nasze pragnienie odrobienia strat w stosunku do innych krajów. Jesteśmy dumni z tego, co już osiągnęliśmy, ale w dalszym ciągu chcemy odnosić sukcesy. Ta postawa w połączeniu z niezwykłą ambicją jest tym, co wyróżnia Polskę na tle innych krajów" – dodał prezes PZU.

(KK)

Więcej informacji na PolandCanDoNation.com

METODOLOGIA BADANIA HARRIS POLL

Badanie przeprowadzone zostało za pośrednictwem internetu przez firmę badawczą Harris Poll na zlecenie PZU, na terenie Stanów Zjednoczonych w okresie 18–20 września 2018 r., na grupie 2 006 Amerykanów w wieku powyżej 18 lat. Wyniki nie powstały w oparciu o próbę probabilistyczną, dlatego nie mogą stanowić podstawy do wyliczenia potencjalnego szacunkowego błędu próby.

eprasa.pl 5f698ec8ce



Fot. Shutterstock

Znalazły się zakopane pieniądze

Wielu Polaków doskonale pamięta występy premiera Donalda Tuska w Zakopanem, kiedy mówił: „Pokażcie mi, gdzie są zakopane pieniądze, to chętnie je rozdam Polakom". Rząd PiS znalazł znaczną część tych pieniędzy – „zakopanych" w złodziejskich, VAT-owskich dziuplach, hazardowych jaskiniach i akcyzowej kontrabandzie, w tym zwłaszcza w sektorze paliw



JANUSZ SZEWCZAK

W ostatnich trzech latach rządów PO-PSL dochody państwa spadły o 1,2 proc., mimo 9-procentowego wzrostu PKB, z kolei w pierwszych trzech latach rządów PiS dochody państwa wzrosły o 30 proc., dochody z VAT, gdy władzę sprawowały PO i PSL, oscylowały rocznie między 113 a 126 mld zł, dziś zbliżają się do kwoty 170 mld zł. Jeszcze kilka lat temu za rządów neoliberałów, również tych z PSL, deficyt sektora finansów publicznych zbliżał się do 7 proc., w budżecie rządu Zjednoczonej Prawicy na 2019 r. to zaledwie 1,7 proc.

Gdy Ministerstwem Finansów rządzili tacy spece od finansów jak Jan Vincent-Rostowski, zwany „Sztukmistrzem z Londynu", a później tzw. minister techniczny, czyli Mateusz Szczurek, dramatycznie rósł dług publiczny. Do tego stopnia, że rząd PO-PSL musiał dokonać skoku na obligacyjną część OFE w kwocie 150 mld zł, które – jak to bywa w zwyczaju neoliberałów – gdzieś się rozpłynęły, a koszty obsługi długu publicznego szybowały nawet do poziomu 42 mld zł w skali roku. Za obecnej władzy dług publiczny w Polsce spadł rekordowo już w 2017 r., nie tylko w relacji do PKB, lecz nawet nominalnie, i będzie spadał zarówno w tym roku, jak i w przyszłym. Zmniejszać się będą również budżetowe koszty obsługi długu skarbu państwa do kwoty 29 mld zł w 2019 r. Co najważniejsze, za obecnego rządu zapoczątkowany został spadek udziału długu skarbu państwa w walutach obcych, będącego źródłem ryzyka kursowego. Już w zeszłym roku udział długu zagranicznego w całości długu skarbu państwa obniżył się z 34,4 do 30,6 proc. i ma dalej spadać do ok. 24 proc. w 2022 r.

Jak widać, to, co miało za rządów PiS spadać, systematycznie spada, to, co miało rosnąć, stopniowo rośnie. Idziemy więc we właściwym kierunku i realizujemy nowy model gospodarczy, znacznie bardziej demokratycznego i sprawiedliwego kapitalizmu i znacznie bardziej na serio traktowane są teraz konstytucyjne zasady dla znacznie większej liczby Polaków, niż to się działo za poprzednich rządów. Realna rozprawa z mafiami VAT-owskimi i kosmopolitycznymi gangami, które do tej pory bezkarnie rozkradały polski majątek narodowy i dokonały rabunku dochodów podatkowych na gigantyczną skalę ok. 400 mld zł w latach 2008–2015, spowodowała, że przy pomocy ulicy i zagranicy podjęto kolejne próby obalenia rządu PiS. Pieniądze zabrane mafiom, nie tylko VAT-owskim

eprasa.pl 5f698ec8ce

i akcyzowym, lecz także hazardowym, zaczęły wreszcie trafiać do Polaków, a zwłaszcza polskich rodzin, w tym tych wielodzietnych. Nic dziwnego, że politycy totalnej opozycji i eksperci FOR nie mogą się nadziwić, że budżet dziś może przeznaczyć blisko 70 mld zł na liczne programy socjalne, społeczne, prorodzinne czy integracyjne. Dla nich bowiem właśnie troska o zwykłego obywatela i walka o interes narodowy z różnego rodzaju lobby finansowymi i zagranicznymi była niewyobrażalna.

Kolejne budżety rządów PiS w latach 2017, 2018 i ten na następny rok, odsądzane od czci i wiary przez PO, PSL i Nowoczesną, zupełnie absurdalne zaklęcia prof. Leszka Balcerowicza wieszczącego armagedon finansowy, zupełnie się nie sprawdziły. Mało tego, stało się wprost przeciwnie – mamy prawdziwy sukces finansowy. Wzrost gospodarczy w Polsce oscylujący wokół 5 proc. PKB, ustabilizowana inflacja na poziomie 2,3 proc., wzrost wynagrodzeń – ok. 7 proc., wzrost konsumpcji, eksportu, spadek bezrobocia do rekordowo niskiego poziomu 5,8 proc. i zapowiadany spadek deficytu budżetowego w 2019 r. do zaledwie 28 mld zł, to wskaźniki makroekonomiczne, o których rządy Donalda Tuska i Ewy Kopacz mogły tylko pomarzyć.

Symbolem tych pozytywnych trendów w polskim budżecie i polskich finansach jest zakwalifikowanie przez agencję międzynarodową FTSE właśnie naszego kraju do grona 25 najbardziej rozwiniętych państw świata. Rośnie zainteresowanie Polską dużych zagranicznych inwestorów – z USA, Australii i niektórych krajów azjatyckich.

Latem tego roku Polska po raz pierwszy od blisko 100 lat kupiła 9 ton złota, za rządów PO-PSL złoto raczej znikało z kraju, choćby w aferze Amber Gold. Posiadane przez nas 212 ton złota to i tak jeszcze niewiele.

Oczywiście przestępcy finansowi nie próżnują, dlatego rząd przygotowuje kolejne pakiety zmian mające uszczelnić system podatkowy, zwłaszcza tzw. agresywną optymalizację podatkową, manipulowanie cenami transferowymi czy nieuczciwe praktyki handlowe. Nadal bowiem nawet ten legalny transfer zysków z Polski za granicę to blisko 100 mld zł rocznie, przy jednoczesnym blokowaniu ekspansji polskich podmiotów gospodarczych, zwłaszcza w zachodniej części Unii Europejskiej, jak choćby dzieje się to w przypadku tzw. pracowników delegowanych. Również konsekwencja w reformie systemu wymiaru sprawiedliwości ma służyć przestrzeganiu prawdziwej konkurencji na rynku, realnej ochronie uczestników tego rynku oraz poczuciu praworządności i sprawiedliwości ze strony zwykłych obywateli, a nie tylko wysoko opłacanych celebrytów i uprzywilejowanych grup, dotychczas bezkarnie żerujących na majątku państwowym.

Niewątpliwie wiele dla polskiej koniunktury gospodarczej i finansowej mogą znaczyć zawirowania na rynkach międzynarodowych, szczególnie rynkach cen ropy naftowej, czy zmiany stóp procentowych w USA i Szwajcarii, ale przygotowany budżet na 2019 r. daje poczucie stabilności, jest ostrożnie skonstruowany i dobrze policzony.

Gaśnie ostatnia nadzieja totalnej opozycji na armagedon gospodarczy i załamanie finansów publicznych, nie będzie drugiej Grecji ani Białorusi. Społeczna gospodarka rynkowa nad Wisłą nabiera coraz bardziej solidarnościowego i prospołecznego charakteru, a Polska staje się liczącym się państwem w sferze gospodarczej, broniącym własnych interesów, i wielu się to bardzo nie podoba.

REKLAMA



eprasa.pl 5f698ec8ce

Hit tygodnia

Fujifilm GFX 50R



Trwa festiwal nowości, jeśli chodzi o rynek fotograficzny. Ostatnio przyglądaliśmy się nowym pełnoklatkowym bezlusterkowcom Nikona i Canona. Teraz przyszedł czas na drugi już model cyfrowego średniego formatu od Fujifilmu. Tym razem otrzymujemy body w stylu klasycznych aparatów dalmierzowych. Najważniejszą cechą GFX 50R jest oczywiście 51,4-megapikselowa matryca (43,8 × 32,9 mm). Pozostałe parametry nie wydają się może zbyt zachęcające, np. szybkość robienia zdjęć to 3 kl/s, ale to średni format! Możliwości wideo też nie powalają – nagrywanie 1080/30 p. Ale znów – Fujifilm stawia na jakość zdjęć i na razie nie konkuruje w dziedzinie filmowania aparatami fotograficznymi. Więc czym się tu zachwycać?

Plusy i minusy

+ wbrew pozorom cena, średni format
– jak to przy średnim formacie – wielkość

No właśnie owym średnim formatem – czyli dużą matrycą i możliwościami, jakie ona daje. Jeśli mówimy o cenie, choć wydaje się naprawdę wysoka, to wystarczy porównać do tzw. reporterskich puszek (np. Nikon D5) – w rzeczywistości otrzymujemy luksusowe ferrari w cenie dobrego sedana. Jeszcze nie nadszedł czas, by średni format cyfrowy trafił pod strzechy, ale spójrzmy na aparaty pełnoklatkowe, kilka lat temu marzenie fotoamatorów, dziś – w zasięgu ręki prawie każdego. Będzie się jeszcze działo. **cena: 4499 dol.**



Razer Nari Ultimate

Firma Razer zaprezentowała bezprzewodowy zestaw słuchawkowy Nari Ultimate z zaawansowaną technologią haptyczną HyperSense. Razer HyperSense wykorzystuje przetworniki haptyczne, generujące wielowymiarowe doświadczenie odbierane przez zmysł dotyku, co przy wsparciu dźwięku stereo pozwala na dokładniejsze zlokalizowanie pozycji wrogów lub sojuszników. Technologia w czasie rzeczywistym konwertuje sygnały dźwiękowe na bodźce dotykowe. Można jej używać podczas grania, słuchania muzyki i oglądania filmów bez konieczności dodatkowych integracji. Nari Ultimate zaprojektowano także z wykorzystaniem innowacyjnych technologii zwiększających komfort użytkowania. W ich skład wchodzą automatycznie dopasowujące się do głowy pałąk oraz obracające się nauszniki. Poduszki nauszników mają ukryte wewnątrz specjalne wyżłobienia na zauszniki okularów. Nari Ultimate będą dostępne w cenie 199,99 euro. Poza tym pojawią się jeszcze dwie wersje: Nari w cenie 149 euro, pozbawione technologii HyperSense, zachowają wszystkie pozostałe cechy wersji Ultimate, oraz Nari Essentials – bezprzewodowe słuchawki z THX Spatial Audio w cenie 99,99 euro. **premiera**

Plantronics Elara 60 Series

Lubicie smartfony, ale jednocześnie tęsknicie za stacjonarnymi telefonami? Firma Plantronics wychodzi poniekąd naprzeciw i prezentuje urządzenie Elara 60 Series oraz nową kategorię produktów – stacji telefonii komórkowej. Elara umożliwia korzystanie z telefonu komórkowego z funkcjami telefonu stacjonarnego. Urządzenie Elara 60 Series zawiera zestaw słuchawkowy oraz głośnomówiący. Mobilna stacja odbiera powiadomienia Microsoft Teams. Rozwiązanie to zapewnia użytkownikom funkcję Active Teams z aktywacją głosową oraz dotykową (za pomocą jednego intuicyjnego przycisku). Aby korzystać z urządzenia, wystarczy ustawić telefon komórkowy na opcję Plantronics Elara i skupić się na swoich obowiązkach. Dostępna jest również opcja bezprzewodowego ładowania. Plantronics Elara 60 Series będzie w sprzedaży na początku 2019 r. **zapowiedź**



Przygotował
Paweł Gadaczek

20/1018/F

eprasa.pl 5f698ec8ce

PFR
Polski Fundusz Rozwoju

Polskie Koleje Linowe

Polski Fundusz Rozwoju odkupił Polskie Koleje Linowe – przedsiębiorstwo z 80-letnią tradycją. Kasprowy Wierch i Gubałówka są symbolem i wizytówką polskich Tatr. To także atrakcyjna inwestycja o bardzo dużym potencjale.

PFR jako stabilny inwestor będzie rozwijał infrastrukturę i ofertę PKL we współpracy z lokalną społecznością i z dbałością o środowisko naturalne. Jesteśmy dumni, że możemy przyczynić się do rozwoju PKL, z których tak chętnie korzystają polscy i zagraniczni turyści.



Inwestycje dla Polski

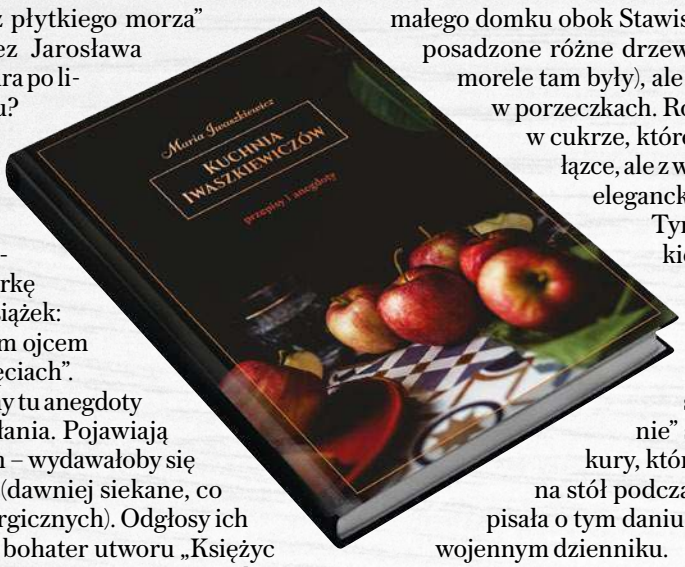
Infolinia Grupy PFR: 800 800 120
www.pfr.pl

eprasa.pl

KUCHNIA IWASZKIEWICZÓW

Kawałek naszego dzieła

Jak smakuje sałatka „z płytkiego morza" skomponowana przez Jarosława Iwaszkiewicza albo „kura po literacku" według jego pomysłu? Dowiedzieć się można, zaglądając do „Kuchni Iwaszkiewiczów" (wyd. Znak Literanova). Tom łączy materiały pochodzące z opublikowanych przed laty przez córkę pisarza Marię Iwaszkiewicz książek: „Gawędy o jedzeniu", „Z moim ojcem o jedzeniu", „Gawędy o przyjęciach".



Obok przepisów znajdziemy tu anegdoty i kulinarno-literackie odwołania. Pojawiają się nawet przy tak pospolitym – wydawałoby się – daniu jak kotlety mielone (dawniej siekane, co ważne ze względów dramaturgicznych). Odgłosy ich przygotowywania rejestruje bohater utworu „Księżyc wschodzi" Iwaszkiewicza. Ale też, co przypomina córka pisarza, takie kotlety podawano na kolację w Korczynie z „Nad Niemnem". Po nich „był już tylko omlet z konfiturami".

A skoro o konfiturach mowa... Pani Maria – nazywana przez wydawcę „kronikarką polskiej kultury jedzenia, która w czasach PRL-owskiej rzeczywistości przypominała, jak jadano przed wojną, ratowała od zapomnienia dawne przepisy, barwnie opowiadając o życiu na Stawisku" – zauważa, że konfitury zajmowały specjalne miejsce w twórczości ojca. O ich robieniu i spożywaniu jest mowa np. w „Ogrodach", „Dniu sierpniowym", „Sławie i chwale".

Wątek przetworów ciekawie rozwija się w rozmowie przeprowadzonej przez prawnuczkę pisarza Ludwikę Włodek. Jej babcia wspomina: „Ciotki, czyli siostry mojego ojca, robiły konfitury. Bardzo dobre. Na Majątkach, koło takiego małego domku obok Stawiska, gdzie mieszkały, miały posadzone różne drzewa owocowe (nawet chyba morele tam były), ale specjalizowały się głównie w porzeczkach. Robiły nawet takie porzeczki w cukrze, które podawało się nadal na gałązce, ale z wydłubanymi pestkami, jako elegancki deser do herbaty".

Tymczasem w „Kuchni Iwaszkiewiczów" pani Maria przywołuje też nieliczne, ale twórcze, kulinarne działania pisarza. Jego sposoby na uatrakcyjnienie szparagów czy „podrasowanie" smaku starej wychudzonej kury, która w czasie okupacji trafiała na stół podczas „lepszych" obiadów. Napisała o tym daniu Zofia Nałkowska w swoim wojennym dzienniku.

We wspomnianej rozmowie z wnuczką znalazło się miejsce na anegdotyczne podsumowanie „kuchni pisarza": „Ojciec próbował nauczyć się gotować, ale nie bardzo mu to wychodziło. Słynna jest historia, jak przed którąś Wielkanocą swoje wiersze wysłał mu pan Blikle. Wiersze były po polsku i po francusku, bo matka Bliklego była Francuzką. I ojciec, żeby się odwdzięczyć, postanowił z pomocą swoich wnuków, Maćka i Jasia, upiec mazurek. Ciasto wyszło niejadalne, w jednym miejscu zakalec, na końcach przypalone, ale opakował to bardzo ładnie i odesłał do Bliklego z liścikiem: »Kochanemu panu Bliklemu kawałek naszego dzieła«. Co oczywiście było trochę złośliwe, bo jasno wynikało z tego, że każdy powinien się zajmować tym, co wychodzi mu najlepiej".

Jolanta Gajda-Zadworna

Sałatka „z płytkiego morza" Jarosława Iwaszkiewicza



Składniki: 100 g mięsa z kraba lub paluszków krabowych, 100 g świeżych lub mrożonych krewetek koktajlowych z zalewy, 150 g świeżego lub mrożonego zielonego groszku, 8 garści zielonej sałaty ulubionego gatunku (ok. 350 g), 60 g orzechów włoskich, 1 łyżka masła, 2 łyżki oliwy z oliwek, sok z 1 cytryny, sól, pieprz.

Wykonanie: Groszek wrzucamy do rondelka, zalewamy wrzątkiem, dosypujemy 2–3 szczypty soli, przykrywamy i odstawiamy na 20 min. Cedzimy i odkładamy do wystygnięcia. Krewetki odsączamy (lub rozmrażamy), a następnie podsmażamy ok. minutę na rozgrzanym maśle, delikatnie solimy. Zdejmujemy z patelni i studzimy. Mięso z kraba kroimy na mniejsze kawałki. Sałatę kroimy w paseczki przypominające wodorosty (stąd nazwa). Orzechy drobno siekamy i prażymy w piekarniku (160°C) ok. 15 minut. Na talerzu układamy warstwowo: sałatę, groszek, kraby, krewetki, orzechy. Posypujemy pieprzem i solą, skrapiamy oliwą i sokiem z cytryny.

eprasa.pl 5f698ec8ce

SŁODKO-SŁONY

Liczy się dobre wejście

ANNA MONICKA

Ostatnio moja córka zastrzeliła mnie nietypowym komplementem. – Wiesz, mamusiu, moje śniadania są inne niż kolegów z klasy – oznajmiła. – Wszyscy zawsze zaglądają mi w kanapki, żeby sprawdzić, co znowu wymyśliłaś. – A co oni dostają? – pytam. – No bułki. Najczęściej z serem albo szynką, a u mnie zawsze coś zielonego wystaje albo jakaś kolorowa pasta. Aż chce się jeść!

To prawda, kombinuję, żeby nie było nudy i wejście w dzień smakowało. Pamiętam wciąż moje śniadania w torebkach foliowych po mleku. Każdego dnia podobne i dość nudne. Nie dlatego, że mojej mamie brakowało wyobraźni, co to, to nie! Po prostu w sklepach niewiele było, a trudno wyczarować w porannym szale coś z niczego.

Kanapki dla córki podpatruję w mojej ulubionej kafejce Moko, do której wpadamy czasem na poranną kawę. Po południu na kanapki byłoby za późno, bo znikają natychmiast.

Piękne żytnie i razowe bułki napakowane są np. rukolą, plastrami pieczonego buraka i serem feta oprószonym pieczonymi pestkami słonecznika oraz skropionym octem balsamicznym. Na sam widok cieknie ślinka. Albo serem cheddar i pieczonym boczniakiem – nie przepadam wprawdzie za tym grzybkiem, ale taki zgrillowany smakuje zupełnie jak kotlet. Hitem są plastry bakłażana smażone na oliwie i podawane na paście z suszonych pomidorów.

Dla córki takie hipsterskie zestawy mogłyby być zbyt wyszukane, ale już pasta z awokado z jajkiem smakuje i jej, i kolegom, zwłaszcza gdy posypię ją świeżutką rzeżuchą, którą uprawiam cały rok na parapecie. Hitem szkolnym są gotowane jajka z majonezem kieleckim podane na rukoli, która rośnie pod kuchennym oknem. Posadziłam kilka nędznych listków, a te rozpanoszyły się po ogródku tak, że mam teraz cały łan, wysoki do kolan i kwitnący ślicznie na żółto. Nie szkodzą mu najwyraźniej przymrozki, bo pierwsze już za nami, a rukola wciąż kwitnie. Córcia podskubuje ją sobie nie tylko do kanapek, bo ma ciekawy, korzenny smak, który podbija smak wielu warzyw.

Ostatnim śniadaniowym hitem jest jabłko w pudełeczku – pokrojone z cienkimi jak kalka plasterkami cebuli i oprószone solą. Koledzy z klasy pieją z zachwytu.



WILCZYM OKIEM



Winorośl i pokrzewka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jednej z zeszłych jesieni, w pogodny dzień tuż przed pierwszymi przymrozkami, znalazłem się trochę przypadkiem w jednej z polskich winnic. Chociaż byłem tam w innym celu, wdałem się w rozmowę z jej właścicielem. Im dłużej rozmawialiśmy pomiędzy rzędami winnych pnączy, a w zasadzie im dłużej zadawałem pytania i słuchałem odpowiedzi, tym większy ogarniał mnie podziw dla niezwykłości winorośli i dla doniosłości przemian, których jesteśmy świadkami. Przemian botanicznych i ekologicznych, a w niedalekiej przyszłości zapewne też ekonomicznych i kulturowych.

Uprawiane pnącza winorośli wywodzą się od dzikiego przodka: winorośli właściwej leśnej *Vitis vinifera* subsp. sylvestris. Odmiany uprawne są klonowane, więc identyczne genetycznie. Pełne bogactwo genów winorośli kryje się u dzikich roślin. Dzika winorośl przetrwała zlodowacenie na Kaukazie oraz południu Europy i właśnie tam, a zwłaszcza na Sycylii, na wulkanicznych zboczach łączącej cztery żywioły Etny zachowało się największe zróżnicowanie materiału genetycznego.

Regulacja i betonowanie rzek, niszczenie nadrzecznych lasów, sprowadzanie obcych, inwazyjnych gatunków roślin, zawlekanie owadów i pasożytniczych grzybów sprawia, że dzika winorośl w całym swoim zasięgu jest rośliną rzadką i ginącą.

Wszystko, co dotyczy winorośli, wprawia w zdumienie. Kwestie botaniczne: winorośl to pnącze, którego korzenie sięgają nawet siedmiu metrów w głąb ziemi. Współczesność: obecne winnice są naszpikowane czujnikami elektronicznymi, obsługiwane przez naukowców i laboratoria meteorologiczne, a jednocześnie tworzą bardzo ciekawe ekosystemy pełne owadów, jaszczurek, przypominających tornada szpaczych stad i skrytych pokrzewek czarnołbistych, przeżywających zimę dzięki zapomnianym na gałązkach jagodom.

Pośród wszelkich osobliwości winorośli i winnic jedna wydaje mi się szczególnie frapująca. Zachodzące zmiany klimatyczne sprawiają, że w tradycyjnych regionach Europy – w Nadrenii czy Alzacji od wieków monopolizujących produkcję niektórych rodzajów białych win – staje się zbyt ciepło dla właściwych ku temu odmian winorośli. Optimum ich uprawy powoli, lecz zauważalnie, przesuwa się w naszym kierunku.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 5f698ec8ce

Przeciw „partii Davos”

PIOTR SKWIECIŃSKI

Gdyby Steve Bannon, dziś już były szef doradców Trumpa, użył słowa „rewolucja”, by wyrazić to, czego chciał dokonać na Starym Kontynencie kilka lat temu, zapewne zabiłyby go albo śmiech, albo milczenie. Dziś ten emblematyczny polityk amerykańskiego ruchu Alt-right, czyli alternatywnej prawicy, nie musi się obawiać ani jednego, ani drugiego.

Pytany przez włoską telewizję, czy podziela „wartości antyfaszystowskie”, Bannon pyta grzecznie: o co chodzi? Potem tłumaczy dziennikarzom, kim naprawdę byli faszyści i dlaczego błądzą, określając tym terminem wszystkich, których nie lubią. Wydaje się to niczym szczególnym. Ale dla wszystkich, którzy wiedzą, jak dalece owe „wartości antyfaszystowskie” stały się wytrychem używanym do utrzymywania terrorem pod kontrolą wszystkich, którzy mogliby zakwestionować władzę zachodnich elit, jest to dialog bardzo znaczący.



Zachodnie ruchy tożsamościowe i ta część lewicy, która szczerze związana jest emocjonalnie z tamtejszymi warstwami plebejskimi, skazane są na jakiś rodzaj współpracy

Bannon chce – ni mniej, ni więcej – zorganizować w Europie alternatywę dla zespołu fundacji i inicjatyw stworzonych przez George’a Sorosa. Co więcej, odrzuca definiowanie siebie (i ruchu, który chce tworzyć) jako prawicy. Odwołuje się raczej do przykładu włoskiego (szef tamtejszego MSW Matteo Salvini, który zasłynął zamknięciem portów dla statków z arabskimi imigrantami na pokładzie, jako pierwszy europejski polityk dużego kalibru ogłosił parę tygodni temu przystąpienie do jego inicjatywy). Bannon podkreśla wartość włoskiego eksperymentu, polegającego na koalicyjnym sprawowaniu władzy przez dwie antysystemowe partie: prawicową i lewicową. „Jeśli tutaj się to uda, uda się i gdzie indziej” – zapowiada. Jego główny cel to bowiem skuteczna walka z „partią Davos” (jak określa zachodnie elity), w interesie zwykłych ludzi przez te elity eksploatowanych i poniżanych jako „rasiści”.

I ten właśnie aspekt projektu Bannona wydaje mi się szczególnie cenny. Bo klasyczna prawica (w znaczeniu zachodnim, w Polsce to zupełnie coś innego) nie jest moim zdaniem zdolna nawet nie tylko do odpowiedzenia na zagrożenia, jakie zachodniej cywilizacji przyniósł XXI w., lecz wręcz do zrozumienia tych zagrożeń.

A to dlatego, że powstała jako polityczny ruch mający na celu obronę status quo i społecznej pozycji bogaczy. Zastrzegam: nie uważam bynajmniej, żeby zachodnie elity same w sobie były czymś bardzo złym. Ale jest faktem, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat wysferzyły się one. Zrezygnowały de facto z roli elit swoich narodów. Uznały bowiem, że ich interesom bardziej sprzyja globalizacja, która pozwala trzymać miejscowych plebejuszy pod butem. Dzięki czemu można, rzecz jasna, tym intensywniej kumulować zyski.

Od zachodniej prawicy zawsze na milę pachniało klasowym egoizmem. Kiedyś był on realizowany pod hasłami narodowymi czy tradycjonalnymi, ale gdy potem się okazało, że bardziej opłaca się zerwać z tymi przesądami... to oczywiście tak się stało. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, a ideologię kreuje i określa interes. Własny, grupowy interes.

W międzyczasie zaś lewica – ta radykalna, czyli prawdziwa – przeżywała proces niejako odwrotny. Upadek ZSRR pozbawił ją nadziei, a jej elektorat zaczął odczuwać napór imigracji, skutecznie spychający go do roli podklasy we własnych krajach. Zaczął ów elektorat w związku z tym zrywać więzy ze swoimi dotychczasowymi politycznymi reprezentantami. Co inteligentniejszym politykom z grona owych reprezentantów musiało to dać co nieco do myślenia.

Ruchy tożsamościowe, będące w pewnej mierze następcami tej części dawnej, zachodniej prawicy, która nie była do końca cyniczna i traktowała szczerze bodaj część głoszonych haseł, oraz prawdziwa, czyli rzeczywiście związana z europejskimi, etnicznie rdzennymi masami plebejskimi lewica, są więc w pewnym sensie skazane na jakiś rodzaj jeśli nie integracji, to współdziałania. Jeżeli więc Steve Bannon konstatuje taką potrzebę i możliwość, to odpowiada na potrzeby epoki.

Czego, dodajmy, nie dostrzegają różni europejscy prawicowi liderzy, odcinający się od jego inicjatywy. Głównie jako amerykańskiej, więc podobno dlatego nieodpowiadającej duchowym potrzebom dumnego Starego Kontynentu.

Myślę, że Bannon z Salvinim przerastają ich o głowę. I jeśli zdołają odnieść polityczny sukces, przyniesie to w rezultacie coś chyba najcenniejszego, co można by sobie wyobrazić: anihilację przekonania, że rozwój zachodniej kultury jest jednokierunkowy i zawsze odbywa się w stronę zakreśloną przez lewicowo-liberalnych intelektualistów. Że funkcjonujemy w niewoli determinizmu.

Dlatego życzę im powodzenia.

Fot. Andrzej Wiktor

22/1018/F

eprasa.pl 5f698ec8ce

5 90 KONGRES

III Edycja

15-16 LISTOPADA 2018
RZESZÓW-JESIONKA

Uwalniamy polski potencjał!

Lider Europy Środkowej

Polska w gronie 25 najbardziej rozwiniętych gospodarek świata

5,2% wzrostu PKB

8. GOSPODARKA UE

System wsparcia innowacji
StartInPoland

DEFICYT FINANSÓW PUBLICZNYCH 1,8%

obniżenie stawki podatków

6% PKB wydatków na ochronę zdrowia

likwidacja mafii VAT

Obniżka podatku
CIT z 19 do 15%

8000 zł kwota wolna w PIT

Konstytucja dla Biznesu

zwiększenie efektywności Krajowej Administracji Skarbowej

Split Payment

Polska jest liderem w zakresie odbudowy dochodów podatkowych w krajach Wspólnoty

dwukrotne zwiększenie ulgi podatkowej na działalność badawczo-rozwojową







Zarejestruj się:
www.kongres590.pl/rejestracja

Porozmawiajmy o gospodarce

eprasa.pl 5f698ec8ce



WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Kościół – filar państwa

Czym kierował się Zanussi, decydując o wsparciu finansowym dla filmu „Kler”?

Doskonali autorzy, świetny tytuł. Mowa o książce Martyny Deszczyńskiej i Andrzeja Nowaka „Kościół na straży polskiej niepodległości”. Zgodnie z planami krakowskiego Wydawnictwa „Kruk” książka ta ukazuje się w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości, tak jak zaplanowany, także na stulecie niepodległości, film Wojtka Smarzowskiego „Kler”. Rzeczywiście zrobił go „Wojtek”, tylko trochę dojrzalszy niż „Wojtuś”. Oba wydarzenia, jedno wzniosłe, patriotyczne i prawie niezauważone, drugie podłe, nagłośnione, będące bezwzględnym atakiem na polski Kościół katolicki. Książka jest dziełem niezależnych twórców i samodzielnego, prywatnego właściciela wydawnictwa. Film został sfinansowany (3,5 mln zł) przez Państwowy Instytut Sztuki Filmowej, konkretnie przez dawne jego kierownictwo – Agnieszkę Odorowicz i Magdalenę Srokę. O dofinansowaniu przesądziła komisja, w której głos decydujący należał do Krzysztofa Zanussiego. „Zagłosowałem na ten film nie ze względu na to, że jestem liberałem i że w sztuce wszystko wolno. Zrobiłem to, bo wierzę, że spowodowany nim wstrząs może Kościołowi wyjść na zdrowie” – powiedział reżyser. To prawda, najwięcej osób zatroskanych o kondycję moralną Kościoła jest jak zawsze wśród liberałów, komunistów, osób niewierzących, agnostyków i osobistych wrogów Pana Boga.

Agnieszka Odorowicz to była wiceminister kultury w rządzie Marka Belki, laureatka Wiktora w kategorii „osobowość nauki i kultury”. Magdalena Sroka to „polska menedżerka kultury, znawczyni problematyki związanej z kulturą”, była wiceprezydent Krakowa od spraw kultury. Kierowała PISF już za czasów obecnego ministra kultury, któremu – jak widać – nie udało się powstrzymać kolejnej transzy finansowej na „Kler”.

Obie panie urodziły się w latach 70. Odorowicz w 1974 r., Sroka w 1977 r. Chodziły do podstawówki, gdy nastał stan wojenny, do liceum, gdy Balcerowicz rozpoczynał grabież Polski zwaną „transformacją ustrojową”. Liberalnymi elitami stały się w III RP. Obejmując wysokie stanowiska, umacniały postkomunistyczną lewicę, a działo się to za czasów wielkiego pontyfikatu Jana Pawła II. Krzysztof Zanussi musiał być już liberałem wtedy, gdy na świat przychodziły obie panie, odbierając w 1971 r. od ministra kultury i sztuki swoją pierwszą państwową nagrodę za twórczość artystyczną. Wyrazem zwieńczenia tej twórczości był nadany mu w 1999 r. Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Czym się kierował Zanussi, decydując o wsparciu finansowym dla filmu? Czy to nie jemu właśnie dawne „okoliczności” nie podpowiadały, że decyzja wyjdzie mu na zdrowie?

Na scenariusze filmowe czekają „strażnicy polskiej niepodległości”. Abp Zygmunt Szczęsny Feliński, święty Kościoła katolickiego, który w liście do cara Aleksandra II pisał: „Polska nie zadowoli się autonomią administracyjną, potrzebuje ona życia politycznego”. Obraz ten mogłaby pięknie wzbogacić postać jego matki Ewy z Wendorffów Felińskiej zesłanej na Syberię, która jak syn także pozostawiła po sobie wzruszający pamiętnik, świadectwo trwałości Polaków w wierze katolickiej i miłości do ojczyzny. Czekają na swoje miejsce w polskiej historii i kulturze inni herosi polskiej niepodległości – kard. August Hlond, Prymas Tysiąclecia kard. Stefan Wyszyński, ale także kapelani Wojska Polskiego, poczynając od kapelanów legionistów o. Kosmy Lenczowskiego, bp. dr. Władysława Bandurskiego, o. Patrycjusza Antosza, ks. Henryka Ciepichałła, o. Bronisława Gilewicza, o. Kazimierza Konopki, kończąc na ks. Ignacym Skorupce i kapelanach powstania warszawskiego, o których wydał właśnie książkę Stanisław Zasada. Taki był ten polski „kler” walczący o wolną ojczyznę krzyżem i Ewangelią. Bez przywołania sylwetek kapelanów, ich ofiarnej służby Bogu i ojczyźnie trudno zrozumieć fenomen naszego życia narodowego i naszych aspiracji niepodległościowych – piszą Wiktor Krzysztof Cygan i Wiesław Jan Wysocki w jedynej jak dotąd książce o legionowych kapelanach „Duszpasterstwo wojskowe Legionów Polskich”. W 1989 r. staraniem Towarzystwa im. Józefa Piłsudskiego odsłonięto w kościele oo. Kapucynów w Krakowie epitafium upamiętniające pierwszego kapelana Legionów Polskich, o. Kosmę Lenczowskiego. A więc zasługa to wyłącznie polskiego społeczeństwa, tej jego wolnej duchowo części, która od lat dba o polskie imponderabilia.

Kościół katolicki w Polsce stał na straży polskiej niepodległości, ale był też, jak pisał prof. Feliks Koneczny, „politycznym wychowawcą Narodu”. Pielęgnował personalizm, aposterioryzm, jedność w rozmaitości, narodowość, dualizm prawny i etyczny monizm. Kościół stanowił i wciąż stanowi jeden z filarów państwa. Dlatego atak na Kościół jest zawsze atakiem na polskie państwo. Kto tego nie rozumie, niczego z Polski nie rozumie, choćby był okrzyczany największym polskim twórcą.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl 5f698ec8ce

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Piękne zapakowana pustka?



Witold Gadowski

Bywa, że ktoś z ciebie boleśnie zakpi: rozpakowujesz pięknie przewiązany prezent, otwierasz kolejne pudełka, aby... w ostatnim znaleźć pustkę.

Często takie właśnie poczucie towarzyszy mi w chwili, gdy przyglądam się dzisiejszej Polsce, a ściślej mówiąc: naszemu współczesnemu państwu. Wiele tu słownych inkrustacji, wiele dudnienia w głuche dzwony, a kiedy przychodzi moment sprawdzianu... wstyd, pustka.

Nie liczą się z nami, nie traktują nas poważnie. Lekceważą nas. Czy my sami jednak spoglądamy na siebie w należnym skupieniu?

Piję oczywiście chociażby do ostatniego „tournée" „demokratycznej dziewicy z Krymu", szerzej znanej jako Ludmiła Kozłowska. Jeździ toto sobie swobodnie do Berlina, Brukseli, Strasburga czy Londynu i ochotnie popluwa na współczesną Polskę oraz jej władze. Robi tak mimo że polskie państwo wpisało ją do europejskiego rejestru osób niepożądanych wewnątrz tzw. strefy Schengen. Polskie MSZ bezsilnie protestuje, polskie służby specjalne sprawiają wrażenie, jakby nie istniały, a Kozłowska otwarcie drwi sobie z naszego państwa. Jej mąż bezczelnie robi Polsce świństwa i... nic. To „nic" jest niezmiernie dojmujące. Czasem się zastanawiam, czy nasz premier udaje, czy naprawdę nie wie, jak poważne państwa rozwiązują podobne kwestie. Prostodusznie zatem podpowiem.

Jeśli „dziewica z Krymu" ma zamiar pojawić się w Brukseli i władze tego państwa są gotowe wydać jej pozwolenie na przyjazd, to ja, premier, wzywam na dywanik ambasadora Belgii i jasno mu komunikuję, że jeżeli jego kraj nie zastosuje się do zastrzeżeń strony polskiej, to flamandzkie i walońskie interesy w Polsce czeka seria – zgodnych z prawem – kontroli. Potem ten sam ambasador, już od niższego rangą urzędnika, dowiaduje się, że może to spowodować dla obywateli jego państwa straty idące w grube miliony euro. Czy Belgia z równym entuzjazmem utrzyma zaproszenie dla Ludmiły? Oczywiście wszystko odbywa się po cichu, w nieskazitelnej bieli rękawiczek, z uprzejmymi uśmiechami i poklepywaniem się po plecach.

Czy któregoś z polskich polityków stać na takie postępowanie? Czy nasze służby są w stanie dodawać premierowi mocy i powagi? Tak postępują wszystkie poważne państwa. A my? Czyżbyśmy pogodzili się z rolą państwa mniejszej wagi, z którym inni mogą się mniej liczyć? Kiedy wreszcie polskie państwo przestanie być pięknie zapakowaną pustką?

PO i PSL odsunęliśmy od władzy właśnie po to, aby ta zgniła fikcja Republiki Okrągłego Stołu, postsowieckiej mutacji wasalizmu, wreszcie się zakończyła.

Z sensem o Polsce



Lech Makowiecki

Nie jestem fanem rapu. Nie moje klimaty, nie moja bajka. Pierwszego wyłomu dokonał Tadek Polkowski – rapujący patriota; pod wrażeniem jego „Pileckiego" zrewidowałem moje postrzeganie hiphopowej subkultury. Jednak gdy wpadła mi w ręce płyta „Z sensem" Zbyszka „Bastiego" Woźniaka (i zaproszonych przez niego gości), totalnie wymiękłem. Emocjonalne, wykrzyczane zwrotki i mocne, melodyjne refreny wbijają się wręcz pod czaszkę i szarpią serce. „Basti" prowadzi nas prosto w piekło powstania warszawskiego („Krwawy sierpień"). Słuchając „303", odczuwa się wściekłość polskich lotników pikujących niczym kamikadze w sam środek armady Luftwaffe. W utworze „Sens" zanurzamy się po uszy w świętej, heroicznej polskości.

Autor nie nadużywa tak popularnego w rapie bluzgu, nie epatuje wulgaryzmami, nie straszy mową nienawiści. Każde użyte w tekście przekleństwo ma tu swoje miejsce, swój ciężar gatunkowy – zgodny z tytułem płyty. Łódzki raper równie trafnie komentuje czasy współczesne („Teorie spiskowe", „Stop islamizacji..."), co prognozuje nieodległą przyszłość („Europa umiera"). Ba, nawet ewangelizuje („Czyńmy dobro"). Nie oszczędza przy tym własnego środowiska, piętnując kolegów tworzących dla „hajsu" i sławy („Trzeba być sobą"). Inteligencja, erudycja i umiejętność poruszania się w różnych stylistykach (parafraza wypowiedzi Kennedy'ego w „Co ci dała Polska") czy swoiste poczucie humoru (autoironia w „Jestem tym typem") sprawiają, że „nawijki" „Bastiego" mogą zrobić (i robią) więcej dobrego dla patriotycznego wychowania młodych Polaków niż skostniałe programy MEN! Polecam ten album nawet wiekowym kombatantom, wycie silników hurricane'ów miesza się tu z szumem husarskich skrzydeł.

PS Krążka „Z sensem" słuchałem w samochodzie; nie polecam. Nagromadzenie uczuć i emocji (od nostalgii, miłości, bólu, gniewu po wściekłość i euforię) powoduje, że noga sama ciśnie gaz. A to na drodze może być niebezpieczne.

eprasa.pl 5f698ec8ce

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Zabrali nam Stuhra



Aleksander Nalaskowski

Zdarzyło mi się niedawno, że oglądałem w internecie wywiady, które przeprowadza z zaproszonymi gośćmi Jarosław Kuźniar.

Większości tych rozmów z pisarzami, blogerami, aktorami, politykami słuchać się nie da. Kuźniar niemal od samego początku lotem pikowym schodzi na politykę i tym samym lokuje niemal każdego gościa po którejś stronie naszej rodzimej barykady. A potem już tylko standard znany z „obiektywnych" rozmów i dyskusji tefałenowskich czy gazetowyborczych. Średnio takie odcinki oglądam 5–10 sekund i daję sobie spokój. Polityków słuchać nie mogę, bo w każdym momencie prowadzą kampanię, bez względu na datę najbliższych wyborów do czegokolwiek.

Swoją drogą w tych audycjach jednym z najpopularniejszych rzeczowników jest „Kaczyński". Ale to już bodaj norma. Już tylko w PiS jest chyba pełna powściągliwość w tym zakresie. Fenomen Kaczyńskiego polega na tym, że jest wizualnie zupełnie przeciętny, jako mówca również nie porywa elokwencją, mieszka przeciętnie, żyje przeciętnie, wypoczywa przeciętnie. A jednak uwiódł elektorat, zmylił zewnętrznością przeciwnika i okazał się prawdziwym i skutecznym wojownikiem. Nosi zamiast pancerza białą koszulę i pod nią pewnie ukrywa charyzmę.

No i ci wszyscy aktorzy, celebryci, dziennikarze, a nade wszystko politycy nie mogą tego znieść, bo jak to: są tacy przystojni, tacy dowcipni, tacy oryginalni, śliczni, liryczni i apetyczni, a tu klapa? Tłumy nie szaleją. Na barykady wiodą zaledwie tłumki, a ściślej – tłumoki. No i te żale, tak czy inaczej, mniej lub bardziej dosłownie wylewają u Kuźniara, któremu to sprawia nieukrywaną radość.

Lecz dostrzegłem w tych rozmowach dwa wyjątki. To audycja z Szymonem Majewskim i Bartłomiejem Topą. Żaden z nich nie dał się omamić atrakcyjności dziennikarskiej Kuźniara. Majewski odwracał i bojkotował każde pytanie prowadzące do odpowiedzi „za kim jesteś", ale nie próbował być neutralny ani nijaki. Widać, że jest stąd i wie, jakie są problemy, ale mówił też o ogólnopolskim wymiarze tych warszawskich sporów, tych sporów, które są tylko pozornie i telewizyjnie – ogólnopolskie. Mówił znakomitą polszczyzną i jako satyryk wcale nie silił się na dowcipasy. Ale nade wszystko przekierował dziennikarza i wybił mu z głowy polityczność wywiadu. Na co Kuźniar – oddaję, co cesarskie – przystał i jął zadawać apolityczne i sensowne pytania. Potrafi? Ależ tak! To fachman. Tylko wykłada się na własnym populizmie i wtedy sam z siebie robi brukowy tabloid.

Jaka szkoda, że tylu aktorów nie poczuło się tylko „aktorusami" i nie powstrzymało imperatywu wygłaszania propagandowych głupot

Drugim rozmówcą był aktor Bartłomiej Topa. Człowiek skromny i zawodowo zapracowany. Od razu przerwał Kuźniarowy lot pikowy „ku polityce" i powiedział, że „jest tylko aktorusem", a tym samym zakreślił obszar rozmowy. I tym razem dziennikarz się poddał, przestał politycznie prowokować, a widzowie dostali naprawdę sporą dawkę wiedzy o aktorstwie filmowym i teatralnym, o tym, że ten zawód może być niekiedy patologicznie wręcz ciężki i wyczerpujący. Aż rodziło się pytanie, czy aktorstwo w ogóle jest tego warte, czy warto „umierać za film".

I znów Kuźniar sprowadzony z prostackiej drogi populisty zaczął zadawać sensowne pytania i zrobił kawałek dobrej roboty. Jaka szkoda, że tylu aktorów nie poczuło się tylko „aktorusami" i nie powstrzymało imperatywu wygłaszania propagandowych głupot w dialogu z resortową pod każdym względem Moniką Olejnik czy wzdętą własną wzniosłością Justyną Pochanke. Ustawili się karnie po wskazanej stronie barykady i – jak to aktorzy – pozwolili się reżyserować tym zza planu i tym w suflującym w słuchawkach.

W pewnej chwili zrobiło mi się żal, że Kuźniar i podobnie utalentowani dziennikarze przestali uprawiać tę trudną sztukę żurnalistyki, zgadzając się na rolę zapiewajłów po jednej stronie tej bolesnej barykady. Okazało się, że Kuźniar to nadal dobry warsztat, dykcja, refleks i inteligencja, ale to fachowość źle zadeklarowana, bo zadeklarowana w ogóle. Brakuje im pokory Topy – „jestem tylko dziennikusem i wiem, co potrafię, co jest moim obowiązkiem i gdzie jest dla mnie zbyt grząsko". Do takiej refleksji nie da się ich zmusić, bo ich pycha nie zostawia miejsca na żadną pokorę.

Słyszałem też, już nie u Kuźniara, fragment wywiadu z Jerzym Stuhrem. Fragment genialny, bo dotyczący odkrycia przezeń istoty tragikomedii, komediofarsy, modeli gry aktorskiej, stylów reżyserii (tu znakomity wtręt o Kieślowskim i Brando). Uczta!

I znów to pytanie, po co mu te polityczne manifestacje? Po co mu te tysiące Nalaskowskich zrażonych jego „misyjnymi" wypowiedziami o sprawach, na których się nie zna, których ogląd ma gazetowy i pozbawiony subtelności? Dlaczego Stuhr samoobrzydzony zabiera nam Stuhra artystę? Jakim prawem i w imię czego dziennikarze oferują nam Stuhrową szmirę, zabierając nam to, co u Stuhra wartościowe?

Naprawdę szkoda tych naszych zasobów.

eprasa.pl 5f698ec8ce

PRZEZ ŚWIETLIK

Z demokracją nad Polską

Przy okazji wmurowania kamienia węgielnego pod Muzeum Historii Polski warto się zastanowić nie nad tym, co tam będzie, ale nad tym, czego ewidentnie zabraknie. A przecież mogłoby być. Powinno. I zapewne się znajdzie, gdy tylko opresyjna dyktatura zostanie przepędzona przy wsparciu sił demokratycznych zza Odry.

Bo przecież walka o demokrację w Polsce trwa. Tym razem podjęła ją niejaka Fundacja Bertelsmanna. W rankingu ogłoszonym przez tę fundację Polska spadła w dół o tysiąc lat świetlnych i puka w dno od spodu. Trudno nie wierzyć w ten ranking, uwzględniając, że jego autorzy mają wielkie zasługi w walce o krzewienie cywilizowanych postaw wśród słowiańskich podludzi. Historię tego demokratische Kampfu opisał 16 lat temu za brytyjskim „The Independent" lewicowy „Przegląd". W czasach kiedy troska o naszą demokrację była szczególnie natężona, wspomniani ojcowie założyciele fundacji – Heinrich Mohn i jego syn Reinhard – zawiadowali zacnym wydawnictwem o tej samej nazwie, założonym wiek wcześniej przez Carla Bertelsmanna, i bliscy byli im demokraci w czarnych mundurach z totenkopfem na czapkach. O wydawnictwie każdy słyszał, wszak dziś jest w pierwszej światowej czwórce i wydaje sporo tytułów prasowych w Polsce.



Wiktor Świetlik

W czasach kiedy troska o naszą demokrację była szczególnie natężona, ojcowie założyciele Fundacji Bertelsmanna wspierali demokratów w czarnych mundurach

Jak czytam w „Przeglądzie": „W latach 1939–1945 Bertelsmann sprzedał, głównie wojskowym odbiorcom, za pośrednictwem poczty polowej ponad 19 mln książek, o 5 mln więcej niż Franz Eher, centralne wydawnictwo NSDAP.

Była to często literatura szowinistyczna, gloryfikująca wojnę i podtrzymująca wiarę w zwycięstwo. Tytuły mówią same za siebie: »Góra krwi«, »Z bombami i karabinami maszynowymi nad Polską«, »Czołgi na wroga«. Niezależna Komisja Historyków mówi o rekordowym wzroście zysków. I rzeczywiście: jeśli w 1925 r. obroty Bertelsmanna wynosiły 745 tys. marek, to w 1939 r. ponad 3 mln, zaś dwa lata później ponad 8 mln".

Młodszy pan Mohn, nie tak dawno zmarły jako jeden z najbogatszych Niemców, dzielnie walczył o demokrację w północnej Afryce w ramach korpusu gen. Erwina Rommla, papa był „członkiem wspierającym SS" i w skrócie tym nie chodzi o to, że lubił śpiewać „Pieśń nad Pieśniami" w języku angielskim („Song of Songs").

Należy więc mieć nadzieję, że kiedy już bomby demokracji zmuszą Polaków do uległości, to w ramach depisyzacji i demokratyzacji Polski po raz kolejny Muzeum Historii Polski zostanie przekazane w zarządzanie fundacji z tak szacowną przeszłością.

Niewątpliwie następcy panów Mohnów – wraz polskimi demokratami – sprawnie opiszą i odkłamią naszą historię. Już wchodząc, będziemy mogli się dowiedzieć, że tak naprawdę to myśmy tę wojnę rozpętali, a dokładnie Kaczyński z Morawieckim i Dudą.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

AUTOPROMOCJA

2018.pl

100. rocznica odzyskania niepodległości

PARTNERZY:

LOTOS PZU niepodległa POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl 5f698ec8ce



Polski styl kapłaństwa

„To dziedzictwo kapłańskiej wiary, posługi, solidarności z całym narodem w jego najtrudniejszych okresach stanowi fundament historycznego zaufania dla kapłana polskiego wśród społeczeństwa”

JAN POSPIESZALSKI

Setna rocznica odzyskania niepodległości i czterdziesta rocznica wyboru Karola Wojtyły na papieża skłania mnie do próby odczytania ich łącznie.

Odzyskanie wolnego państwa poprzedzała ofiara krwi i wysiłek pokoleń nad ocaleniem narodowej tożsamości. Ogromną rolę mieli w tym procesie polscy duchowni (zakonnice i zakonnicy), którzy w okresie zaborów, Kulturkampfu, rusyfikacji i rozlicznych represji (sami podlegając prześladowaniom) dali świadectwo miłości Boga i bliźniego, głosząc Ewangelię i niosąc pomoc charytatywną. W sierpniu na tych łamach przypomniałem kilkadziesiąt zgromadzeń, które powstawały od upadku powstania listopadowego do I wojny światowej. Zdecydowana większość założona była przez uczestników powstań, polskich patriotów, którzy uznali, że nie będzie zmartwychwstania Polski bez zmartwychwstania ducha – ewangelizacji i podniesienia rodaków z nędzy moralnej i społecznej.

Jan Paweł II bardzo często nawiązywał do historii, wskazując, jak opatrzność Boża działa nie tylko w życiu każdego z nas, lecz również w życiu narodu. Jako wspólnota kultury, wspólnota ducha, stajemy się przestrzenią, w której realizuje się Boży plan – działa łaska. W wyniku tego planu we wszystkich zaborach i na emigracji nagle pojawili się oddani bożej i ojczystej sprawie duchowni. Wielu z nich św. Jan Paweł II wyniósł na ołtarze, dając za wzór dla przyszłych pokoleń kapłanów.

W przemówieniu do księży i zakonnic podczas pierwszej pielgrzymki w 1979 r. w Częstochowie mówił:

„Kapłani polscy mają swoją własną historię, którą w ścisłej łączności z dziejami Ojczyzny zapisały całe pokolenia »sług Chrystusa« i »szafarzy Bożych tajemnic«, jakich wydała nasza ziemia. Czuliśmy zawsze głęboką więź z Ludem Bożym – z tym, »spośród którego wzięci« i dla którego »byliśmy postanowieni«”.

Jan Paweł II proroczo przygotowywał polskich duchownych do roli, jaką już niebawem mieli odegrać w zrywie „Solidarności”. Dosłownie do „solidarności z całym narodem” w tym nadchodzącym trudnym okresie polskich księży wzywa:

„... to dziedzictwo kapłańskiej wiary, posługi, solidarności z całym narodem w jego najtrudniejszych okresach, które stanowi jakby fundament historycznego zaufania dla kapłana polskiego wśród społeczeństwa, musi być wciąż wypracowywane przez każdego z was i wciąż niejako zdobywane na nowo”.

Polscy księża posłuchali papieża, w okresie „Solidarności” i stanu wojennego (szerzej, w okresie komunizmu) nie zawiedli – „zachowali się, jak trzeba”. To doświadczenie odróżniało ich od kapłanów sytej i szybko laicyzującej się Europy Zachodniej. O tej specyfice polskiego duchowieństwa przypomniał Jan Paweł II.

„Świadectwo wiary żywej, czerpanej z wieczernika, Ogrójca i Kalwarii – wiary wyssanej z piersi naszych matek – wiary ugruntowanej wśród ciężkich doświadczeń naszych rodaków – jest naszą duchową legitymacją. Podstawą naszej kapłańskiej tożsamości. Dzisiaj w Kościele wiele mówi się na temat kryzysu tożsamości kapłana w różnych krajach. Myślę, że ten problem w Polsce istnieje w bardzo małym stopniu”.

Jan Paweł II podkreślił, że tę kapłańską tożsamość radykalnie potwierdzili bohaterowie w sutannach, którzy służbę Bogu i ojczyźnie przypłacili życiem.

„Tak się jakoś złożyły okoliczności historyczne i współczesne, że nie ma powodu do tego, żebyśmy czuli kryzys naszej tożsamości. [...] Czyż mógłbym przy dzisiejszym spotkaniu nie wspomnieć tych tysięcy księży polskich, którzy oddali życie podczas ostatniej wojny, zwłaszcza w obozach koncentracyjnych?”.

Papież mówi o pewnym specyficznym stylu kapłaństwa, jaki Kościół w Polsce wypracował. Sprawadza go do dwóch filarów: „ewangelicznego świadectwa i społecznej służby. Niech Bóg broni, ażeby ten styl miał ulec jakiemukolwiek rozchwianiu”.

Jan Paweł II przewidział też, w jaki sposób realizowany będzie dziś plan demontażu Kościoła. Mówi o zagrożeniu i przewiduje, co się stanie, gdy zabraknie tego polskiego stylu. Wzywa do modlitwy i czuwania: „Kościół najłatwiej jest (darujcie to słowo) pokonać również przez kapłanów [...]”.

Na koniec przemówienia do kapłanów poleca ich opiece Najświętszej Maryi Pannie, dodaje odwagi i zapowiada, że: „Kościół w Polsce dzięki kapłanom jest niepokonany”.

eprasa.pl 5f698ec8ce

Kochający mąż

Najdroższa Kasiu,
czasy są niepewne. Muszę myśleć o przyszłości. Zapomnieć o wspaniałych, radosnych latach. Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy. Dobra passa polityczna się skończyła. Przyszłość rysuje się w czarnych barwach. Nie będę tego przed Tobą ukrywać. W kierownictwie partii nastroje gorsze niż fatalne. Pamiętaj, to nie może wyjść na zewnątrz, błagam. Nawet siostrze. Znasz ją. Pierwszego dnia tajemnicę będzie znał Starogard. Po tygodniu całe Pomorze. Wiadomo, kogo obwinią. Starczy mi kłopotów w Krajowej Radzie Sądownictwa. Schetyna i Neumann żądają od mnie cudów. „Po to tam ciebie rzuciliśmy, żebyś blokował!" – krzyczą. Co mam robić, jeśli nikt tam mnie nie słucha. I mi jeszcze skrócili. Miałem pięć minut na pytanie. To mi pozwalało rozwinąć skrzydła. Mogłem zaatakować. Teraz mam minutę. To co ja mogę? A Schetyna niewzruszony: „Jesteś najlepszym mówcą. Twój aksamitny głos zniewala". To miłe.



Jerzy Jachowicz

Dlaczego piszę, a nie dzwonię? Bo mam pomysł, który już zacząłem realizować, a nie mogę przez telefon.

Musisz wiedzieć, że w naszym Starogardzie walkę o prezydenturę miasta wygra prawdopodobnie ta poczwara z PiS. Po objęciu urzędu prezydenta na stanowisku dyrektora gabinetu będzie chciała mieć kogoś zaufanego. Z Tobą rozstanie się w pierwszym tygodniu.

Kasiuniu, nie martw się. Przy mnie nie czeka cię okrutny los. To jest ten mój pomysł: zostaniesz radną. Już jesteś na listach, które za tydzień przywiozę do Starogardu. Żeby jakoś przykryć Twoją sprawę, bo tumult się zacznie, wybrałem też kilka innych osób do podmiany. Na ich miejsce są na listach nowi kandydaci. Jeszcze nikogo nie zdążył zatwierdzić zarząd, ale Janek Grabiec autoryzuje nowe listy, tylko muszę mu wydać dyspozycję. Miałaś rację, mówiąc o nim, że ma umysłowość dziecka. Ale ma ważną zaletę – jest posłuszny.

Twój Borys

CO MNIE PRZERAŻA

Jak to możliwe

Jak to się stało, że państwo niemieckie, jego przywódcy za zgodą narodu, który w 1939 r. rozpętał straszliwą wojnę nie tylko w Europie, teraz po wielu latach chcą na nowo władać, w inny sposób, jej państwami?

Od lat zadaję sobie pytanie, kto do tego dopuścił. Niemcy ruszyli na podbój Europy, świata i nas, Polaków, którzy pierwsi z nimi podjęliśmy walkę. Powstańców nazywali bandytami, a walczących w lesie leśnymi bandami. Podjęli walkę nie tylko z żołnierzami, w powstaniu warszawskim mordowali ludność cywilną.

Potem w Niemcy inwestował Zachód. My zostaliśmy w strefie Związku Radzieckiego. Wydzielili tylko fragment terytorium na eksperyment NRD. Sami przecież nie odbudowali swojego kraju, tylko z wielką pomocą mocarstw sami stali się mocarstwem. Po stworzeniu Unii Europejskiej zaczęli przeinaczać historię. Z Polaków zaczęli robić tych, którzy uczestniczyli w Holokauście. Później słyszałam w wielkiej polityce, że najbardziej ucierpiał naród niemiecki. Wielkie halo o wysiedlonych Niemców z Mazur. A o naszych wysiedleniach cicho. Najpierw nie wolno było o tym mówić



Katarzyna Łaniewska

w PRL, a teraz puszcza się w Polsce filmy wybielające Niemców. Bez żadnego komentarza.

Polaków oceniają nisko, Unia Europejska zaś, a w niej przodujące Niemcy, myśli, że może rządzić tymi państwami, które kiedyś były przez nich podbite. Jeżeli ktoś podnosi głowę tak jak my i mówi, że sami chcemy o sobie decydować, to jest wielki raban i mają się czym zajmować w Brukseli. Zwalczać brak demokracji w Polsce. A najsmutniejsze jest to, że pomagają w tym elity polskie, wybrani parlamentarzyści. Donoszą na nas i czekają, by coś złego się działo. Co nimi kieruje? Chyba tylko ich własne interesy.

Kuriozalnym przykładem była wypowiedź i wyjazd do Niemiec byłej pierwszej prezes Sądu Najwyższego, która prosiła, by nasze sądy zostały tak, jak były, i by nic się w nich nie zmieniało. Z pełną złośliwością i zacięciem powiedziała, że przyjechała tam za niemieckie pieniądze. Pani prezes, ja wiem od dziecka, że kto płaci, ten wymaga.

Dosyć było upokorzeń Polaków, którzy jeździli do Niemiec pracować. To mnie przeraża. Jak długo jeszcze? Kto poza nami i Węgrami powie dość?

eprasa.pl 5f698ec8ce

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Ofiara polskich kabaretów

Wesoły Romek z Legionowa rozbił bank swoim wystąpieniem na konwencji



Ryszard Makowski

Włodarz Legionowa, pełniący od 16 lat funkcję prezydenta Roman Smogorzewski, zapragnął błysnąć humorem, przedstawiając swoich kandydatów do samorządu. O własnym synu mówił, że gdy się urodził, to był bardzo brzydki, ale najbardziej był „szarmancki" w stosunku do pań: „Te dwie... można powiedzieć napalone", „Pani od seksu", „Ta ruda..." i tu pokazał rękami, że ta kandydatka ma, jak to mawiano w skeczu „Kulisy srebrnego ekranu", „duże niebieskie oczy". Zabawa była przednia. Obecni na sali rechotali ukontentowani. Rzecznik Platformy Jan Grabiec wręczył mężowi stanu na miarę Legionowa szablę z okrzykiem „Prowadź nas do boju". Zaznaczył też: „Wszyscy zazdroszczą nam Romka Smogorzewskiego".

I byłoby OK, gdyby relacja z tej imprezy nie wyciekła do internetu. Nagle się okazało, że prostactwo razi jak lampa w oczy. Prezydent Smogorzewski w ekspresowym tempie został zrezygnowany z członkostwa w krystalicznej moralnie Platformie Obywatelskiej. Najwyraźniej mogła zaszkodzić fascynacja polskimi kabaretami. Tam im bardziej prymitywne, im bardziej dosadne, a nawet wulgarne żarty, tym bardziej euforia audytorium się potęguje. Dopiero gdy się na to patrzy na spokojnie, człowiekiem szarpie refleksja: dlaczego zwykłe chamstwo urosło u nas do miana rozrywki?

Jeśli panu prezydentowi nie wyjdzie w wyborach, to nie ma problemu, na naszych estradach będzie z tym monologiem robił furorę.

eprasa.pl 5f698ec8ce

***Zawistowski prezentuje:* Legionowo**



Wycinki z przeszłości

Wydanie „Światowida” z września 1932 r. przynosiło takie oto dziewczęce pożegnanie wakacji. Zerknijmy, czym żył wtedy świat.

„ŻNIWA W ROSJI nie dadzą w tym roku ani 60% produkcji przedwojennej, pomimo że gospodarka w kołchozach jest prowadzona bardzo intensywnie.

ROZRUCHY KOMUNISTYCZNE W MADRYCIE. Stosunki w Hiszpanji od czasu ostatniego przewrotu, który przyniósł kres monarchji, są dalekie od uporządkowania. Kraj ten rozsadzają dążności separatystyczne Katalończyków i Basków, a także walki polityczno-społeczne.

CHCĄ PIĆ. Najważniejszym problemem Stanów Zjedn. Ameryki Północnej obok kryzysu jest prohibicja. Bankructwo tej idei jest obecnie zupełne. Dlatego nawet zdeklarowany jej zwolennik prezydent Hoover zaczyna przebąkiwać o potrzebie częściowej zmiany tej nieszczęśliwej ustawy, która sprowadziła tyle zła na Amerykę. Natomiast za zupełnym zniesieniem prohibicji jest jego kontrkandydat gubernator Roosvelt, wybitny przyjaciel Polaków.

WARSZAWA–WILNO–TALLIN–RYGA. Dnia 17 sierpnia w Warszawie została otwarta nowa linia lotnicza, łącząca Warszawę z Wilnem, Rygą i Tallinem. Linia ta będzie obsługiwana przez samoloty polskie i przez polskich pilotów”.

(mk)



Z niewiedzy i zapomnienia...



Leszek Długosz

Z obszarów niewiedzy, zapomnienia, które nie zdarzyły się zwykłą koleją spraw, ale skutecznie i pilnie pracowano, by o twórczości jednego z najwybitniejszych poetów polskich ubiegłego wieku (osiadłego po wojnie w Londynie) tu, w kraju, było głucho. I długo pewnie jeszcze potrwa „odzyskiwanie tego głosu”. Wzbogacanie świadomości i mowy polskiej o jego wiersze. A przecież z jakimż wzruszeniem odkrywamy te „zapuszczone, niedostępne obszary”. Najszlachetniej polskie i wyjątkowo piękne.

Stanisław Baliński (1898–1984)
Polskie lasy

Gdybyście mówić chciały,
lasy zielone, polskie,
gdybyście mówić umiały,
Bory Tucholskie,
Puszczo Jodłowa,
Kampinosie,
Zamojszczyzno –
niosłyby się po rosie
salwy w waszych słowach
i szept ostatni:
„Dla Ciebie,
Ojczyzno...”.

Drgałyby wasze drzewa,
jak napięte struny,
nutą partyzanckich pieśni,
komendą: „Lewa”,
grzmotem, jakby waliły
pioruny,
jękiem, co niósł się boleśnie
w daleką, rodzinną stronę,
gdzie ściany zostały swojskie.

Lasy zielone,
polskie,
niech się wasz liść kołysze
nad tysiącami miejsc, gdzie
wrzos
ma barwę inną – już na zawsze.
Otulcie partyzancki los
w dywany liści najłaskawsze,
opatrzcie watą miękkich
mchów,
otoczcie tchnieniem zielnej
woni,
i choć nie znacie naszych słów
nućcie tym, którzy wśród
ustroni
waszych zostali – piosenkę
cichą
także i od nas,
po wsze czasy.

Lasy zielone.
Polskie lasy

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 5f698ec8ce

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Teraz winne PiS

Sprawnie pisze reportaże oddziałujące na emocje – Agnieszka Sztyler-Turovsky, szefowa reporterów portalu Kobieta Onet.pl, pokazuje, jak trudno żyć kobietom w XXI w.

Co za paradoks! W świecie zaawansowanych technologii, komfortu, dobrych kosmetyków, zdrowej żywności i... wolności (czytaj: wyzwolenia z wszelkich ograniczeń) kobiety nadal niebywale mają pod górkę. Dobrze czyta się te teksty. Autorka z wyczuciem i jednocześnie z werwą używa języka. Dobrze oddaje rozterki życiowe wielu współczesnych pań. Motywem przewodnim zwykle jest problem godzenia różnych ról życiowych kobiet i ich potrzeb: sukcesu, bycia dobrą matką, żoną, bycia bezdzietną szczęśliwą singielką, satysfakcji z pracy, bycia atrakcyjną itd. Trudne wybory, a przecież wszystkiego mieć się nie da...



Związek przyczynowo-skutkowy – to brzmi bardzo prosto, ale w życiu społecznym proste nie jest. Przyczyny nie zawsze widać

NIETYPOWY REPORTAŻ

Szczególnie wyróżnił się tekst z informacją: „W sobotę, 22 września w całej Polsce zacznie się protest nauczycieli. W Warszawie wyjdą też na ulice. Rozmawiałam z prawie trzydziestoma. Na żywo, przez telefon, na forach, z których część przenosiła się na prywatny czat. Wybrałam fragmenty, które najmocniej oddawały frustrację. Tak powstał ten monolog".

Ów „monolog" ma tytuł: „Jestem nauczycielką Twojego dziecka. Wiesz, co Ci chcę powiedzieć?" (Onet 21 września 2018 r.).

Zaczyna się tak: „Zobaczę Cię w poniedziałek, ale tylko przelotnie. Podrzucisz dzieci pod szkołę, nie wysiądziesz z samochodu. Cmok, cmok, trzaśniesz drzwiczkami. Odjedziesz w pośpiechu. Wzywa cię korpo. Pół roku później nie zauważysz, że Twoja córka jest na skraju depresji. I że syn ma za sobą pierwszy raz. Tak, ten z seksem. Nie, z dopalaczami chyba nie. Jestem nauczycielką Twoich dzieci. Wiesz, co bym Ci powiedziała, gdybym nie musiała się cenzurować?".

Kończy zaś: „22 września razem z nauczycielami z całej Polski będę protestować pod Radą Ministrów. I domagać się podwyżki. I dymisji minister Zalewskiej. Za jej »reformę« oświaty – likwidację gimnazjów, chaos organizacyjny w szkołach, za odebranie dodatków, za biurokrację – te dodatkowe sprawozdania, opracowania, jakie wpadły nam od 1 września. Za obiecanki cacanki. Pani minister pewnie nawet do nas nie wyjdzie. Może myśli o mnie to co Ty".

Komentarzy pod tekstem jest 451. Często skrajne, emocjonalne.

KONKLUZJE?

Ależ to jasne! Za problemy wychowawcze młodzieży, za traktowanie nauczycieli jakby nic nie byli warci, za skutki uboczne życia w stylu korpo; ba, w ogóle za obecne zagubienie ludzkości – odpowiada partia rządząca, czyli PiS. Coś nam to przypomina?

Kiedyś, gdy PiS było w opozycji, też wpadaliśmy w pułapkę rozciąganej na wszystko „winy Tuska". Może warto wyciągnąć wnioski.

Związek przyczynowo-skutkowy – to brzmi bardzo prosto, ale w życiu społecznym proste nie jest. Przyczyny nie zawsze widać. Często działa cały ich splot albo rozległy łańcuch, a i tak nierzadko nie rozumiemy, skąd dane zjawisko mogło się wziąć; dlaczego coś się stało. Do tego dochodzą nasze uprzedzenia, sympatie i antypatie.

A ustalenie ciągu przyczynowo-skutkowego zjawisk, które dzieją się w Polsce, zazwyczaj wymaga żmudnej analizy. Odpowiedzialność polityków to tylko jeden z elementów. Roboczo można zacząć choćby tylko od wcale niełatwego uporządkowania poziomów: trafne bądź nietrafne decyzje polityczne; zjawiska kulturowe przebiegające w pewnym oddaleniu od polityki, ale na nią wpływające; ogólna kondycja dzisiejszej cywilizacji Zachodu, a nawet ludzkości, o której tożsamościowym zagubieniu mówi się nie od dziś.

Jednak z tekstem z Onetu jest jeszcze jeden problem.

WNIOSKI Z ARTEFAKTU?

Reportaż ma taką naturę, że przyzwala na subiektywną optykę. Autorka z fragmentów pochodzących z 30 rozmów z różnymi nauczycielami, o których nic nie wiemy, ułożyła monolog. Emocjonalnie wiarygodny, spójny i komunikatywny. Ale właściwie czyj? W czyim imieniu faktycznie mówi?

Na ile jest świadoma, że na bazie swojej kreacji stworzonej z wyrywków wypowiedzi, których reprezentatywność trudno ocenić, dostarcza „amunicji politycznej" wątpliwej i moralnie, i poznawczo?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

51/0918/F | 11/1018/F

eprasa.pl 5f698ec8ce

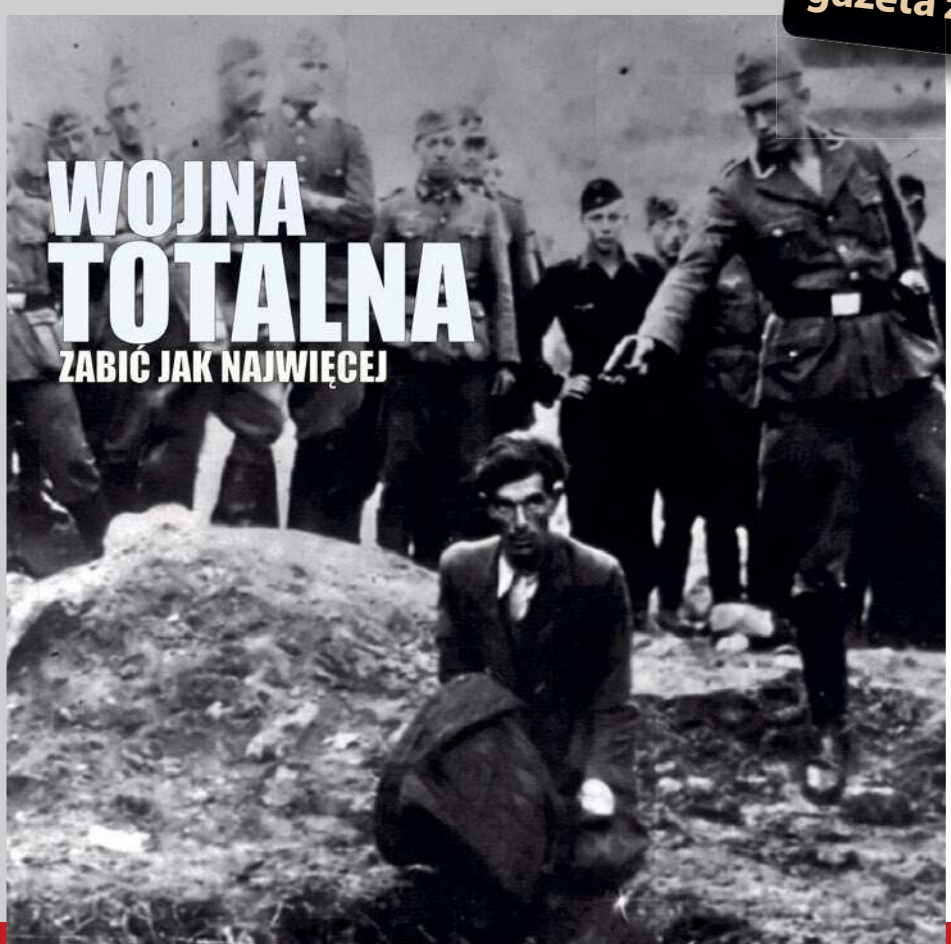
TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

FUNDACJA VIA VERITATIS PRZEDSTAWIA FILM

„WOJNA TOTALNA. ZABIĆ JAK NAJWIĘCEJ”



monikakosz/fotolia.com



„Zniszczenie Polski jest naszym głównym zadaniem” – powiedział Adolf Hitler na odprawie dla wojska tuż przed napaścią Niemców na Polskę we wrześniu 1939 r. Przez następne lata nie tylko armia, ale także służby specjalne dokonały wielu zbrodni na terenie okupowanej Polski.

Film jest próbą opisania tego, co się stało udziałem milionów Polaków w latach II wojny światowej.

SCENARIUSZ I REŻYSERIA
J. LIPSKI, P. MIELECH

LEKTOR
K. CZUBÓWNA

PATRON MEDIALNY: niedziela TYGODNIK KATOLICKI

WYDAWCA INSERTU: Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

INSERT ZOSTAŁ SFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW DAROWANYCH PRZEZ: POLSKA FUNDACJA NARODOWA

GŁÓWNY SPONSOR FILMU: PZU

eprasa.pl 5f698ec8ce

GRAJ W ZAKŁADY SPECJALNE!

Typuj 5 liczb z 45, wygrywaj już za trafienie 3 liczb!

Losowanie 10 listopada 2018 r.

Grając, wspierasz Program Stypendialny „100 na 100”
dla najzdolniejszych studentów.
www.fundacjalotto.pl/100stypendiow





niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl 5f698ec8ce